

The book cover features a close-up of a person with long, wavy blonde hair. They are holding a white, mask-like object over their face, which has a realistic human-like appearance with a beard and a slight smile. The person's right eye is visible through a slit in the mask, showing a red, glowing iris. Wisps of white smoke or steam are rising from the right side of the person's face. The background is a deep red with a subtle, repeating pattern of stylized leaves or petals.

JAKUB
ĆWIEK

SYNOPSIS ZIEBIOŚ

KLAMKA

ostatni

ZBIOROWA TRICKSTERIA

SON
imaginatio

ostatni

— KLAMCA —



Książka zaprojektowana i wydrukowana w Polsce



JAKUB
ĆWIEK



SYNGIEL NIEBIOŚ

KLAMCA

ZBIOROWA TRICKSTERIA

Kraków 2024

Spis treści

Okładka

Strony tytułowe

WSTĘP, KTÓRY WARTO PRZECZYTAĆ

PROLOG

CZĘŚĆ 1

NIEBO, TERAZ

OPERACJA WNUCZEK

CZĘŚĆ 2

NIEBO, TERAZ

MAŁPIE GODY

CZĘŚĆ 3

NIEBO, TERAZ

STRASZLIWY BRZYDAL

POSŁOWIE

WSTĘP, KTÓRY WARTO PRZECZYTAĆ

(ŻEBY POTEM NIKT NIE MARUDZIŁ)

Kochani!

Refleksjami związanymi z powstawaniem tego tomu podzielę się z Wami w posłowie, gdy już będzie mi wolno wszystko napisać bez obawy, że zepsuję Wam zabawę. Tutaj chciałbym natomiast odpowiedzieć na bardzo ważne pytanie, które pewnie zadaje sobie część z Was, czyli:

JAK, DO CHOLERY, MAM TERAZ CZYTAĆ TEN ZAMOTANY CYKL?!
Spróbujmy to wyjaśnić.

Kłamca jako cykl miał dotąd sześć tomów: cztery główne (*Kłamca*, *Kłamca 2. Bóg marnotrawny*, *Kłamca 3. Ochłap Sztandaru*, *Kłamca 4. Kill'em all*) i dwa uzupełniające (*Kłamca. Machinomachia* i *Kłamca. Papież sztuk*). Tym uzupełniającym nadaliśmy w nowym wydaniu numery 2.5 i 2.8, żebyście wiedzieli, że fabularnie są osadzone między tomem drugim a trzecim. Dzięki temu jest porządek i wiadomo, w jakiej kolejności to czytać.

Na razie jasne, nie?

No dobrze, ale są jeszcze *Stróże*. Pierwotnie miał to być cykl opowieści o samych aniołach, w innym tonie i z epizodycznym udziałem Kłamcy, ale przerodził się w większą historię, a Lokiego jest tam dużo więcej, niż zakładałem. Ważne jest również to, że dzięki zastosowanemu tam fabularnemu zabiegowi (tak zwany

brudnopis Boga) mogło nastąpić pewne rozwarstwienie i historia Kłamcy mogła potoczyć się inaczej. Pójście alternatywną ścieżką Stróży pozwoliło mi stworzyć nowe zakończenie dla opowieści bez konieczności zmieniania tamtego. Teraz są dwa, równorzędne.

Ten właśnie finał – domykający zarówno opowieści o Lokim, jak i historię Stróży – znajdziecie tu, w *Kłamcy. Zbiorowej tricksterii*.

Czy przeczytanie Stróży jest konieczne do zrozumienia nowego Kłamcy? Nie. Uważam, że warto, ale jeśli tego nie zrobicie, w tym tomie podaję Wam wszystkie kluczowe informacje, byście mogli dobrze się bawić bez znajomości tamtych dwóch książek. Ważne jest za to, żebyście przeczytali tę książkę PO Kłamcy 4, bo inaczej zepsuje Wam fun.

To w sumie tyle. Miłej lektury i widzimy się w posłowie.

PS *Stróży* wydaliśmy w dwóch tomach w innej oprawie graficznej, ale już wiemy, że pojawią się też w jednym tomie, w oprawie pasującej do tej serii. W takim wydaniu będą nosić tytuł *Kłamca. Stróże*.

PROLOG

Anioł Butch dźwignął się z ziemi. Sięgnął po grubą, suchą gałąź, bez trudu przełamał ją na pół i wrzucił do przygasającego ognia. Patrzył, jak płomienie rzucają się na drewno, jak liżą je najpierw ostrożnie, jakby smakowały, potem coraz bardziej łapczywie. Jak sycą się i rosną, wypełniając jaskinię światłem.

Wybudzone i rozochoczone cienie rozpoczęły swój taniec na nierównej ścianie, prezentując to, co się wydarzyło, wydarzy i mogło wydarzyć. Butch nie patrzył w ich stronę, bo nie obchodziło go, co mają do pokazania. Każda z jego przeszłości kończyła się nagłą śmiercią, to, co mogło być, ale nie nastąpi, nie miało przecież znaczenia, z kolei to, co się wydarzy... Cóż, był aniołem w jaskini. Żołnierzem na misji, w sprawie, w którą wierzył. Wojownikiem, którego tylko stos ogniska dzielił teraz od otchłani skrytej w dwóch czarnych paciorkach wpatrzonych w niego oczu.

Anioł i jego więzień. Dwie istoty w ogromnej jaskini pełnej roztańczonych cieni i starych napisów zostawionych przez niezliczone wycieczki szkolne. Wiele z tych tekstów wyblakło i pewnie zawarte w nich deklaracje miłości czy waśni dawno się zdezaktualizowały, ale jeden z nich, stosunkowo nowy, lśnił w blasku jaskrawą czerwienią: „Czechow tu był”. Butch zastanawiał się, czy to zdanie napisane właśnie tu ma jakieś ukryte przesłanie.

Kiedys powiedzialby, ze na pewno tak, bo przeciez w momentach kluczowych dla dziejow swiata Stworca nie zostawilby niczego przypadkowi.

Dzis jednak Butch byl aniolem pelnym zwatpienia.

CZĘŚĆ 1



Archanioł Michał z impetem wkroczył do budynku, a jego twarz dosłownie płonęła gniewem. Cała, nie tylko tatuaż w kształcie płomienia okalający jedno, zmrużone teraz oko. Żar sprawiał, że panele na ścianach czerniały, włączniki i plastikowe osłonki kabli marszczyły się i kurczyły jakby z przestachu, a jarzeniówki nad jego głową trzaskały jedna po drugiej.

Smród wojny był jego heroldem. Niósł się daleko przed nim i zostawał długo po nim. Zapach dymu, krwi, błota i wszystkiego, co w błocie zostawiasz wraz z ostatnim tchnieniem. Zaduch wypoconego wysiłku bijący spod zbroi i woń strachu wrogów w ich kwaśnych oddechach skroplonych na napierśniku niczym rosa.

I jeszcze ten dźwięk wrzynający się w mózg niczym piła. Przytroczony do pasa miecz Wodza Zastępów ze zgrzytem rył terakotowe płytki, co w połączeniu ze stukotem ciężkich, ubłoconych buciorów uderzających równo niczym metronom zwiastowało wszystkim wyłącznie to, co najgorsze. Nic dziwnego, że aniołowie kryli się teraz w magazynach i składzikach, nie chcąc wchodzić Michałowi w drogę.

Jedynie Gabriel stał na końcu korytarza i czekał z założonymi rękami. Jako ten, który zwiastował śmierć, nie mógł się jej bać. Poza tym Michał, niezależnie od tego jak wściekły, wciąż był dla niego bratem.

– Cześć, Michale. Trochę ci zajęło – powiedział.

Archanioł Wojny obnażył kły i szedł dalej.

– Gdzie on jest? – warknął.

Gabriel wolno pokręcił głową.

– Na pewno nie pójdziesz do niego w takim stanie, bracie. Nie pozwolę ci go zabić, zanim nie dowiemy się, co tak naprawdę planował. Czy mam cię uczyć strategii?

Michał postąpił jeszcze trzy kroki i stanął tuż przed Gabrielem. Zaciśnął potężne dłonie w pięści, opuścił czoło.

– Zejdź mi z drogi – wycodził.

Gabriel ani drgnął. W jego czarnych oczach płonąca twarz wodza zastępów wyglądała jeszcze bardziej przerażająco.

– Miałeś okazję go zabić wiele lat temu, Michale. Ale wtedy uznałeś, że będzie dla nas użytecznym narzędziem, prawda? Nawet jeśli popełniłeś błąd, myślałeś wówczas jak wódz, jak strateg. Teraz dyszysz wściekłością, bo cię poniżył.

– Mnie?!

Twarc Michala buchnęła ogniem aż po sufit. Zajął się od niego także koszula Gabriela, ten jednak ugasił płomień kilkoma klepięciami.

– Tak, ciebie. Tego, który darował mu życie – odparł. – Mnie i wielu innych też poniżył, ale twoja twarz płonie teraz wyłącznie twoim oburzeniem. Zrobimy to teraz zatem po mojemu.

Michał nie odpowiedział. Dyszał tylko, na przemian zaciskając i rozluźniając pięści. Stali tak dobre dwie minuty, aż w końcu Wódz Zastępów cofnął się, a płomienie na jego twarzy przygasły.

– O czym chcesz gadać?

Gabriel przesunął się na bok i otworzył drzwi znajdujące się za jego plecami. Gestem zaprosił Michała do środka.

– Nie będziesz rozmawiał ze mną, a przynajmniej nie tylko. Chciałbym, żebyś najpierw porozmawiał z Zadrą.

– Zadrą?

Gabriel uśmiechnął się krzywo.

– Rozumiem, że jako wielki wódz umęczony wielkimi bitwami nie pamiętasz – rzucił z przekąsem, gdy Wódz Zastępów minął go i ruszył kolejnym korytarzem – ale przypominam, że wysłałem ci dwa tomy akt. Podpisałem je „Stróże”.

Michał łypnął na niego.

– Skąd pomyśl, że zainteresują mnie papiery opisane jako „Stróże”? Mnie obchodzi Kłamca.

Gabriel rozłożył ręce.

– Może stąd, że jesteś archaniołem i powinno cię interesować, co robią aniołowie w służbie cywilnej?

Michał tylko na niego łypnął.

– A może stąd – kontynuował Gabriel – że tam krok po kroku widać, jak uformowała się specjalna jednostka nadzoru stróży, z którą zdarzało ci się przecież współpracować, jakie były jej styki z Kłamcą i jak finalnie jej agenci dokonali odkrycia czegoś, co nazywa się Brudnopis Boga? Dużo straciłeś, będąc tu ostatnio tylko okazyjnie. Wiem, że miałeś swoje powody, ale świat nie stanął, gdy Zastępy ruszyły na kolejną ze swoich wojen.

Michał ugasił już płomień na twarzy, a teraz potarł ją oburącz, ścierając ostatni żar. Wyglądał na prawdziwie zmęczonego.

– Gdzie teraz idziemy? – zapytał.

– Przesłuchać świadków – odparł Gabriel.

Michał skinął głową.

– Potrzebuję pół godziny – stwierdził. – Wezmę prysznic, przebiorę się. Potem widzimy się w sali przesłuchań. Czy Kłamca jest w budynku?

Spojrzenie Gabriela powiedziało wyraźnie „nie jestem idiotą”, więc Michał tylko westchnął.

– Nie zamierzam niczego robić, dopóki nie uzgodnimy tego wspólnie, masz moje słowo. Chcę tylko wiedzieć, czy obstawić budynek moimi ludźmi na wypadek...

– Czego? Gdyby Loki miał swoją armię? – upewnił się Gabriel, po czym zaraz potrząsnął głową. – O ile wiem, nie ma. Ale być może udało się nam powstrzymać go w ostatniej chwili.

Michał przystanął.

– Aż tak?

Gabriel położył rękę na ramieniu brata, po czym zaraz ją cofnął i przyjrzał się jej z odrazą. Rozejrzał się za czymś, w co mógłby ją wytrzeć, ale ostatecznie odpuścił.

– Gdy będziesz gotowy, przygotowuję ci szybki briefing i streszczę naszą obecną sytuację. Z dobrych wieści...

– To są dobre? – zdziwił się Michał.

– Dla mnie niekoniecznie, ale ty możesz je za takie uznać. Loki nie jest już z tą twoją Jenny. To znaczy nie był nawet wtedy, gdy go pojмалиśmy... No co? Co to za mina?

Michał odchrząknął.

– Nie, nic. To dobrze. Zastanawiam się tylko, jak ona to zniosła.

Gabriel uśmiechnął się współczująco.

– Powiem ci to, bracie, jako boski posłaniec, który zwiastował wiele ważnych spraw: widziałem dużo gorsze reakcje. Uniknęła też w ten sposób wielu innych bardzo przykrych rzeczy.

Uniesiona brew Michała aż prosiła o kontynuowanie tej wypowiedzi, ale Gabriel oparł się pokusie.

– Pogadamy, jak się ogarniesz – zdecydował. – Najpierw tylko ty i ja, a potem rozmowa z Zadną.



– Wiele z tego już powinienes wiedzieć, ale zakładam, że miałeś ważniejsze rzeczy na głowie i wyrzuciłeś to z pamięci – powiedział Gabriel, stając przy gęsto zapisanej tablicy i biorąc do ręki wskaźnik. – Zaczniemy od WINA, czyli Wydziału Interwencyjnego Nadzoru Anielskiego.

Michał siedział na niewielkim krześle ubrany w szerokie bojówki, T-shirt i owinięty trzema parami swoich skrzydeł. Świeżo

wymyte włosy parowały lekko, tworząc nad jego głową coś na kształt pustej, komiksowej chmurki.

– Wydział Interwencyjny, jak pewnie wiesz, to jednostka, która powstała, żeby rejestrować i kontrolować Stróży, a także zapobiegać nadużyciom czy to w zakresie zwiększenia ich możliwości w pomaganiu opornym podopiecznym – uderzył w jeden z punktów na tablicy – czy to w celu uzyskania korzyści własnych albo działania na rzecz demonów lub istot mitologicznych.

– Oczywiście w obu przypadkach musieli się przeciąć z Kłamcą – stwierdził Michał. – To jego obszary. I chyba spotkaliśmy się kiedyś przy okazji jednej interwencji.

– Zgadza się – potwierdził Gabriel – ale pójdzie szybciej, jeśli nie będziesz mi dogadywał, dobra? Przydział do WINA otrzymali dwaj skrzydlaci. Jednym był wspomniany już anioł Zadra, wcześniej Stróż, zasadniczo w porządku, bez jakichś szczególnych predyspozycji, ale dobrze działający zespołowo. Jego partnerem został Butch...

– Znam Butcha – wtrącił się Michał, ale Gabriel pokręcił głową.

– Nie, nie znasz. To znaczy znałeś, ale... dobra, po kolei. Wyjdzie w rozmowie z Zadrą. W każdym razie Butch to anioł o specjalistycznym przeszkoleniu bojowym, używany do spraw specjalnych... Tak, wiem, że na razie brzmi ci to wszystko znajomo, ale proszę cię, wstrzymaj się z komentowaniem. Bo nie wiesz o tym, że ten obecny Butch, o którym aktualnie rozmawiamy, jest anomalią. W obecnej formie jest aniołem, który nie pochodzi z naszego świata.

– Co to znaczy: nie z naszego świata?

– To znaczy, że jest istotą z jednego z wariantów w Brudnopisie Boga.

Michał nerwowo poprawił się na krześle.

– Wyjaśnisz mi wreszcie to pojęcie? Bo na razie marnujesz czas na gadanie o pierdołach.

– Te pierdoły są ważne – odparł Gabriel i po nauczycielsku uderzył wskaźnikiem w otwartą dłoń. – I nie wiem, kiedy tak bardzo straciłeś serce do odpraw.

– Od kiedy prowadzą je cywile, którzy nie mają pojęcia, czym jest konkret – mruknął Wódz Zastępów. Rozłożył jednak ręce, jakby mówił „proszę, kontynuuj”.

Gabriel podszedł do tablicy i stuknął w kolejny punkt.

– Agenci WINA trafili na ślad pewnej istoty, która naruszyła granicę światów. Istota nazywała się Isma'il i to właśnie od niej dowiedzieli się o istnieniu Brudnopisu Boga... Już to tłumaczę. Uspokój się, bo w tej sali są spryskiwacze i zaraz je włączysz! Brudnopis Boga to według tego, co nam wiadomo, wszystkie inne pomysły na świat, jakie Bóg zapisał sobie na osobnych kartkach. Dla wygody nazywajmy je kalkami wymiarów. Wyobraź sobie pomysł jako szkic na przeźroczu. Gdy nałoży się go na nasz świat, zmienia bieg pewnych rzeczy. Na przykład co by było, gdyby Chrystus przyszedł tysiąc lat później, albo co by było, gdyby zablokować w ludziach zdolność tworzenia mitycznych poprzez wiarę. Inne warianty tego, co się dzieje, rozumiesz?

– Rozumiem, że to herezja. – Michał znowu obnażył kły.

Gabriel pokręcił głową.

– Żadna herezja, gdy pochodzi od Boga. To są szkice Stwórcy, które sobie przed odejściem sprawdził i które mu się nie podobały. Odłożył na bok, powiedzmy, że do szuflady. Resztę ułożył w określonym porządku i to jest nasz świat. Isma'il, ta istota, którą spotkali Zadra i Butch, pochodziła jakby z innej kartki. Tak to zrozumiałem. A może w ogóle spoza tych kartek?

Gabriel przesunął się wzdłuż tablicy, aż doszedł do jej krawędzi. Tam widniało jedno słowo: METATRON.

– I tu dochodzimy do sedna, a zarazem początku tego, co się teraz wydarzyło, i do powodu twojej obecności tutaj.

– Co ma do tego Głos Boga? – zdziwił się Wódz Zastępów.

Gabriel się uśmiechnął.

– W zasadzie wszystko. Bo tak się składa, że jeśli wierzyć temu, co zeznali Butch i Zadra, a czego dowiedzieli się od Isma'ila, to Bóg nie wybrał dla nas żadnego wariantu końca świata.

– Chcesz powiedzieć, że...

– ...że Bóg faktycznie dał ludziom wolną wolę w zakresie tego, jak się to wszystko skończy, choć jednocześnie opracował większość prawdopodobnych wariantów tego, co się wydarzy. I że to właśnie Metatron zdecydował o wybraniu jednego konkretnego. Ścieżki wiodącej do końca świata.

– Wiemy coś o nim? O tym wariancie?

– Och, bardzo dużo. – Gabriel odłożył wskaźnik i przeczesał palcami długie włosy. – Wiemy, że Lucyfer odkrywa w nim prawdę o powiązaniu ewangelistów z jeźdźcami, wszczyna zamieszki, wykorzystując do tego mitycznych, piekielnych i armię stworzoną z nienarodzonych w limbo, a wszystko kończy Loki, używając ludzkiej wiary i świętych jabłek oraz teatralnego przedstawienia, by wzbudzić w garstce ostatnich ludzi przekonanie, że nie ma żadnych bogów ani żadnej wiary. Czyli następuje totalna anihilacja wszystkiego, co z perspektywy mieszkańców Ziemi nadprzyrodzone. Zostaje garstka ludzi niezdolna do wierzenia w jakiegokolwiek boga czy jakiegokolwiek zaświaty. To tak w wielkim skrócie.

Przerwał i z uśmiechem przyglądał się Michałowi trawiącemu te wszystkie informacje. Bardzo dużo jak na krótki briefing, ale na Trony i Zwierzchności, to wszystko było w aktach. Wystarczyło je wcześniej przeczytać.

– Jeśli chodzi o ten wariant apokalipsy, Michale, to nie musisz go już analizować – powiedział w końcu. – Stał się nieaktualny po

tym, jak dowiedział się o nim Loki.

– Co?! – ryknął Michał.

Jego twarz zapłonęła, a rozłożonymi nagle trzema parami skrzydeł rozrzucił po sali rozstawione krzesła. Gabriel i to przyjął ze spokojem.

– No przecież tego akurat mogłeś się domyślić, bracie. Loki dotarł do Isma'ila, poznał przyszłość i uznał, że mu się nie podoba. A ponieważ wie teraz, że temat końca świata nie jest ostatecznie ustalony, zaczął działać.

To powiedziawszy, Gabriel odłożył wskaźnik i wskazał w stronę drzwi.

– A teraz proszę. Skoro pierwszy szok masz już za sobą, przedstawię ci Zadrę.



W pomieszczeniu o białych ścianach stały stół i cztery krzesła. Zadra siedział na jednym z nich, owinięty skrzydłami i pogrążony w półśnie; pozostałe miejsca czekały puste.

Jak długo anioł już tu był? Nie miał pojęcia. Dni, miesiące, może lata, a nawet dekady? Miał czekać. Dostał polecenie z rodzaju tych, którym żaden anioł sprzeciwić się nie może pod groźbą upadku. No chyba że Butch – jego w obecnym stanie nie obowiązywały już chyba żadne stare zasady.

Zadra zastanawiał się, czy jego też pojмали. W pamięci miał chwilę pochwycenia Lokiego, Bachusa i Erosa, a nawet tego przeklętego pluszowego misia. Ale Butch w chwili największego zamieszania umknął jego uwadze. Kto wie, może ukrył się w lasach Montany? Może zbiegł, skrył się i postanowił żyć jak

człowiek albo po prostu mityczny? Miał wystarczające umiejętności, by sobie poradzić.

Zadra szczerze życzył mu szczęścia, na swoje natomiast nie liczył. Nie po tym, jak zachowywali się wobec niego współpracacy w Metatronowym śpiewie. Nie po tym, jak patrzył na niego archanioł Gabriel. Wreszcie nie po słowach, które do niego skierował: „Będziesz czekał!”.

Czekał więc. Owinięty skrzydłami próbował uporządkować swoje wspomnienia. Tworzył w myślach bilans win i nagięć regulaminu, których się dopuścił, rozważał potencjalne kary, jakie na niego spadną. Czy czuł żal? Na to jedno pytanie nie umiał sobie odpowiedzieć. Ale wątpił, by zadał je ktokolwiek inny.

Nagle rozległo się ciche pyknięcie. Jedna ze ścian poruszyła się, ujawniając drzwi. Uchyliły się, a w progu stanął archanioł Gabriel.

Zadra natychmiast poderwał się z miejsca, wyprostował i złożył skrzydła.

– Archaniele!

– Teraz – prychnął Gabriel. – Nagle się zrobiłeś taki regulaminowy. Siadaj.

Wszedł dalej, ujawniając kolejnego gościa. Zadra przełknął ślinę. Usiadł.

Archanioł Michał nie miał na sobie zbroi, tylko płócienną koszulę i spodnie. Był boso, a tatuaż na jego twarzy ledwie się tlił. Jak na siebie wyglądał wyjątkowo spokojnie, ale Stróż z jakiegoś powodu czuł, że jeśli gniew jest ufortyfikowanym szczytem, to Wódz Zastępów jest już po jego drugiej stronie. Ten spokój zdecydowanie nie był wyciszeniem gniewu. Był wystudzeniem rozgrzanego żelaza przekutego w miecz. I jak by to powiedział Kłamca, wszystko wskazywało na to, że ten właśnie miecz zaraz znajdzie się w dupie Zadry. Po rękojść.

Archaniołowie odsunęli krzesła, a Michał rzucił na stół wielką, skórzaną księgę. Huknęło tak, że zamknęły się drzwi.

Pomieszczenie znowu było białą przestrzenią bez wyjścia.

– Co Kłamca zrobił Butchowi? – zaczął bez ogródek Wódz Zastępów.

Zadra zerknął nerwowo na Gabriela, ale ten nie zareagował.

– Zabił go.

– Zabił? – zdziwił się Michał.

Zadra skinął głową.

– Właściwie to zabił go pewnie z kilkaset razy. Do momentu, kiedy trafił mu się taki, który... – urwał i znowu zerknął na Gabriela. – Przepraszam, ale nie wiem, w którym momencie powinienem zacząć tę opowieść.

Boski posłaniec nachylił się do przodu. Oparł łokcie o stół, dłonie złożył w piramidkę.

– Co się stało, gdy Loki dowiedział się o Isma'ilu i Brudnopisie Boga?

Zadra pokiwał głową.

– A, czyli dobrze zacząłem – powiedział. – No więc Loki dowiedział się, że Butch jest istotą z innej kartki Brudnopisu, która w jakiś sposób pojawiła się w naszej, właściwej rzeczywistości. Co więcej, ze starych akt, które, archaniele, pokazywałeś, i które zostały oznaczone jako „Stróże”... Co, coś nie tak?

Gabriel uśmiechnął się półgębkiem i pokręcił głową.

– Nie, Wódz Zastępów jest po prostu zmęczony, dlatego tak ciężko wzdycha, prawda bracie? Kontynuuj, Zadra.

– Kłamca przeczytał, że Butch pojawił się już na Ziemi w więcej niż jednym wariantcie, więc uznał... Kłamca, nie Butch, że może istnieć prawidłowość, iż Butch za każdym razem, gdy zginie, zostaje zastąpiony przez swój wariant z innej kartki Brudnopisu. Loki postanowił to sprawdzić poprzez zabicie Butcha.

Twarz Michała na moment rozjarzyła się mocniej. Zaraz jednak archanioł opanował płomień.

– I rozumiem, że się potwierdziło? – wycedził.

– Tak – potwierdził Zadra. – Butch umarł, ale niedługo potem wstał, tylko że był już nieco innym Butchem.

Archanioł Michał podniósł się z miejsca, zupełnie jakby próbował odtworzyć słyszane słowa. Zaplótł ręce z tyłu i zaczął się przechadzać wokół stołu. Gabriel i Zadra śledzili go wzrokiem.

– I co Kłamca zrobił z tą wiedzą? – zapytał Michał.

Agent WINA nie odpowiedział od razu. Archanioł zatrzymał się i spojrzał prosto na niego.

– Mówiłeś coś o tym, że zabił go kilkaset razy – przypomniał. – Powiedziałeś, że robił to do czasu, aż Butch stał się...

– Aż trafił się wariant, który w swojej rzeczywistości sprzyjał Lokiemu. Kłamca uznał, że to będzie prostsze niż tłumaczenie i przekonywanie do swoich racji.

Michał znowu ruszył wokół pokoju.

– Udało mu się?

– Tak, archaniele. Nie wiem za którą próbą, ale tak.

– I co dalej? Rozumiem, że na tym etapie Kłamca znał już przewidywany koniec świata?

– Tak, znał – potwierdził Zadra. – I podjął kroki, by mu zapobiec.

Michał znowu przystanął.

– Kroki? Jakie kroki?

– Nie znam szczegółów, bo nie we wszystkim uczestniczyłem – odparł agent WINA, zerkając na milczącego Gabriela. – Wiem, że wiązało się to między innymi ze zbezczeszczeniem grobów ewangelistów i napisaniem listu do Lucyfera z informacją, że Kłamca wie o jego planach i nie dopuści do ich realizacji.

Michał dłuższą chwilę milczał. W końcu zerwał się i szybkim krokiem podszedł do Zadry. Złapał go za brodę, zadarł do góry i bardzo uważnie przyjrzał się jego twarzy, szczególnie oczom.

– Wiesz, że jeśli jakimś cudem Loki nauczył cię kłamać i demonstrujesz mi teraz swoją nową umiejętność, to prędzej czy później się tego dowiem?

Zadra przełknął ślinę.

– Tak, archaniele.

– I nadal twierdzisz, że jedyne, co Kłamca wtedy zrobił, to zniszczył groby i napisał do Lucyfera, że chce go powstrzymać?

– Nie to powiedziałem, archaniele. Ale takie były jego pierwsze kroki.

Michał puścił jego szczękę, cofnął się o krok.

– Więc jakie były następne?

– Przede wszystkim Loki nie pozwolił nam o czymkolwiek mówić. Zaczął przygotowywać plan, a w międzyczasie zgłosił się do Nadzoru i do archaniola Gabriela o pozwolenie na ściślejszą współpracę z WINA. Miał być takim naszym agentem terenowym do zadań specjalnych.

Michał zerknął na brata. Ten potwierdził skinieniem głowy.

– Tak było. I wtedy wydawało się to świetnym pomysłem.

Wódz Zastępów chrząknął i szybko rozważył, jak dalej może się potoczyć wymiana zdań z Gabrielem. Uznawszy, że nie ma szans jej wygrać, znowu zwrócił się do Zadry.

– Wspomniałeś o przygotowywanym przez Lokiego planie.

– Tak, nazywało się to operacja „Straszny brzydal” i dotyczyło...

– Zostaw to na razie, Zadra – wtrącił się do rozmowy Gabriel. – Jeszcze do tego wrócimy, podobnie jak do tego, dlaczego ty postanowiłeś zostać przy Lokim. Bo przecież nie byłeś jak Butch, nie musiałeś.

– To było moje następne pytanie – zgodził się Michał, wyraźnie zaskoczony wtrąceniem brata. – Ale nie rozumiem, dlaczego...

– To zaraz zrozumiesz – wszedł mu w zdanie Gabriel, po czym wskazał na Zadkę. – Opowiedz najpierw o dzikich aniołach.

– Dzikich aniołach? – Michała zaczęły już wyraźnie irytować rzeczy, których nie rozumiał. Czuł się tak, jakby zaczął czytać książkę nieświadomy, że to kolejny tom.

– To aniołowie, którzy nie funkcjonowali w naszych rejestrach – wyjaśnił Zadra. – Dwa lata temu WINA otrzymał doniesienia o ludziach chronionych przez niezarejestrowanych Stróży. Z początku traktowaliśmy je jako plotki, ale tych spraw było coraz więcej i zaczęliśmy się nimi interesować. Przez dłuższy czas bezskutecznie, ale...

– ...ale w pewnym momencie Loki przypadkiem wpadł na trop – wtrącił się Gabriel. – O tym opowiedz. A ty, Michale, słuchaj wyjątkowo uważnie.

Wódz Zastępów sięgnął rękami do twarzy, zasłonił pełgający po niej płomień. W końcu opuścił dłonie, wrócił do krzesła, siadł i skrzyżował dłonie na piersi.

– Mów – polecił.

Zadra odchrząknął i zaczął opowiadać.

OPERACJA WNUCZEK

Tej nocy uliczny rynsztok przed klubem Blue Circle był niczym umywalka w łazience drag queen po szalonej nocy w Vegas. Rwąca wartkimi strumieniami woda mieniła się w nim blaskiem okolicznych neonów niczym zmyty intensywny makijaż i niknęła w kolejnych deszczowych studzienkach, wypełniając jedną po drugiej jak sprawny barman nalewający szoty.

Takie skojarzenie podobało się Burtonowi bardziej niż to, którego przed chwilą użył ten młokos Chris Stentson. Według niego mieniające się w neonach krople deszczu sprawiały, że świat wyglądał jak roztrzaskany kościelny witraż rozpadający się właśnie na miliony kawałków.

Witraż, dobre sobie, pomyślał Burton. Tutaj, w wąskim kanionie wysokich, obskurnych kamienic obwieszonych przeciwpożarowymi schodami niczym czarni alfonsi złotem. W kolorowej, migoczącej i bzyczącej mekce miłośników drogich kurew i tanich drinków, gdzie do ciemnych zaułków bały się wchodzić nawet wyliniałe szczury.

I to jeszcze kościelny. Ostatnie skojarzenie Burтона z kościołem w tej okolicy to dziewczyna w klubie go-go przebrana za zakonnicę. Samego przebrania było tam niewiele – miała na sobie tylko welon i stringi z krzyżykiem – ale za to podczas programu często osuwała się na kolana i składała ręce, a także kazała do siebie mówić „siostró”. Miała na imię Stacy, a gdy dał jej pięć dolców, zjechała na rurze głową w dół, językiem wyłowiła wisienki z drinka i zawiązała łądźkę w supełek. Jeśli to samo potem robiła z twoim kutasem, to wykrzykiwanie imienia Boga na pewno nie byłoby nadaremno.

Ale nawet mimo tego – kościelny witraż? Co za bzdura.

– Nie wiem, czemu musimy tu stać – mruknął nagle Chris, a jego głos szarpnął zamyślonym Burtonem i wyciągnął go z otchłani świata wspomnień pod markizę przed drzwiami Blue Circle. – To znaczy na zewnątrz. Pies z kulawą nogą tu dziś nie przyjdzie, a nawet jeśli, to możemy przecież przez wizjer.

– Wizjer ma ograniczone widzenie, a szef kazał pilnować wejścia. To pilnujemy – przypomniał Burton. – I nie stoimy tu z powodu psa. Powiedziałbym, że wręcz przeciwnie.

Chris prychnął cicho.

– Nie mów, że ty też w to wierzysz – zadrwił. – Serio? Naprawdę boisz się tego typu od zabitego kota?

Burton wyjął z kieszeni zmiętą paczkę papierosów. Przez chwilę patrzył na nie niczym Hamlet w czaszkę, w końcu wysunął jednego i włożył do ust. Odpalił, zaciągnął się i wypuścił kłęb dymu.

– Powiesz mi jeszcze raz, skąd do nas przyjechałeś, Chris? – poprosił. – I kiedy?

– Rok temu z Dallas. Ale nie rozumiem, co to...

Burton uniósł rękę na znak, że nie potrzebuje więcej. Jeszcze raz się zaciągnął.

– Ze dwadzieścia lat temu dwie przecznice stąd mieszkała taka stara kobiecina, Ukrainka. Olena jakaś tam, nie wiem. Miała na pewno ze sto lat, a chuj wie, może i dwieście.

– Ta, pięćset od razu. – Chris się zaśmiał, ale gdy dostrzegł minę starszego kolegi, machnął ręką na znak, że nieważne. – No dobra, co z tą Oleną?

– Była burdelmamą. Przyjechała tu z gotowym biznesem. Weszła na ostro: bogata oferta, programy lojalnościowe, zniżki. Do tego szybko wyszło, że miała najlepsze dziewczuchy w mieście. Oraz, co ważne, chyba z pięćdziesięciu chłopów do pilnowania porządku. Mogłeś do niej walić jak w dym i nie bać się, że ktoś cię wsypie, sfilmuje lub okradnie. U niej to mur-beton. No obrotna była baba

jak cholera, a do tego mówili, że jasnowidzka i szeptucha. Ilekroć na nią nasyłali kilerów, stara prukwa wiedziała zawczasu i szykowała niespodziankę. Potem do szefów, w tym naszego, miesiącami przychodziły paczki z tych pożał się Boże asasynów. A to ucho, a to palec albo jajca... Na Olenę wołali tu na zmianę „Baba-Jaga” i „ta ukraińska kurwa”. Wierz mi, wszyscy się jej tu bali. Nawet szef.

Jeszcze raz się zaciągnął, ale papieros, który szybko nasiąkł wilgocią, smakował teraz jak używana chustka do nosa. Burton uniósł go przed oczy, spojrzął z niesmakiem, po czym pstryknął nim w nurt rynsztoku.

– Baba-Jaga miała wnuka – podjął przerwany wątek. – Znaczy kilku miała, ale jeden to był jej taki ulubieniec. Zdolny chłopak, jeszcze podstawówki nie skończył, a już bił się i strzelał jak starzy. Jako szesnastolatek latał już dla naszego szefa z towarem i pilnował klubów. Jako osiemnastolatek jeździł po kraju i odliczał łby. Mówi się, że miał ich na koncie setkę, nim legalnie mógł się napić piwa. Na imię miał chyba Yanek czy jakoś tak. Ale wołali na niego „Johnny od wiedzy” albo w skrócie...

– Johnny Witch, tak, tak – dokończył Chris, drapiąc się po bliźnie na łysym łbie, której ponoć dorobił się, walcząc sam przeciwko czterem motocyklistom. – Słuchaj, Burton, ja wiem, że ty jesteś bajkopisarz i w ogóle fajnie jest postraszyć nowego. Ale ja naprawdę wyrosłem już z tych głupot o Babie-Jadze. Parę łbów w życiu roztrzaskałem o beton i...

Urwał nagle i wyteżył wzrok, patrząc w dal przez gęsty deszcz.

Burton podążył za jego spojrzeniem i dostrzegł, że na końcu ulicy w blasku latarni stoi mężczyzna. Ubrany był w białą koszulę i czarny garnitur, mokre włosy lepiły mu się do twarzy. Na przemian zaciskał i rozluźniał pięści, trochę jak rewolwerowiec w starych westernach.

– O kurwa – jęknął Burton, sięgając po spluwę.

Wtedy nagle tamten ruszył w ich stronę, wychodząc z kręgu światła.

Burton wymierzył w wielobarwny, neonowy mrok. Zobaczył, że Chris robi to samo, dał mu znak, że strzelają na sygnał.

– Pierdol się! – krzyknął Chris, nie wiadomo, czy do Burтона czy do czającego się w mroku Witcha. A potem zaczął wrzeszczeć i strzelać.

Burton się powstrzymał. Patrzył w ciemność, w deszcz, w iskry krzesane rykoszetującymi kulami. Wypatrywał jakiegokolwiek ruchu.

Że też akurat tego cholernego kota musiał rozjechać dzieciak szefa, pomyślał. Ten zwierzak był ponoć jedyną pamiątką, jaką Witch miał po zmarłej babce. To i ksywkę. Nic dziwnego, że po nas przyszedł...

W pistolecie Chrisa zabrakło amunicji, a jemu samemu siły, by dalej wrzeszczeć. Przez chwilę słychać było tylko szum deszczu, rynsztoka i cichy pisk w uszach.

Aż nagle w ciemności pojawił się rozbłysk, potem drugi. Rozległy się dwa z jakiegoś powodu wyjątkowo ciche wystrzały. Chris złapał się za twarz, spomiędzy palców trysnęła krew.

Burton opanował strach. Wykorzystał okazję, że lufa Witcha na pewno nie była w tym momencie skierowana w niego. Uniósł broń wyżej i wygarnął w deszcz cały magazynek. Był niemal pewien, że trafia prosto w jasny trójkąt koszuli tamtego. Widział też jego oczy lśniące na zielono jak u kota. Celował między nie, a że był wytrawnym strzelcem, nie mógł chybić.

Ale wtedy jakiś nagły, rozmyty ruch sprawił, że kula, która niemal sięgnęła celu, poleciała w bok i zrykoszetowała od budki telefonicznej. Podobnie stało się z kolejnymi dwoma pociskami.

Jakby miał jakąś niewidzialną tarczę, przemknęło przez głowę spanikowanego Burтона. Albo jakby ktoś, kogo nie widzę, wyłapywał za niego kule.

Zaraz potem sam oberwał w szyję. Wypuścił pistolet i złapał się za nią oburącz, bezskutecznie próbując tamować krwotok. Opadł wolno najpierw na kolana, potem na bok. Z tej pozycji zobaczył, jak Witch wchodzi pod markizę, przeładowuje broń, sięga do klamki i otwiera drzwi.

Burton był niemal pewien, że gdy tamten szedł, w blasku lampy było widać kilka innych sylwetek. Jakby wnukowi Baby-Jagi towarzyszyła świetlista obstawa złożona z kilku cholernych elfów.

I to wszystko z powodu jednego rozjechanego kota, pomyślał.

Z klubu dobiegły strzały, a potem świadomość Burtona zapadła się w ciemność i ciszę.



Loki tego dnia się nudził. Zwykle dopadało go to po tygodniu, dwóch urlopu w Nowym Jorku, gdy już zdążył odwiedzić wszystkie swoje ulubione miejsca i kolejny raz zagrać talię sprawdzonych sztuczek. Gdy było się zmiennokształtnym bogiem kłamstwa, wyczyszczenie zadań pobocznych z mapy Wielkiego Jabłka było prostsze niż granie w Spider-Mana na kodach.

Tym razem był tutaj w pewnym sensie służbowo, co trochę zmieniał optykę. Na własny wniosek bowiem – i z oficjalną zgodą archaniola Gabriela – zjechał tu z Butchem i Zadrą, aniołami z Wydziału Interwencyjnego Nadzoru Anielskiego. Oficjalnie po to, by tropić nadużycia stosowane przez Stróżów w obronie swoich podopiecznych. W praktyce... no cóż. Szybko wyszło, że wystarczyło pilnować, by Loki nie prowokował skrzydlatych do wykroczeń, a już liczba nadużyć spadała o prawie połowę. Czyli tak naprawdę Loki musiał po prostu nie przeszkadzać i w nic się

nie wtrącać. Nawet nieźle mu to szło do chwili, gdy wyszedł z metra i zobaczył zamieszanie pod Blue Circle.

Kiedys bardzo lubił ten klub, który niestety sporo stracił na uroku od czasów, gdy stał się ulubioną miejscówką, a potem własnością jednego z lokalnych gangsterów. Teraz jednak ewidentnie coś się pod nim działo, bo cała ulica wypełniona była gapiami, a okoliczne ceglane ściany rozbłyśkały na czerwono i niebieskiego pod dyktando radiowozowych kogutów. Nieco dalej rozkładały się już wozy transmisyjne kolejnych stacji telewizyjnych.

Strzelanina? – pomyślał Loki, ale zaraz odrzucił tę możliwość. Klub ze striptizem to nie szkoła podstawowa. Nie tak łatwo wejść z bronią.

Zaciekawiony zaczął przeciskać się między ludźmi, aż udało mu się dopchać niemal do samych taśm. Wpasował się niczym tetrisowy klocek między grubą Afroamerykankę a kogoś, kto przypominał portorykańskiego statystę z West Side Story, i powiódł wzrokiem po ogrodzonej przestrzeni. Zobaczył grupę mundurowych zgromadzonych przy wejściu i parawan, za którym kryli się policyjni technicy, a nieco dalej sześć radiowozów i mobilne laboratorium. Wszystko wskazywało na to, że sprawa była poważna.

Loki sięgnął do kieszeni i wyjął z niej portfel, który dzięki prostej sztuczce na krótką chwilę stał się blachą detektywa NYPD.

Korzystając z tego, że oczy wszystkich skupione były na wejściu do klubu, wtulił głowę w ramiona, skupił się i szybko zmienił wygląd. Postarzył twarz, zmieniając jej rysy, nadał włosom ogniście rudy kolor. Zrobił to głównie z myślą o gapiach. Wiedział bowiem, że z tą twarzą i obowiązkowymi okularami przeciwsłonecznymi będzie się z pewnej odległości kojarzył ludziom jako brat bliźniak Davida Caruso z CSI Miami. Może dzięki

temu część ludzi pomyśli, że to nie prawdziwa zbrodnia, tylko plan serialu? Może ktoś napisze o tym na Facebooku?

Ta mistyfikacja nie miała oczywiście żadnego celu czy głębszego sensu. Loki po prostu uważał, że nie ma wielu piękniejszych rzeczy we współczesnym świecie niż chaos mediów społecznościowych. Teorie spiskowe rodzące się właśnie z jednej fotki, jednego cienia rzuconego na ścianę. Z tego samego powodu nie tak dawno palił papierosy ze szwedzkimi licealistami jako Greta Thunberg albo objawiał się mokrymi śladami na tynkach budynków, by ludzie brali go za Chrystusa.

Jedni wierzyli, inni natomiast widzieli podstawę do zwątpienia. Jedni i drudzy byli naiwniakami. Cymbałami, na których można było zagrać każdą melodię. Gdy już dokonał przemiany, przeszedł pod taśmą. Ruszającemu w jego stronę mundurowemu machnął blachą i uśmiechnął się na widok wyraźnej konsternacji na twarzy policjanta. Pewnie też oglądał serial.

Loki obszedł parawan i zatrzymał się, by nie wdepnąć na obrysy po ciałach. Dwóch ochroniarzy, obaj zastrzeleni. Sporo krwi, a wszystkie ślady tak malownicze i elegancko skomponowane, jakby stał za tym sam Banksy.

Znowu machnął odznaką, minął kolejnego mundurowego, przekroczył próg i przepuścił w progu techników. Zdjął okulary, ale nie zdążył pokonać trzech schodków, gdy natknął się na kolejny obrys. A dwa stopnie niżej jeszcze jeden.

W sali głównej było ich łącznie siedemnaście. Pięć kolejnych właśnie kończono, a pomiędzy nimi grupa techników uwijała się jak w ukropie. Trzech policjantów ubranych po cywilnemu, ale tak, że gliną śmierdziało na kilometr, przyglądało się temu wszystkiemu, dopijając resztki drinków przy pobliskim stoliku.

Kłamca przyjrzał im się uważnie. Irlandczyk, Włoch i Latynos. Samo zestawienie brzmiało jak początek dowcipu. Ale od kogo miałby się czegoś dowiedzieć, jak nie od nich?

– Jerry Loker – przywitał się. – Przyszyła mnie komendant główny, by zapytać, czy będą z tego jakieś większe kwasy.

Szpakowaty Irlandczyk, najstarszy i największy z całej czwórki, podrapał się po zarośniętym policzku.

– Guy McLusky – przedstawił się. – A ty, Jerry, pewnie jesteś tu w mieście nowy, co?

– Pytasz, bo nigdy mnie tu nie widziałeś?

– Pytam, bo ktoś z doświadczeniem wiedziałby, że w tym mieście chuja się dowie, mówiąc staremu glinie, że jest od nowego szefa szefów.

Loki sięgnął do kieszeni po wykałaczki, wsunął jedną do ust. Przez głowę przemknęła mu widziana gdzieś informacja, że faktycznie kilka miesięcy temu na stanowisku szefa nowojorskiej policji nastąpiła zmiana. Było to po kolejnej aferze z nadużyciem policyjnej siły wobec czarnej społeczności i kolejnym mocno gorączkowym proteście ruchu Black Lives Matter. Nowy komendant był nominatem liberałów, więc zapewne, zdaniem takich jak ci tutaj, miękką fajką.

– No cóż – stwierdził w końcu Kłamca. – Skoro i tak nic mi nie powiecie, to tylko wezmę od techników woreczek na dowody i poproszę was wszystkich o próbki śliny, które zabiorę ze sobą na komendę.

Zrobił pauzę, powiódł wzrokiem po zaskoczonych policjantach, po czym uśmiechnął się półgębkiem, puentując:

– Pochodzę z Południa i faktycznie jestem w Nowym Jorku od niedawna. Do tego stopnia, że moje obowiązki sprowadzają się przede wszystkim do zbierania newsów i robienia szefowi kawy. Zwykle doprawiam ją cholernemu liberałowi sam, ale pomyślałem, że może chcielibyście do ewentualnego raportu dołożyć coś od siebie, co?

Ten żart nie wywołał aplauzu, ale trudno się było dziwić. Kłamca był pewien, że ci tutaj byli wkręcani w dużo sprytniejsze

prowokacje i wiedzieli, jak na nie reagować. Widział jednak, że mimo wszystko trochę się rozluźnili. Przynajmniej na tyle, by nie traktować go jak potencjalnego kapusia.

Poszedł więc za ciosem i wzorem zebranych sięgnął do najbliższego nadpitego drinka, wziął łyk i powtórzył pytanie:

– To jak, będą z tego kwasy?

– Cóż, mamy tu łącznie trzydzieści dwa trupy, Rudy – powiedział po chwili McLusky. – Raczej po kościach się nie rozejdzie. Ale większość ofiar to mendy, a Blue Circle to lokal, który od zawsze był dla władz miasta wrzodem, więc w sumie szefowi i burmistrzowi może wyjść na dobre. Rozwiąże im ręce w niektórych sprawach. No, chyba że...

Urwał i popatrzył po kolegach. Niewysoki, szczupły Włoch wzruszył ramionami, że wszystko jedno.

– Chyba że wyjdzie do opinii publicznej, kto i jak to zrobił – stwierdził.

Loki sięgnął do kieszeni i wyjął pudełko wykałaczek. Wsunął jedną do ust.

– Aha, czyli już wiecie kto to? – zapytał. – No to pięknie, szybko uda się zamknąć sprawę.

Policjanci znowu popatrzyli po sobie, porozumiewając się bezgłośnie. Zachowywali się tak, jakby wszystkie zjedzone wspólnie pączki i wypite kawy uczyniły ich jednym umysłem podzielonym na kilka ciał, lukrowo-kofeinowym rojem.

– Chodź ze mną – powiedział w końcu McLusky.

Przeszli przez salę, częściowo jak w zabawie „podłoga to lawa”, bo kilka odcinków musieli pokonać po krzesłach i stołach, by nie zakłócać pracy posylikującym technikom. W końcu jednak dotarli do wielkich drzwi z napisem „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Irlandczyk pchnął je i obaj weszli dalej. Minęli dwa zamknięte pomieszczenia i weszli do trzeciego, gdzie znajdował się

monitoring. McLusky zwałił się na skrzypiące obrotowe krzesło, złapał za myszkę i wybrał właściwy folder, a potem plik.

– Mam monitoring z tego, co tu zaszło – powiedział, odwracając się do Lokiego. – Powiem ci, że zanim to włączę, powinienem skasować cię za bilet i namówić na zakup popcornu.

Kłamca skinął głową.

– Domyśliłem się już po tym, jak rozrzucone są ciała, że była tu gruba akcja i niezłe kino. Porachunki gangów?

McLusky pokręcił głową z uśmiechem.

– Lepiej, stary. Za tym wszystkim stoi jeden facet. Słyszałeś kiedyś o Johnnym Witchu?

Loki nie słyszał. Ale coś w głowie, jakiś cichy głosik, który rzadko prowadził do czegoś dobrego, podpowiadał mu, że czas nowojorskiej nudy właśnie dobiegł końca.



– Nie rozumiem, dlaczego na to patrzę – powiedział Zadra.

Wlepiał wzrok w monitor i oglądał wykradzione przez Lokiego nagrania z Blue Circle. Na ekranie Johnny Witch dokonywał właśnie rzezi, sunąc między bawiącymi się w klubie, jakby był na strzelnicy.

– Jest ku temu jakiś konkretny powód, Loki? Prócz tego oczywistego, że potrzebowałeś codziennej porcji popkulturowej przemocy, a wnuk pani Struges spod trójki zorientował się, że podkradamy jej Netfliksa?

Loki stał akurat w aneksie kuchennym niewielkiego mieszkanka na Brooklynie, które od półtora tygodnia stanowiło tymczasową nieformalną siedzibę WINA. Miał na sobie fartuszek z napisem „Pocałuj kucharza” i próbował przyrządzić danie według przepisu

z książki trzymanej przez brązowego, pluszowego misia z wielką łatą na brzuszku.

– Słowo daję – zwrócił się do niego. – Za każdym razem, jak tu patrzę, czytam o czymś innym. Jak się zorientuję, że mi potajemnie przewracasz kartki...

– Loki, pytałem o coś – upomniał się Zadra. – Dlaczego siedzę tu i oglądam strzelaninę w nocnym klubie?

Kłamca wyprostował się i wycelował w anioła czubkiem noża.

– Może dlatego, że ostatnio statystyki mocno się wam popsują i macie słabą wykrywalność – odparł. – To zwraca uwagę na was, a więc, ponieważ pracujemy razem, pośrednio i na mnie. Chcąc uniknąć Gabrielowej reprimendy, postarałem się o coś, czym możecie się zająć.

– Czyli to wszystko twoja mistyfikacja, tak? – upewnił się Zadra.

Kłamca westchnął i pokręcił głową, po czym wskazał nożem na siedzącego w kącie Butcha. Wielki anioł wyglądający jak John Cena z nałożoną deepfake’owo twarzą Humphreya Bogarta miał przymknięte oczy i sprawiał wrażenie, jakby spał.

– Żadna mistyfikacja. Autentyk, ale dla kumatych. Kolega ci wyjaśni, skoro sam nie widzisz – powiedział Kłamca. – On zauważył od razu. Butch, możesz czynić honory?

– Linie ognia.

Loki ponownie przekierował ostrze w Zadrę.

– Słyszałeś, zuchu? Linie ognia – powtórzył, a gdy nie dostrzegł na twarzy Stróża śladu zrozumienia, westchnął. – Jak ty zostałeś śledczym, to nawet Bóg raczy nie wiedzieć. Ale dobra, spróbujemy jak do przeciętnego tłuka. Wyobraź sobie, że oglądasz w telewizji program Jak oni strzelają i twoim zadaniem jest ustalić, jak pięknie strzela nasz pan Witch, że ma aż tak stuprocentową skuteczność, a jednocześnie sam nie wyłapuje nawet draśnięcia. Zrób to, przewiń, odpal jeszcze raz i... Ty, Misiek, przecież ja cię widzę kątem oka.

Pogroził nożem pluszowemu misiowi.

– Co ty myślisz, że ja nie mam pieprzonego kąta oka? I nie, mój pluszowy panie, nie nabierzesz mnie na te swoje słodkie, czarne koraliki oczek. W tym przepisie na pewno nie powinno być bitej śmietany i dżemu. Nie do cholernej wołowiny!

Zgodnie z sugestią Zadra jeszcze raz puścił nagranie i tym razem skupił się na wskazanym elemencie.

– Czekaj, chyba mam! – zawołał po chwili. – Chodzi o to, że...

– Johnny strzela, a Bóg kule nosi, tak jest – dokończył Kłamca. – Czy też niekoniecznie Bóg, ale na pewno ktoś. Bo gdyby pociski szły tam, gdzie nasz wiedźmi wnuk strzela, toby trafiał co trzeci raz.

– Co czwarty – poprawił Butch wciąż z przymkniętymi oczami. – Patrząc na ustawienie lufy względem przeciwników, trafiałby raz na cztery strzały. A mimo to ofiary padają po każdym jednym strzale.

– Ja to nazywam cudem sąsiada – stwierdził Loki, sięgając po wykałaczkę. Wsadził ją do ust i językiem przepchnął z jednego kącika do drugiego. – Jak wtedy, gdy bezpłodnemu mężczyźnie żona nagle zachodzi w ciążę. Krótko mówiąc, bez pomocy się nie obeszło.

– I to więcej niż jednej osoby – podkreślił Butch. – Co najmniej trzech, a może nawet pięciu.

Zadra wcisnął pauzę i przyjrzał się wszystkim postaciom obecnym na obrazku. W tym konkretnym momencie strzelały trzy z nich. Jedną był Johnny.

– On tu powinien oberwać – zauważył Zadra, dotykając monitora. – Ten koleś ewidentnie ma go na muszce, strzela, a Witch nie robi uniku.

Loki skinął głową.

– Zgadza się. A teraz puść i zatrzymaj... o teraz. I spójrz w lewy, górny róg ekranu. Popatrz, co się dzieje z tą lampą. To musiała być

ta sama kula, tylko jakimś cudem odbita od niczego. Witch już ma oberwać, coś niewidzialnego odbija kulę i biedna lampa kończy bez klosza. Podobnie jest kilka sekund wcześniej. Ten gość, co strzela zza rogu, tam przy barze. On też nie ma prawa chybić. A jednak... Dobra, Kłamczuch, dość tego. Tym razem zapamiętałem numer strony. Co ty chcesz, żebym się tym otruł, czy o co ci chodzi?! Dawaj to!

Loki wziął książkę z łapek misia, położył ją na biurku i rozprasował przedramieniem, mocniej łamiąc grzbiet. Minę pluszaka trudno było ustalić, bo zależnie od kąta patrzenia i ułożenia cieni wyglądał teraz trochę na rozbawionego, a trochę oburzonego.

Zadra uruchomił film, przewinął, obejrzał i znowu przewinął. W końcu odwrócił się na krzesło.

– Chyba rozumiem, o co ci chodzi, Loki – powiedział w końcu. – Ty myślisz, że trafiłeś tu na kolejny przypadek dzikich aniołów?

Loki przesunął wykalaczkę w drugi koniec ust.

– Mówiłem ci już, kiedy po raz pierwszy wspomniałeś mi o tym temacie. Dzikie anioły brzmi jak gang motocyklowy striptizerek albo coś, co bym zasubskrybował na Pornhubie. Ale tak, mam wrażenie, że to może być świeży, nowiutki trop w tej waszej sprawie, z którą tak się męczycie od miesięcy.

Zadra milczał przez chwilę. W końcu podniósł się z krzesła i zaczął chodzić po pokoju.

– Czyli niech dobrze zrozumiem – rzucił. – Uważasz, że płatny zabójca i potomek ukraińskiej wiedzmy mszczący się na nowojorskiej mafii za to, że zabito mu babcinego kota, był tu otoczony oddziałem aniołów stróżów, których nie ma w żadnych anielskich rejestrach i którzy według naszej wydziałowej wiedzy w ogóle nie powinni istnieć?

Kłamca spojrział w stronę Butcha.

– Zobacz, kochanie – wyszczebiotał. – Nasze dziecko jednak nie jest kompletnym idiotą, jak się bałeś, od kiedy spadł ci z rowerka.

Sięgnął po cebulę i jednym chłapięciem przeciął ją na pół.

– A skoro już mamy pewność, że jesteś taki supermądry – zwrócił się do Zadry – to mógłbyś teraz zapracować na swoją wydziałową wypłatę i polatać po mieście. Trzeba poszukać tego Witcha, a pewnie po takiej akcji nie będzie to łatwe. Wam pójdzie to szybciej niż mnie, no i oczywiście nie mogę odwalać za was całej roboty. Dlatego nie ma co marnować czasu, Zadra. Zbierajcie się i ogarnijcie temat. A ja w tym czasie skończę robić obiad.

Spojrzał do książki kucharskiej, następnie na stół i na miśka.

– Kłamczuch, słowo daję, wypatroszę cię przez tę twoją jebaną łatkę, jeśli mi zaraz nie powiesz, gdzie schowałeś marchewki.



Zadra musiał przyznać, że gdyby nie Butch, odpuściłby sprawdzanie budynku na Callahan Lane i najpewniej wróciłby na kwaterę z niczym. Po blisko sześciu godzinach miał już dość tego latania z miejsca na miejsce, obserwowania gangsterskich bezeceństw i podsłuchiwania wszystkich tych bandyckich myśli z nadzieją, że z tego rynsztoku uda się wyłowić coś wartego uwagi. Czuł się zwyczajnie brudny i był coraz bardziej skłonny narazić się na drwiny Kłamcy, byle tylko nie musieć się w tym wszystkim dłużej taplać.

Wtedy w czyichś myślach przewinął się ten obrazek z domem na Staten Island. I Butch stwierdził: „Sprawdźmy jeszcze ten”. No więc sprawdzili.

Z pozoru dom wyglądał normalnie, jak wiele w tej okolicy. Ot, kolejny dwukondygnacyjny budynek ze spadzistym dachem,

wjazdem do garażu i dużymi oknami w kuchni i salonie.

Uważne oko niegdyśszego zwiadowcy Butcha było jednak w stanie wypatrzyć niepokojące drobiazgi sugerujące, że w tej okolicy świadkowie Jehowy czy akwizytorzy mogli mieć nieliczne kłopoty. W trawie przed domem błyskała gdzieś tam siatka, od której w stronę budynku szły grube, gumowane przewody. Brama garażowa była wzmocniona i wpuszczona w ziemię, a spryskiwacze – na razie wycelowane w górę – podejrzenie przypominały zminiaturyzowane kartacznice Gatlinga. Wreszcie, gdy już ktoś naprawdę wiedział, na co patrzy, orientował się, że to, co widzi w oknach zarówno na dole, jak i na piętrze, nie jest prawdziwym widokiem wnętrza, tylko projekcją, za którą kryła się gruba, mocna ściana.

– Ten dom to forteca – powiedział w końcu Zadra. – Czyli to musi być tutaj.

Butch nie skomentował. Z poważnym wzrokiem i lekko opuszczoną głową sprawiał wrażenie, jakby koncentrował się przed interwencją.

Jednak tu raczej nie powinni interweniować. No bo w jakiej właściwie sprawie? Sam Johnny Witch ich nie interesował. Chodziło raczej o to, dlaczego – o ile faktycznie – dysponował całą ekipą Stróży wspierających go w dziele zemsty. Musieli znaleźć sposób na to, jak się tego dowiedzieć, a do tego mógł być im potrzebny Kłamca.

Powiedzieć, że Zadra nie miał o Kłamcy najlepszego zdania, to jakby stwierdzić, że Donald Trump nie jest skromnym, milczącym ascetą. Ale skoro obecnie pracowali razem i skoro de facto całą tą akcją to Loki pomagał im, a nie odwrotnie, przedyskutowanie z nim dalszych kroków miało sporo sensu.

Zadra już szykował się do ruszenia z powrotem, gdy nagle Butch wolno unióś rękę.

– Spójrz tam – polecił, wskazując na dach. – Tam, koło komina.

Zadra popatrzył we wskazanym kierunku i sapnął.

Na dachu stało teraz dwóch skrzydlatych. Byli nadzy i niemal biali, przez co wyglądali trochę jak sklepowe manekiny z jakiegoś słabego horroru. Otuleni skrzydłami i zwrócenii plecami do siebie wolno rozglądali się po okolicy.

Zadra odruchowo zdematerializował się i pojawił dwa podwórka dalej tak, aby widzieć, samemu niekoniecznie będąc widzianym.

– Cholera, to muszą być one... dzikie anioły – szepnął, gdy Butch stanął przy nim. – Popatrz na nich, jak się ruszają, jak wyglądają. Czy tobie też wydają się sztuczni? Jakby niedorobieni? Poruszają się sztucznie, a wyglądają jak...

– ...roboty – zgodził się Butch. – Ale jednak to są aniołowie, Zadra. Też to czujesz, prawda? Jakiś kompletnie nowy rodzaj aniołów.

Drobniejszy Stróż bardzo wolno pokiwał głową, a potem nagle nią potrząsnął, jakby zmieniał zdanie.

– Ale to przecież niemożliwe. Nie ma już Metatrona, głosu Boga zdolnego je wyśpiewać. Niby skąd miałyby się wziąć?!

– Poczekaj tu – odparł Butch i zniknął.

O dzikich aniołach po raz pierwszy usłyszeli z pół roku wcześniej. Plotka o jakiejś grupie kartelowych sicarios uratowanych przez aniołów, których nie powinni mieć. Stróż jednego z agentów DEA biorących udział w akcji mówił potem, że wśród Meksykanów chyba każdy miał anioła, choć ewidentnie walczył po złej stronie. I że tamci aniołowie byli jacyś dzicy, nie podejmowali rozmów, nie byli skłonni do wspierania kompromisu na rzecz ratowania obu stron. Nie, oni po prostu robili ludziom za ochronę.

Potem takich przypadków wyszło jeszcze kilka – jakiś rosyjski oligarcha, prominentny członek Komunistycznej Partii Chin, polski biskup – ale za każdym razem, gdy Butch i Zadra docierali do

właściwych osób, aniołów już nie było, a ślad się urywał. Dziś widzieli dzikie anioły po raz pierwszy.

Butch wrócił po kwadransie. Nie miał dobrych wieści.

– Łącznie jest ich siedmiu. Podszedłem pod sam dom i tyłu naliczyłem.

– Siedmiu Stróży? – Zadra złapał się za głowę. – Na jednego faceta? Przy tym stróżowym deficycie?

– Tak, w domu jest jeden facet, choć wygląda na to, że mieszka tam dwóch. Dziwnych aniołów jest, jak powiedziałem, siedmiu. Dwóch prawie mnie zauważyło, a wszystkie mimo tej pewnej niezgrabności w ruchach reagują bardzo szybko. W mgnieniu ludzkiego oka.

Zacisnął pięści, strzelając kostkami.

– Możemy tam do niego wejść, ale zakładałam, że nic tu nie pomogą nasze legitymacje WINA, bo ci goście są poza naszym nadzorem. Jeżeli zdecydujemy się na wejście siłowe, może skończyć się jatką...

– Żadnej jatki – zaoponował Zadra. – To w końcu aniołowie! Dziwni, nietrzymający się reguł, ale aniołowie.

– To podobnie jak w piekle, nie? – zauważył Butch. – Ale w tym przypadku zgadzam się, też wolałbym uniknąć walki, zwłaszcza że bardzo trudno byłoby mi ocenić nasze szanse.

Zadra raz jeszcze spojrzał w stronę domu Witcha, zapamiętując każdy detal, zupełnie jakby robił zdjęcia.

– Może Loki będzie miał jakiś pomysł, jak to rozwiązać bez awantury – mruknął z nutką nadziei.

Bo to był właśnie problem z Kłamcą. Czasami bardzo próbował unikać awantur, a czasem z niewiadomych powodów robił wszystko, by do nich doprowadzić. I nigdy nie miało się pojęcia, od czego to zależy.



Z obiadu robionego wspólnie z Kłamczuchem wyszło śmierdzące, spalone nic, więc Kłamca zamówił chińszczyznę. Siedział teraz ze skrzyżowanymi nogami na parapecie, w jednej dłoni trzymał pałeczki, a w drugiej pudełko z jedzeniem. Wyglądał jak nowobogacki hipis z Doliny Krzemowej. Jeden z tych, co to najpierw wynajdują coś, co da im miliardy – i przy okazji zniewoli całą ludzkość przywiązaniem do ekranów – a potem przypadkiem odkrywają nirwanę podczas obserwowania na haju ubrań wirujących w pralce.

– Czyli że bingo? – upewnił się, gdy Zadra skończył już streszczać, czego się dowiedzieli, i za pomocą transferu myśli pokazał mu wszystkie zakodowane widoki domku z przedmieść. – Znaleźliście Witcha i faktycznie otaczają go... nie, nie powiem tego. Nie nazwę ich dzikimi aniołami. Przez mój szacunek dla wszystkich striptizerek świata musimy wymyślić coś innego.

– Może „analogi”? – zaproponował Butch. – Kojarzy się trochę z aniołem, a analog to coś, czego budowa pozostaje zasadniczo niezmieniona, chociaż coś w środku zostało zastąpione.

Loki przyglądał się wielkiemu aniołowi przez chwilę, szukając w jego słowach choćby odrobiny fałszu czy żartu. W końcu potrząsnął głową.

– Nie powiem, z czym mi się kojarzy analog, bo pamiętam historię o Sodomie. Wiem, że w tym temacie wy, skrzydlaci, nie macie poczucia humoru – stwierdził. – Ale dobra, na ten moment niech będą analogi. Ilu ich naliczyliście?

– Co najmniej siedmiu.

– I wszyscy wyglądali jak Stróże? – upewnił się Kłamca. – Bo wiecie, w Zastępach Michała nie ma aż takich wakatów, i gdyby

z jakiegoś powodu...

– Loki – wtrącił się poirytowany Zadra. – Ja byłem Stróżem, a Butch żołnierzem Zastępów. Umiemy rozpoznawać swoich, między innymi dlatego przydzielono nam taki zakres działań w ramach WINA. Analogi to nie są ani Stróże, ani Zastępy, ale gdybym miał porównywać, to bliżej im do tych pierwszych. Tylko zachowują się jakoś dziwnie, są jakby puści, pozbawieni życia. To tacy... o, wiem! Tacy stróżozombie.

Kłamca otworzył usta, ale zaraz je przymknął. Przez prawie minutę wpatrywał się w Zadrę, mrużąc oczy, a potem postukał pałeczką o zęby.

– Jest szansa, piórasku, że właśnie rozbiłeś bank – powiedział z tajemniczym uśmiechem. – Ale zanim to powiem, puść mi jeszcze raz w głowie te wszystkie obrazki. Wszystko, co zapamiętałeś. Muszę zobaczyć, czy mi się nie przewidziało. Bo jeśli nie, to... cholera, to ma sens.

Przez kilka minut, marszcząc brwi, skupił się wyłącznie na przesyłanych mu myślach i jedzeniu. Sprawnie unosił pałeczkami do ust bryłki ryżu, kawałki kurczaka i warzyw, raz po raz zerkając na misia leżącego po przeciwnej stronie pokoju. Ten zdawał się mu odpowiadać spojrzeniem paciorkowatych oczu. Sprawiali wrażenie, jakby mieli własne, dodatkowe połączenie telepatyczne, choć ani Butch, ani połączony z Lokim Zadra nie słyszeli żadnej ich myśli.

Nagle Loki uniósł palec.

– Trzymaj to! – polecił. – Ten obrazek trzymaj w mojej głowie!

Zerwał się z miejsca, cisnął pudełko z pałeczkami do kosza i usiadł przy biurku. Włączył komputer, wsadził do ust wykałaczkę i jak gdyby nikogo więcej tu nie było, zaczął surfowanie po sieci.

Aniołowie wymienili zdumione spojrzenia.

– Powiesz nam, na co wpadłeś? – zapytał Zadra.

Loki nie odpowiedział. Otwierał tylko kolejne okna, skacząc do kolejnych odnośników. Wykałaczką wędrowała z jednego kącika ust do drugiego. Głowa poruszała się na boki, jakby miał w oczach skaner.

W końcu zatrzymał się na Facebooku. Otworzył jakiś profil, powiedział ciche „ha!”, po czym odchylił się na krzesło i zaplótł ręce na piersi. Sprawiał wrażenie bardzo z siebie zadowolonego.

Zadra podeszedł do komputera, spojrział na zdjęcie profilowe jakiegoś pyzatego mężczyzny. Na drugim obrazku, w osobnym oknie widniał portret pamięciowy Witcha.

– No powiedzcie sami, czy ci dwaj nie wyglądają podobnie? – zapytał Loki.

Zadra przyjrzał się zdjęciu. Pewne podobieństwo faktycznie dało się dostrzec.

– Kim jest Walden Jackson?

Kłamca przełączył na wpis z jakiegoś blogu z kategorii true crime.

– Normalnie mam o tych typach jak najgorsze zdanie, ale teraz chyba się przydali – wyjaśnił, przejeżdżając kursorem po tekście. – Ale po kolei, bo nie skumacie. Myśl, którą mi pokazałeś, zawierała logo pewnej znanej mi firmy. Wszedłem więc na ich stronę i przejrzałem listę pracowników. Gdy znalazłem Waldena i zobaczyłem to podobieństwo, przyszła mi do głowy myśl, którą musiałem sprawdzić w jakiejś rzetelnej notce o Babie-Jadze. I proszę, trafiłem, że Baba-Jaga miała dwóch synów, a każdy z nich miał swojego dzieciaka. Jednym z wnuków był nasz Johnny. Drugi syn, Jack, rzekomo zginął z całą rodziną. Ale oczywiście zginął tak, że nikt nie odnalazł ciała, więc naturalne podejrzenie mam takie, że Walden Jackson, swoją drogą coś za subtelność w nazwisku, to kuzyn Johnny’ego. Tadaaam!

Zadra pochylił się do ekranu.

– Firma Bocor & Wanga. Walden pracuje tam na stanowisku starszy programista. Co to za firma, Loki? Powinna mi coś mówić?

Loki sięgnął po wykalaczkę.

– Powinna o tyle, że wedle myśli i wspomnień, jakie mi dziś pokazałeś, to widziałeś dzisiaj ich logo. Znajduje się na samochodzie zaparkowanym przy bramie do posesji. Wóz pewnie należy do lub jest użytkowany przez Waldena – wyjaśnił Loki. – Czyli kuzyni trzymają się razem. A teraz grubsza akcja, która rzuca jakiś cień na temat Analogów. Bo tak się przypadkiem składa, że Bocor & Wanga to firma należąca do najstarszego, jednego z najpotężniejszych i jednocześnie najbardziej cwanego bóstwa, jakie znam. Nosi wiele imion, a najpopularniejsze to Samedi. Baron Samedi. Wielki, czarnoskóry facio z tak potężnym pytonem, że musi go sobie owijać wokół szyi. I to nie jest żart ani żadna pojebana przenośnia.

Zadra odsunął się na bok, by Butch również mógł się przyjrzeć postaci na zdjęciu. Podszedł do okna i zajął miejsce na parapecie.

– No dobra, ale co to ma do rzeczy? – zapytał.

– To gość od voodoo. Jak ostatnim razem na niego wpadłem, poszczuł mnie całym swoim działem kadr i dwoma dywizjami open space’ów. Wszyscy oni byli przemienieni w korpozombie, żeby wydajniej pracować, ale gdy przyszło co do czego, to tylko „mózg, mózg” i gonili mnie tak, że musiałem skakać przez okno z czterdziestego piętra. Pojebana akcja dla kogoś, kto nie ma skrzydeł, serio. Ratował mnie wtedy Jefferson, ten typ, którego chcieliście aresztować za łamanie regulaminu, bo był nielegalnie aniołem stróżem całej dzielnicy. Pamiętasz?

Zadra podrapał się po głowie, na co Kłamca westchnął.

– Teraz się skup, obszczypiórku, bo nie będę powtarzał: nazwałeś analogi zombie-stróżami, tak? – powiedział. – I to mi odpaliło w głowie neonik. Zombie. Aniołowie zachowują się jak nieumarli. Skojarzyłem, że miałeś we łbie to logo, co mi się zgrało,

więc poszedłem zobaczyć, czy nie znajdę jakichś dalszych punktów styku. Bo serio, jeśli ktoś mógłby chcieć na taką skalę zadrzeć z archaniołami, by wskrzeszać martwych skrzydlatych na własne potrzeby, to moja lista takich cwaniaków jest króciutka. I na pewno znajduje się na niej Samedi. A skoro Witch ma kuzyna piwnicznego nerda, który dziwnym trafem robi u korpobarona i ma pewnie jakiś tam dostęp do jego tajemnic... No jakoś się to układa, nie?

Wstał, podszedł do szafy i wyjął z niej niewielkie pudełko. Położył je na biurku i otworzył, ujawniając kilkanaście małych gadżetów. Dla kogoś nieznającego ich pochodzenia był to dziwny zestaw: zgnieciony naparstek, żółty znaczek z czarnym napisem „Tak, twoją matkę też”, magnesik z kolorowym moło i napisem „Pamiętka z Troll’s Face”.

Zadra wiedział, że każdy z tych przedmiotów był artefaktem, w którym Loki gromadził moc z odwiedzonych niedawno światów. Zwiedził ich z tuzin od czasu, gdy dowiedział się o Brudnopisie Boga i innych wymiarach rozpisanych przez stwórcę jako niedoskonałe, niedokończone koncepty jednego istniejącego świata. Z każdego przywiózł sobie część mocy zawartą w tandetnym drobiazgu. Zadrę niepokoiło, że teraz po nie sięgał.

– Rozumiem, że chcesz się skonfrontować z tym Samedi, tak? Po to ci to wszystko?

Loki odwrócił się i wyszczerzył.

– Nie ja. My – odparł. – Po to właśnie was mam, mordeczki moje opierzone, żeby móc trochę skorzystać z waszego pieprzonego majestatu, gdy właduję się w takie gówno. Ale potrzebujemy jeszcze kogoś.

Kłamca spojrział w stronę Kłamczucha, który w pluszowych łapkach ścisnął telefon.

– Siri, zadzwoń do Ochlejtus – zakomenderował.

– Dzwonię do Bartolomew Andrew Chus – odpowiedziała usłużnie Siri.



Dzwonek do drzwi zagrał Yankee Doodle.

Stojący na progu mężczyźni w garniturach wymienili spojrzenia, a ten grubszy podrapał się palcem wskazującym po karku. Wysoki przystojniak chrząknął, lewą ręką poprawił krawat, po czym raz jeszcze spojrzął na trzymaną w dłoni książkę – oprawione w skórę wydanie kieszonkowe z tłoczonym tytułem Raj zasłużony. Bez nazwiska autora.

– Scenariusz trzeci – stwierdził. – Ten dzwonek trochę mi się gryzie z wariantem siódmym.

Gruby skinął głową.

Ktoś mignął za zadymioną szybą drzwi wejściowych i zaraz potem szczęknęły zamki. O jeden więcej niż było dziurek na klucze. Więc albo był to jakiś wyłącznie wewnętrzny, albo...

– Cofnij się – polecił przystojniak.

Gruby posłusznie wykonał spory krok do tyłu. W samą porę, bo drzwi otworzyły się z impetem, a w progu stanął rozebrany do pasa, wytatuowany Latynos z wielkim pistoletem w wyciągniętej dłoni.

– Mówiłem już waszym kolegom – warknął po hiszpańsku. – Jestem katolikiem i mam do Boga prywatne dojście bez pierdolonych pośredników.

Mężczyźni ponownie wymienili spojrzenia, tym razem zdziwione. Jakby nie do końca rozumieli, za kogo gospodarz bierze dwóch stojących w progu facetów w garniturach i z książką w skórzanej oprawie.

– Chyba zaszło jakieś nieporozumienie – odparł płynnym hiszpańskim przystojniak. – Nasza dobra nowina to informacja, że przynieśliśmy panu pańskie pieniądze.

Skinął na grubego, a ten rozejrzał się ostentacyjnie, po czym dał znak, że wszystko jest w porządku. Wtedy przystojniak uniósł trzymaną w dłoni książkę i uniósł okładkę. W środku, w wydrążonym schowku leżała spięta banderolą paczka studolarówek.

– Przysłała nas mecenas Ougabe Drefkowicz – powiedział, wyciągając przed siebie wydrążoną książkę, jakby to było pudełko czekoladek. – Korespondował pan z nim dwa miesiące temu w sprawie spadku po Miguela Erneście Romero, pańskim bardzo dalekim krewnym, który dorobił się wielomilionowego majątku na brylantach w Nigerii, prawda?

Górna warga Latynosa drgnęła, jakby szykował się do obnażenia kłów. Mężczyzna postąpił krok do przodu, uniósł broń wyżej i zgiął nadgarstek, przykładając lufę do czoła przystojniaka. Łypnął przy tym na grubego, jakby chciał się upewnić, czy ten ma z tym jakiś problem.

Gruby najwyraźniej żadnego problemu nie miał, bo tylko uniósł ręce i zrobił głupawą minę.

– To było oszustwo! – warknął Latynos. – Zgłosiłem to...

– Och, żadne oszustwo, panie Romero. – Przystojniak uniósł oczy ku górze i zrobił zeza, by spojrzeć na lufę. – Choć, jeśli pozwoli Pan zauważyć, gdyby to było oszustwo, faktycznie dużo by pan stracił. Nierozsądnie jest wysyłać komukolwiek pieniądze bez uważnego doczytania wiadomości. Niemniej tym razem się panu upiekło. W ostatnim akapicie swojego maila pan Drefkowicz wyraźnie zaznaczył bowiem, że operacja transferu pana pieniędzy nie jest obarczona żadnym ryzykiem, a pieniądze, których pan użyczy do przeprowadzenia procesu, zostaną w pełni zwrócone, gdy tylko majątek pana krewnego zostanie zabezpieczony. Tak się składa, że

został, więc niniejszym zwracam panu pańskie pieniądze. Pańskie dziesięć tysięcy dolarów. W gotówce. Może pan przeliczyć.

Latynos zmarszczył czoło. Łypnął jeszcze raz na grubego, który tym razem gorliwie pokiwał głową, potwierdzając, że to wszystko prawda. Romero opuścił broń.

– Czyli że co? Udało się wszystko? Jestem milionerem?

Przystojniak położył książkę z pieniędzmi na lewej dłoni, prawą uniośł i zakołysał na znak, że i tak, i nie.

– W zasadzie to owszem, ale jest jeszcze pewna przeszkoda do obejścia – odparł. – Mianowicie pieniądze udało się przetransferować do USA, ale tylko za pomocą specjalnego funduszu wspierania mniejszości etnicznych. Proszę nie pytać o szczegóły, bo to przepisy międzynarodowe i w większości z nich sam się gubię. Generalnie chodzi o to, że pan Drefkowicz znalazł lukę prawną, która pozwala przedstawicielom uciskanych plemion świata wspierać się wzajemnie w walce o swoje prawa. W papierach wygląda to tak, że pana krewny w imieniu zjednoczonych plemion rdzennych Nigeryjczyków przekazał pieniądze fundacji rdzennych Amerykanów, by ci mogli się rozwijać na swojej przestrzeni w rezerwach. W tym momencie cała kwota, prócz tych dziesięciu tysięcy, została zdeponowana w Banku Rezerw dla rdzennych mniejszości etnicznych stanu Montana. Są to pieniądze Fundacji Romero, którą zarządza tymczasowy prezes wyznaczony teoretycznie przez radę fundacji, ale w rzeczywistości przez mecenasa Drefkowitza. To stanowisko czeka na pana, ale aby mógł je pan objąć, musi pan być rezydentem stanu Montana...

Przystojniak sprawdził coś w notatkach.

– ...zamieszkałym tam przynajmniej przez pół roku legalnie, w przestrzeni jednego z tamtejszych rezerwatów – podjął przerwany wątek. – No i nie może pan być biały, ale tu szczęśliwie los sprzyja. Po rzeczonym okresie będzie można wdrożyć

procedurę, wynikiem której otrzyma pan nie osiem milionów dolarów, jak było mówione, tylko dwadzieścia cztery miliony. Dokładnie dwadzieścia cztery miliony, trzysta siedemdziesiąt dwa tysiące i czterdzieści dolarów.

Na znak, że skończył mówić, przystojniak klapnął okładką trzymanej w ręce książki i uśmiechnął się, prezentując dwa rzędy równych zębów.

– Jeśli pan chce, kolega może to prościej streścić – powiedział, a Latynos wolno pokiwał głową. Minę miał, jakby się przydało.

Gruby postąpił krok do przodu:

– Jak chcesz dwadzieścia cztery bańki, to na pół roku wbijasz na kamping do Montany i przez jakiś czas bawisz się w Indianina. Jeśli nie chcesz, zabierasz swoją dychę, a my szukamy następnego w kolejce do spadku.

Przystojniak rozłożył ręce. Prościej wyjaśnić się nie da, mówił ten gest.

– Jeśli obawia się pan jakiegokolwiek ryzyka, panie Romero, informujemy, że jesteśmy w stanie zorganizować lokum, wyżywienie i pracę w tamtejszej społeczności. Ceny przystępne, a w dodatku niczego nie płaci pan z góry. Rozliczenie nastąpi dopiero po tym, jak już odbierze pan spadek. Całość kosztów, co mogę gwarantować, wyniesie nie więcej niż sto tysięcy dolarów, które dodatkowo będzie można odpisać w całości od podatku.

Wcisnął Latynosowi książkę do ręki.

– Proszę to przemyśleć i koniecznie dać odpowiedź jeszcze dziś, dobrze? Do szesnastej będziemy w hotelu, zatrzymaliśmy się w Holiday Inn. Proszę pytać o Elliota Rossa.

– Jasne... – Romero pokiwał energicznie głową, wyraźnie trawiąc otrzymane informacje. – I dziękuję! Na pewno zadzwonię.

Dwie minuty później mężczyźni w garniturach wsiedli do wypożyczonego Forda Crown Victoria zaparkowanego przy

krawężniku. Przystojniak zapiał pasy, uruchomił silnik i spojrzał na kolegę.

– To nie powinno być aż tak proste, Bachusie – powiedział. – To psuje całą cholerną zabawę.

Bachus rozłożył ręce.

– Nic ci na to nie poradzę, Erosie – stwierdził. – Jestem ostatnim, który chciałby sobie coś w życiu utrudniać. A w dodatku...

Urwał i sięgnął do kieszeni. Spojrzał na wyświetlacz, skrzywił się i pokazał telefon koledze. Na ekranie widniał plakat z filmu Kłamca, kłamca.

– Ciekawe, czego chce – mruknął Eros, odbijając autem od krawężnika.

Bachus westchnął głośno. Odebrał.

– Tak, Loki?... Nowy Jork? Cholera, chwilę to zajmie, bo jesteśmy właśnie w Nowym Meksyku... Co tu robimy? – Bachus zerknął na Erosa, który tylko przewrócił oczami. – No lecimy z listą, tak jak chciałeś, i ustawiamy operację Montana...

Urwał i przez chwilę tylko słuchał. Raz po raz próbował coś wtrącić, ale zaraz odpuszczał. Wyglądał przy tym jak wyrzucona na brzeg ryba.

– Ale czekaj, Loki, że jak, teraz, zaraz? Chcesz, żebyśmy przylecieli do Nowego Jorku?

– Nie ma mowy – warknął Eros – Mam dzisiaj plany na wieczór i...

Bachus uciszył go, unosząc dłoń.

– Jak to Samedi? – zapytał. – Nie wiedziałem, że on... A, ty też nie wiedziałeś? Dowiedziałeś się przypadkiem?

– Może po prostu włączysz go na głośnik, zamiast wszystko powtarzać? – zaproponował Eros, ale Bachus machnął na niego, jakby odganiał natrętną muchę.

– No dobrze, Loki. W takim razie jedziemy na lotnisko i łapiemy pierwszy lot. Do zobaczenia, tak.

Bóg Wina odsunął telefon od ucha i sięgnął do GPS-u, by zmienić trasę. Wyraźnie unikał spojrzenia kolegi.

– No co miałem zrobić? Wygląda, że to naprawdę gruba akcja. Wmieszany jest Samedi.

– Jego chyba mieliśmy nie tykać, nie? – przypomniał sobie Eros. – Loki mówił, że jest zbyt potężny.

– Tak, a teraz może nawet potężniejszy – odparł Bachus, prostując się w fotelu i uruchamiając aplikację linii lotniczych. – I z jakiegoś powodu Loki widzi w tym szansę na coś. Chcesz przy oknie?

Eros machnął ręką na znak, że mu obojętne.

– Swoją drogą, Bachusie, wciąż nie powiedziałeś Kłamcy, że boisz się latać?

– Powiedziałem – odparł Bóg Wina. – Ostatnim razem.

– I co on na to?

– Stwierdził, że z moją tuszą to on mi się wcale nie dziwi.



Samolot Erosa i Bachusa miał planowo lądować o siedemnastej na La Guardii, więc Loki całkiem rozsądnie uznał, że nie ma co planować spotkania przez dwudziestą, nie chciał jednak marnować czasu. Wiedział przy tym, że posłanie aniołów za kuzynem Witcha mogłoby zwrócić uwagę analogów – jeśli Walden również ich używa. Zgłosił się zatem do Jeffersona z prośbą, by ten swoimi sposobami wziął pod obserwację Waldena. Kolorowowłosy Stróż, którego Loki poznał dawno temu jako stróża dzielnicy, potrafił wykorzystywać do swojej roboty postronnych ludzi bez ich wiedzy.

Jefferson nie miał nic przeciwko takiej formie pomocy. Wystarczyło mu tylko obiecać specjalne zaświadczenie od WINA, że jego metoda opieki nad dzielnicą to eksperyment i jako taki jest wyjęta spod kar regulaminowych. Zadra podpisał dokument własnym piórem, choć nie był z tego powodu specjalnie zadowolony.

Sześć godzin później Jefferson przesłał dość szczegółowy raport. Loki szybko wypatrzył w nim zaczepki dla swojego planu. Rozpisał go sobie, a nawet pod wpływem fantazji przerysował na plansze. Był gotowy, gdy w mieszkaniu pojawili się już Butch, Zadra, Bachus i Eros.

Oczywiście nie dało się od razu przejść do omawiania planu. Powiedzieć bowiem, że aniołowie WINA i duet bogów nie pałali do siebie sympatią, to jakby stwierdzić, że Ku Klux Klan i czarni miewali w przeszłości drobne nieporozumienia. Kłamca śmiał się nawet, że są o niego zazdrośni, ale akurat uznawanie go za zarozumiałego dupka było jedyną kwestią łączącą te dwie pary. Teraz też od chwili spotkania łypali na siebie i burczeli złośliwości. Wydawało się, że tylko Butch w miarę trzyma fason, choć po nim zawsze było niewiele widać.

– Dobra, skoro jesteśmy już wszyscy – powiedział wreszcie Loki, gdy cała czwórka siedziała na kanapie i fotelach – ustalam następujący porządek spotkania. Przede wszystkim ja mówię. Ktoś chce coś dodać? Wkurwiona ambicja kusi do rzucenia jakimś głupim tekstem? Zduście to w sobie. Stawka jest bowiem duża, a czasu mało.

Zadra uniósł rękę. Loki przewrócił oczami.

– Tak?

– Skąd wiemy, że czasu jest mało?

– Zwykle dowiadujemy się tego, patrząc na zegarek – odparł Loki.

Podszedł do stojącego w kącie flipcharta i przewrócił stronę. Pisakiem stuknął w tekst zapisany w punktach drobnym pismem.

– Oto co wiemy od Jeffersona. Walden faktycznie pracuje w Bocor & Wanga. Jest dość wysoko postawiony w hierarchii, bo ma dostęp do większości pięter. Zaczyna pracę o ósmej trzydzieści, kończy o siedemnastej. W międzyczasie, jak mówią jego współpracownicy, zawsze je lunch w tym samym miejscu, to jest w restauracji Ramone przecznicę od firmy. Pracuje tam Jo, oryginalnej urody alternatywka, która Waldenowi wpadła w oko.

Zadra znowu uniósł rękę, nic sobie nie robiąc z pełnego pogardy sapnięcia Bachusa. Loki wskazał na Stróża, który spytał:

– Skąd wiemy, że wpadła mu w oko?

Kłamca wycelował pisakiem w Boga Miłości.

– Erosie, ty jesteś ekspertem. O czym świadczy zostawianie napiwków w wysokości stu pięćdziesięciu procent wartości zamówienia?

Zagadnięty wykonał gest, jakby strzelał z łuku, co Loki przyjął z półśmiechem.

– Cieszę się, że się rozumiemy. Zwłaszcza że to będzie nasz punkt zaczepienia.

– Ta dziewczyna? – upewnił się Zadra, a gdy Bachus znowu sapnął, anioł wskazał na niego palcem. – Czy on mógłby przestać to robić? Chyba ważne jest, żebyśmy się dobrze rozumieli, nie?

– Tak, ważne. Bachusie, nie sap, zrozum.

Bachus prychnął cicho, ale nie sapał już więcej. Zamiast tego nalał sobie szklankę wody i zamieszał ją palcem, przemieniając w wino. Przepił do aniołów i rozparł się na kanapie.

– Wracając – podjął Loki. – Tak, ta dziewczyna, Jo, jest naszym punktem zaczepienia. Użyjemy Erosa, by podkreślić to, co tam iskrzy, i ustawimy im randkę. Przy pomocy Jo spróbujemy przepytąć Waldena i dowiedzieć się, co właściwie dzieje się w Bocor & Wanga. Skąd się biorą analogi i w jaki sposób mógł je

ogarnąć dla brata. Na tej podstawie podejmiemy decyzję co do dalszych kroków.

Zapadła cisza. Przez dobrą minutę siedząca na wypoczynkowym zestawie czwórka ewidentnie czekała na to, co zaraz padnie, a gdy się nie doczekali, zaczęli patrzeć po sobie. W końcu Eros uniósł rękę.

– I to już? Cały plan? – zapytał. – Wiesz, że pokazałeś nam tylko jedną planszę, na której zresztą prawie nic nie ma? A ty masz tam chyba z dwadzieścia otwartych pisaków.

– Wiem, wiem – zgodził się Loki. – Pozostałe plansze też są zapisane, ale zależą od tego, czego dowiemy się od Waldena. Powiedzmy, że jestem przygotowany na różne warianty. Ale podstawą każdego planu jest dobre rozpoznanie, prawda, Butch?

Wielki anioł tylko coś mruknął.



– Cześć, mam na imię Jo i będę was dzisiaj obsługiwała.

Drobna dziewczyna nagle pojawiła się przy stoliku Bachusa i Erosa. Ledwie wystawała ponad wysoki blat, więc Bóg Wina musiał popatrzeć w dół z wysokości swojego hokera, by złapać z nią kontakt wzrokowy. Jo wyglądała, jakby ktoś pokolorował Wednesday Addams, potem okleił setką drobnych tatuaży z gum i lizaków, a na koniec przefarbował jej włosy na tęczowo. W jej pięknych, wielkich oczach można było utonąć. Za to grymas jej twarzy mówił, że ona sama nie tylko nie miałaby nic przeciwko, ale jeszcze pomogłaby w tym tonięciu, tłukąc nieszczęśnika wiosłem.

Bogowie wymienili spojrzenia, a Eros skupiony skubnął się w nos, co chyba znaczyło, że trochę się stresuje. Dziewczyna

wyglądała na spore wyzwanie.

Pospieszcie się, odezwał się w ich myślach Zadra. Walden właśnie wyszedł z firmy.

Eros przymknął oczy, skupiając swoją energię.

– Jeżeli chcecie na początek coś do picia... – powiedziała Jo, ale Bachus wszedł jej w zdanie.

– Właściwie to jesteśmy gotowi, by złożyć zamówienie, kochaniutka – powiedział z szerokim uśmiechem. – Ja na ten przykład bardzo chętnie skonsumowałbym te żeberka na winie. Czy jest szansa dowiedzieć się, jakie to dokładnie wino?

Dziewczyna posłała mu spojrzenie z rodzaju tych, które działają na penisy jak kąpiel w przeręblu.

– Oczywiście zapytam – powiedziała równie lodowato.

Eros otworzył oczy. Jego twarz emanowała teraz złocistym poblaskiem, oczy zdawały się świecić.

– A dla mnie... – zaczął i jednocześnie złapał Jo za rękę.

Wiedział, że ma tylko jedną szansę, więc uderzył mocno. Jego przekaz miłości był niczym wszystkie komedie romantyczne z Hallmarku skupione w wielki promień wystrzelony z Gwiazdy Śmierci. Niczym atomowy wybuch z grzybem w kształcie serca. Stężony ekstrakt Power of Love zdolny zmienić każdy film porno w taśmę weselną.

Przez ułamek sekundy po odpaleniu ładunku Eros wystraszył się nawet, czy nie przesadził, i chciał wyhamować. Ale wtedy uświadomił sobie ze zdumieniem, że dziewczyna zamiast wywrócić oczami i zachwiać się na miękkich nogach, odwraca się do niego z mieszaniną zaskoczenia i pogardy. Spojrzała na dłoń trzymającą jej przedramię, a potem na twarz Erosa.

– Ciebie, kolego, nie poniosło? – zapytała.

Bóg Miłości, którego policzki aż się zapadły, nie był zdolny odpowiedzieć. Zdał sobie sprawę, że cała jego energia miłości

trafiła naraz w jakąś czarną, bezbrzeżną otchłań, która pochłaniała ją niczym potężny odkurzacze.

– Co... jak... – wydusił z siebie, cofając dłoń i zrywając połączenie. – Jak to możliwe?

Dziewczyna już otwierała usta, by to skomentować, ale zaraz wyprostowała się gwałtownie, zatelepała i przewróciła oczami. Loki, który zmaterializował się za nią, złapał ją sprawnie pod ramiona. Szybkim ruchem wepchnął ją pod stolik i przykrył iluzją niewidzialności. Rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nie wywołał zamieszania przy sąsiednich stolikach, ale wyglądało na to, że tradycyjne nowojorskie pilnowanie własnego nosa sprawdziło się i tym razem. Uśmiechnął się i wziął ze stolika wykałaczkę.

– Coś zbladłeś, Erosie – powiedział. – Musisz uważać, bo jak śpiewał Freddie, za dużo miłości może cię zabić.

Bóg Miłości nie odpowiedział. Trząsł się i płytko łapał oddech. Bachus przyglądał się przyjacielowi z zaniepokojeniem.

– Co tu się przed chwilą stało? – zapytał.

Loki rozłożył ręce.

– A coś mnie tchnęło, żeby ją sprawdzić na kilku forach dla nowojorskich inceli. Ponoć czasem ich przekonanie, że nie uprawiają seksu wyłącznie w wyniku wielkiego kobiecego spisku, jest tak silne, że ma już moc wpływania na rzeczywistość. Trochę jak wiara tworząca nowych bogów. I według tych forów, na które wszedłem, nasza koleżanka – palcem wskazał w dół – to, cytuję: „pozbawiona duszy humanoidalna czarna dziura chłonąca wszelkie kierowane ku niej uczucia”. Wpisy na jej temat polubiło łącznie trzydzieści osiem tysięcy osób, więc jest już niemała podstawa pod kult. I to, jak widać, kult z mocą sprawczą.

– Mogłeś go uprzedzić – mruknął z wyrzutem Bachus, wskazując podwójnym podbródkiem na Erosa.

– Tak, ale wtedy nie przekonałbym się, czy to prawda.

Walden już na skrzyżowaniu, poinformował w myślach Zadra. Będzie u was za pięć minut.

– Cóż, pozostaje opcja B – stwierdził Loki. – Idę się przebrać. Mam nadzieję, że Walden nie miał dotąd prawdziwej okazji pogadać z miłością swego życia i nabierze się na chałupniczą iluzję. Wy pilnujcie tylko, by się nam koleżanka w międzyczasie nie obudziła. A Eros, jak już dojdzie do siebie, niech skontroluje zakochanie naszego pana Jacksona, dobra? To powinno mu przyjść nieco łatwiej.

Odwrócił się i szybko ruszył w stronę łazienek. Cztery minuty później wyszła stamtąd Jo. Poprawiła sukienkę, puściła oko do Bachusa i ruszyła między stoliki. Dotarła do środka sali, gdy w progu lokalu pojawił się Walden Jackson.



Na środku betonowej piwnicy stało krzesło. Nad nim na krótkim kablu wisiała goła żarówka. Kołysała się miarowo, hipnotyzująco, budząc do leniwego tańca dwa cienie na łysych ścianach.

Butch, ubrany teraz wyłącznie w spodnie w kant i podkoszulek, stał obok krzesła, raz po raz uderzając pięścią w otwartą dłoń. Czekał cierpliwie, aż zjawi się reszta, prowadząc umówionego gościa, a potem przyjdzie czas na konfrontację, w której – musiał to przyznać sam przed sobą – nie miał za dużych szans. No ale tego wymagał plan i taki był rozkaz Lokiego. A z jakiegoś powodu Butch czuł, że musi mu ufać bezgranicznie.

Zresztą teraz, nawet gdyby chciał, nie mógłby już opuścić piwnicy. Uniemożliwiał mu to namalowany na podłodze krąg złożony z magicznych znaków, zwany potocznie jakubowymi wnykami na cześć patriarchy Jakuba, który pewnej nocy stał się

z aniołem w swym namiocie. Krąg ten był w stanie uwięzić dowolną liczbę aniołów i stanowczo ograniczyć ich moce. Na razie uwięziony był tylko on. Niebawem miało ich być tu co najmniej ośmiu.

Dwa piętra nad nim rozległ się odgłos otwieranego zamka, a po nim skrzypnięcie drzwi i kobiecy głos.

– Nie wiem, Walden, naprawdę nigdy tam nie byłam. Po prostu dziś rano się obudziłam z przekonaniem, że tyle się już znamy, nawet jeśli nie rozmawiamy ze sobą za dużo, i chyba naprawdę mogę ci zaufać. A skoro tak, to muszę ci opowiedzieć o króliczej norze.

Butch wiedział, że dziewczyna to Loki, bo Zadra uprzedził go, że wariant A nie wypalił. Ale towarzyszący Kłamcy chłopak chyba się nie zorientował, bo idąc, cały czas mówił tylko, że przeczuwał, że coś takiego się stanie.

– Wiesz, Jo, nie mówiłem o tym nikomu, nawet mojemu kuzynowi – sapał teraz, łapiąc oddech na schodach, co było o tyle dziwne, że przecież schodził. – Johnny to naprawdę świetny facet, ale jest teraz zaślepiony swoją misją. Słuszną, dlatego mu pomagam, ale... przyznam ci się do czegoś, dobrze?

– Tylko jeśli tego chcesz, Waldenie – zaszczębiotał Kłamca głosem Jo. – Nie chcę cię do niczego zmuszać.

Przez chwilę Butch słyszał tylko chrapliwy oddech i odgłos podeszew na żwirze rozsypanym po stopniach.

– Kiedyś, gdy tylko zacząłem podejrzewać, że z tym światem jest coś nie tak, byłem przekonany, że to mój kuzyn jest gościem, który mógłby to naprawić. Wiesz, on nawet trochę wygląda jak bohater. Przystojny, ale trochę jakby opóźniony z twarzy, ale przez to jakby no... bardziej pocziwy, rozumiesz?

– Chyba tak, mów dalej.

– No ale potem, jak odkryłem, że u mnie w firmie powstają te dziwne twory...

Butch podszedł do drzwi, zacisnął pięści, strzelił karkiem. Głosy dochodziły już prawie spod drzwi.

– No wtedy, gdy je odkryłem – kontynuował Walden – i gdy udało mi się wykraść kilka z nich dla Johnny’ego, dotarło do mnie, że to może ja jestem wybra...

Nie dokończył, bo właśnie w tym momencie Loki w swej dziewczęcej postaci pchnął drzwi i kucnął.

Potężna kula wyburzeniowa, która dziwnym trafem miała kształt pięści i wyrastała z przedramienia Butcha, wystrzeliła do przodu, złapała Waldena za koszulę i bez wysiłku cisnęła nim na krzesło stojące pod gołą żarówką. Piękny, precyzyjny ruch, którego rzucany nie docenił, gdyż ordynarnie po drodze zemdłał.

– Ostrożnie! – zawołał Loki, przyjmując swoją normalną postać, ale z jakiegoś powodu wciąż pozostając w uniformie kelnerki. – Nie powinienś go tak traktować, to przecież wybraniec. Swoją drogą, powiem ci, Butch, już myślałem, że się nie uda. Z pół godziny próbowałem z nim znaleźć wspólny temat w tej knajpie. Aż się zaczął zbierać i musiałem zagrać desperacko. Na szczęście wszyscy programiści są jak z jednej matrycy i każdy się łapie na to pieprzenie o symulacji.

Sięgnął do kieszonki fartuszka i wyjął z niej wykałaczkę i opakowanie Advilu. Patyczek wsunął do ust, a na rękę wysypał kilka małych, czerwonych tabletek. Podał je Butchowi.

– Będzie pewnie rozzarowany, że nie daliśmy mu wyboru – stwierdził. – Ale po pierwsze, coś przeciwbólowego zdecydowanie mu się przyda, a po drugie, po tym, jak się na mnie gapił, nie ryzykowałbym z niebieską.

Raz jeszcze sięgnął do fartuszka i tym razem wyjął z niego telefon.

– Dobra, aniołku, odsuń się teraz, robimy fotkę... Dobra, jeszcze z takiego kąta. Super. No to spadam. Wysyłamy to do Johnny’ego i wchodzimy w fazę drugą. Szykuj się.

Butch ani drgnął. Nie mógł być już bardziej gotowy.



Johnny odstąpił od manekina do wing tsun, dysząc ciężko. Jeszcze kilka sekund temu jego ręce poruszały się z prędkością wiatraków, a drewniane kołki trzeszczały pod jego uderzeniami, grożąc rozpadnięciem się w drzazgi. Teraz w sali zapanowała niemal cisza. Został tylko ten ciężki oddech – świadectwo dobrze wykonanej pracy.

Johnny przeszedł przez pokój zaadaptowany na salkę treningową, usiadł na drewnianej skrzyni i sięgnął po ręcznik. Wytarł twarz i kark, po czym wziął do ręki butelkę i małymi łyżkami, wpasowanymi między kolejne hausty wciąganego powietrza uzupełnił elektrolity.

Nie widział wokół siebie duchów, ale wiedział, że tu są, patrzą na niego, obserwują jego ruchy. Niewidzialni przyjaciele, agenci, których sprezentował mu Walden, by z ich pomocą był w stanie dokonać zemsty. W walce byli nieocenieni. Wiedział dobrze o tym, że w walce w Blue Circle uratowali mu życie co najmniej tuzin razy. Dlatego nie miał nic przeciwko temu, żeby teraz tu byli i obserwowali, jak ćwiczy. Żeby widzieli, że mimo wszystko nie odpuszcza, wciąż rozwija swoje umiejętności i nie polega tylko na nich. Gorzej, że ich obecność czuł również w łazience i sypialni. Pod tym względem byli zupełnie jak kot babci – żadnych świętości.

Wziął jeszcze kilka wdechów, aż wreszcie uznał, że udało mu się wystarczająco uspokoić oddech. Wtedy dźwignął się ze skrzyni i ruszył w stronę bieżni stojącej w kącie. Pokonał połowę drogi, gdy zadzwonił telefon. Walden.

Johnny westchnął i odebrał.

– Tak?

– Johnny, kochanieńki, jak się cieszę, że odebrałeś. – Szczebiot, który rozległ się w słuchawce, z pewnością nie należał do Waldena Jacksona. – Bo już się bałem, że będę zmuszony męczyć twojego kuzyna o twój adresik. Czaisz? Męczyć... gra słowna taka. Bo niby tak się mówi, ale my go tu naprawdę możemy, no wiesz, torturować. Mamy tu całutką dyskografię Dua Lipy i wszystkie komedie romantyczne z Matthew McCano... McCuna... Cholera no, wiesz, o kogo chodzi, nie?

Johnny słuchał.

– No mniejsza. Chodzi o to, że właśnie wysłałem ci foty kuzyna, a zaraz podeślę też pinezkę. Miło by było, gdybyś wpadł. Dress code'u nie ma specjalnego, ale preferujemy bez broni. No i wybaczyć, ale ponieważ tniemy budżet, to zaproszenie bez osób towarzyszących. To co, wpadniesz? Za czterdzieści pięć minut zaczynamy.

Głosik umilkł, po czym dodał konspiracyjnym szeptem:

– Znaczący, jakbyś się pogubił w tym całym gadaniu, to za czterdzieści pięć minut zaczniemy napierdalać w twojego kuzyna jak meksykańskie przedszkolaki w dorodną piniatę. Narka.

Rozmówca się rozłączył.

Johnny jeszcze przez moment wpatrywał się w telefon, po czym gwałtownie ruszył w głąb mieszkania. Przeszedł przez hol, wbiegł po schodach i wpadł do pokoju Waldena. W międzyczasie przyszła wiadomość. Spojrzał na adres, zapamiętał, ale nie przejął się nim zbytnio. Nie tego adresu potrzebował.

Zamiast tego usiadł przy komputerze kuzyna, uruchomił go i wpisał hasło. Znalazł aplikację do namierzania urządzeń z wewnętrznej sieci. Wybrał telefon Waldena i poczekał, aż na ekranie pojawi się mapa miasta z zaznaczonym punktem. Gdy to nastąpiło, uzmysłowił sobie, że ma około kwadransa, by się ogarnąć.

Wpadł do łazienki, wziął szybki prysznic i ułożył włosy. Z szafy wyjął elegancki czarny garnitur i skrojoną pod niego designerską kamizelkę kuloodporną. Z szuflady wyciągnął szelki na dwie kabury i łącznie sześć dodatkowych magazynków. Już ubrany zamocował jeszcze dodatkowe spluwy z tyłu na pasku i na lewej kostce. Na prawą poszedł nóż, a do paska garota ze sprzączką jako uchwytem. Całość obrazka dopełnił okularami przeciwsłonecznymi i dopiero wtedy przejrzał się w lustrze.

Wciąż nie widział duchów, ale miał nadzieję, że patrzą teraz z uznaniem. Powinny, bo wyglądał jak wcielenie zemsty w 8K.

Sięgnął po telefon, wpisał w GPS adres z komputera i uśmiechnął się pod nosem. Wedle szybkich wyliczeń powinien zamknąć temat i wrócić tu z Waldenem, zanim minie czas ultimatum.

– Nadchodzi Johnny – mruknął.

To również duchy powinny docenić.



– No nie wiem, Erosie. – Bachus podrapał się po karku. – Ja na jego miejscu trochę nabrałbym podejrzeń. Rozumiesz, opustoszały budynek, w którym trzeba zejść w dół dwie puste kondygnacje. To aż krzyczy PUŁAPKA.

– A kto powiedział, że kondygnacje są puste? – zdziwił się stojący nieopodal Zadra.

Bóg Wina łypnął na niego spode łba.

– Pytał się ciebie o coś ktoś? – warknął. – Z kolegą rozmawiam.

Zadra uniósł ręce na znak, że się poddaje.

– Myślałem, że chcesz wiedzieć, ale jak tylko ponarzekać, to twoja sprawa.

Odwrócił się i ruszył korytarzem w stronę pomieszczenia z krzesłem.

Eros, który wciąż jeszcze nie do końca się pozbierał po wydarzeniach w knajpie, powiódł za nim nieprzytomnym wzrokiem. Bachus potrząsnął głową.

– Dobra, Zadra, czekaj – powiedział.

Anioł przystanął, ale się nie odwrócił.

– Wyjaśnisz mi ten kawałek planu? Bo chyba byłem zbyt zaaferowany...

Zadra stał przez moment w bezruchu, jakby się zastanawiał.

– No dobra – stwierdził w końcu, wracając do bogów. – To było kiedyś centrum handlowe i na trzecim piętrze wciąż stały manekiny i tekturowe standy. Loki kazał je rozstawić po budynku w różnych miejscach i podpiąć do różnych rzeczy. Wiesz, jeden jest zamocowany na dachu pociągu i jeździ w kółko na kolejce, drugi, połączony z wentylatorem, macha ręką, takie tam. Są też głośniczki z okrzykami wyjętymi z filmów, karabiny ze spustami na sznurki i pistolety przymocowane do balonów na hel. Jak przebiją się o gwoździe na suficie i spadną na ziemię, to powinny wystrzelić. Podsunął mi ze trzydzieści pomysłów i powiedział, że mam to zrobić, jak będziecie w knajpie, ale uruchomić dopiero wtedy, gdy gościu będzie na krzeselku. No to tak zrobiłem. Staralem się być kreatywny.

Bachus się skrzywił.

– I co on myśli, że ukraiński zabójca nabierze się na sztuczki rodem z Kevina samego w domu?

– Nie wiem, ale przed chwilą na każdym mocował iluzję. Jak dla mnie manekiny wyglądają teraz jak żywe. A biorąc pod uwagę, że Witch będzie tu szedł i strzelał, więc każdy z nich zobaczy pewnie przez sekundę-dwie, to my...

Huk wystrzału urwał mu zdanie w pół słowa. Bachus zerknął na zegarek.

– Już? Wydawało mi się, że powinno mu to zająć przynajmniej kwadrans.

– Analogi – odezwał się nagle Eros zaskakująco trzeźwo. – Utorowały mu drogę.

Na górze padły dwa kolejne strzały, a potem rozległy się krzyki i rozpoczęła się kanonada. Niemal w tej samej chwili zza rogu, z tego samego kierunku, z którego dobiegały odgłosy strzałów, wypadł Loki. W biegu przyłożył palec do ust, a następnie dał czekającym znak, by ruszyli za nim. Pokonał jeszcze kilka metrów i wpadł do pustego szybu windy.

Zadra i Bachus popatrzyli po sobie zdziwieni. Tylko Eros bez wahania ruszył przed siebie.

– Skoro wszystko jest iluzją, nawet miłość – powiedział – to szyb windy nie może nią być?

Co powiedziawszy, zrobił kilka kroków i zniknął w mrocznej otchłani.

Ktoś coś krzyknął na górze, ktoś zawołał Hansa, a kto inny wyzywał strzelającego wroga, nazywając pierdolonym wydymańcem.

Bachus podrapał się po głowie, a potem rozbiegł się i wskoczył do szybu windy na bombę.

Strzały były coraz bliżej.



Johnny szedł. Parł do przodu, kładąc pokotem wyskakujących mu na drogę wrogów i pokonując kolejne miejsca. Wiedział, że ma wsparcie, i ufał mu jak kamizelce, którą krył pod marynarką. Na tyle, by nie marnować czasu za osłonami, ale nie aż tak, by ryzykować utratę czujności.

Był niczym cyborg. Jego ludzka część składała się w tym momencie z pistoletu, palca i oka. Tam krył się Johnny Witch. Cała reszta – nogi, biodra, ramiona, druga ręka pomagająca wymieniać magazynki – była w pełni zautomatyzowana jak u tego robota ze starych filmów, których zabraniała mu oglądać babcia. Nie ze względu na przedstawianą brutalność, ale dlatego, że pokazywały policjantów w pozytywnym świetle, co mogło w nim utrwalać złe wzorce.

Witch poruszał się szybko, pochylony, na lekko ugiętych nogach. Kule gwizdały wokół niego, ale zdążył już zdać sobie sprawę, że tym razem większość i tak by chybiła, nawet gdyby nie strzeły go duchy. Czy to oznaczało amatorów? Byłoby miło, ale wołał tego nie zakładać, więc po drodze zaglądał do każdego mijanego pomieszczenia i strzelał do każdego celu dwa razy. Serce i środek czoła. Dla pewności.

Pokonał jedno piętro, zostawiwszy za sobą przynajmniej dziewięć ciał. I choć Johnny był zawodowcem, to jeszcze nigdy zabijanie nie szło mu aż tak spektakularnie! Jego przeciwnicy robili fikołki przez stoły i krzesła, lecieli po kilka metrów do tyłu niesieni odrzutem, a ich głowy rozpryskiwały się niczym dojrzałe melony. Na półpiętrze dorwał kolejnych dwóch. Jeden z nich, postrzelony i kopnięty w głowę, stoczył się całe dwa półpiętra, nim zatrzymał się wreszcie z chrzęstem łamanego karku.

Z piętra poniżej rozległy się krzyki. Przerażony głos nawoływał, żeby się zabarykadować, inne raz po raz z prawdziwą zgrozą powtarzały ksywkę jego albo jego babci. Ktoś głośno nie dowierzał, że cała ta rzeź zaczęła się od kota, a kto inny przypominał, że odradzał ruszanie kuzyna, bo Witch się wkurwi.

Ów ktoś miał rację, bo Johnny faktycznie był wkurwiony. Ale jednocześnie cieszył się, że szło tak sprawnie. Zamiast udać się we wskazane przez nich miejsce, pojawił się od razu tutaj, co na

pewno ich zaskoczyło. Miał tylko nadzieję, że tego zaskoczenia wystarczy, by uratować Waldena.

Siedem minut później z ostatnim magazynkiem włożonym do jednej z ulubionych broni stanął przed ostatnimi drzwiami. Były uchylone, więc pchnął je lekko. Zobaczył nieprzytomnego kuzyna przywiązanego do krzesła pod gołą żarówką.

Witch sięgnął do kieszeni i wyjął lśniącą, srebrną zapalniczkę Zippo. Przykucnął i wsunąwszy ją lekko w szczelinę, obejrzał pomieszczenie w odbiciu. Wyglądało na to, że poza Waldenem było puste, a ostatni pilnujący go strażnik leżał teraz trzy metry dalej i rzęził, trzymając się za gardło.

Johnny wstał, schował zapalniczkę i przeżegnał się bronią.

Jeśli to pułapka, pomyślał, duchy, miejcie mnie w opiece.

Cofnął się i kopnął w drzwi, a potem wpadł do środka, wykonując przewrót. Zatrzymał się tuż przy krześle, omiótł pomieszczenie wzrokiem i bronią. Nie zauważył niczego nowego, więc opuścił pistolet, by zająć się kuzynem. W tym momencie drzwi do piwnicy zamknęły się z trzaskiem, a coś niewidzialnego z ogromną siłą cisnęło nim o ścianę, pozbawiając go tchu i przytomności.



Butch natychmiast zmaterializował się nad Witchem i uderzył pięścią o pięść wpatrzony w cztery blade, nagie postacie owinięte nieco efemerycznymi, półprzezroczystymi skrzydłami. Pozostałe trzy analogi stały poza granicą pułapki, ale zdawały się równie zdezorientowane co ich pochwyceni pobratymcy. Nie wyglądały, jakby rozważały ucieczkę, a możliwe nawet, że nie były do niej zdolne.

– Dobra, Butch, bierz się do roboty – rozległ się nagle głos Lokiego gdzieś spod sufitu. Znajdowały się tam teraz niewielka kamerka i głośniczek.

Butch opuścił głowę, ponownie uderzył pięścią w pięść i postąpił do przodu.

Nagle analogi wiedziały, co robić. Jakby na chwilę wypadły z toru, ale właśnie na niego wróciły. Rozstawiły się, biorąc olbrzyma w szerszy półokrąg, i zaatakowały naprzemiennie. Najpierw ten z lewej szerokim, mocnym hakiem na głowę. Niemal w tym samym momencie ten po prawej rzucił się nisko do nóg.

Butch odparł to bez trudu. Zrobił unik przed ciosem z góry, ale temu na dole dał się złapać. Nie zachwiał się jednak pod naporem przytulonego do nogi anioła, tylko złapał go za kark i z ogromną siłą oderwał od siebie jak pijawkę. Przyciągnął go do siebie i zasłonił się nim jak tarczą przed gradem ciosów kolejnych dwóch. Jednocześnie zaczął się cofać, świadom, że ma odsłonięte plecy.

Pozostałe trzy analogi wkroczyły do kręgu i przyjęły pozycje bojowe. Wyczekały, aż wielki anioł zajęty walką straci je na moment z oczu, i również wściekle zaatakowały. Uderzały jednocześnie z każdej strony, w zwarciu i półdystansie. Z wprawą, z gracją, a co najważniejsze ze zgraniem, które sprawiło, że tym razem kilka ciosów sięgnęło celu.

Butch zachwiał się i uniósł gardę, ale kątem oka widział już, że te trzy zmiecione wcześniej właśnie się podnoszą. Chwila i już miały go w niemal całkowitym kręgu. Jednocześnie zmrużyły oczy i rzuciły się do ataku.

Grzmotnął jednego pięścią w błądą, niedorobioną twarz manekina. Drugiego walnął łokciem, jednocześnie cofając nogę, by ustawić się do kopnięcia. Ale niemal w tym samym momencie trzeci analog wskoczył mu na kark, nogami i skrzydłami krępując barki, a do nóg rzucił się tym razem nie jeden, tylko od razu dwóch. Teraz, gdy był częściowo unieruchomiony, oblaży go

pozostałe analogi. Krępowwały ruchy, próbowały gryźć, drapać i dusić. Nie było w tym żadnej finezji, żadnej gracji. Tylko mnóstwo kończyn i skrzydeł skupionych na jednym celu: obalić olbrzymia.

– I Herkules dupa, kiedy taka kupa – stwierdził sentencjonalnie Bachus, stając w progu.

– On był dupa i bez tego – przypomniał Eros. – W dodatku kretyń.

– Ej, ale długo to jeszcze potrwa?! – zawołał stojący za nimi Zadra. – Zaraz naprawdę zrobią mu krzywdę.

Eros wzruszył ramionami. Wyglądało na to, że wrócił już do siebie.

– Obstawiam, że dokładnie tyle, by Loki wygrał zakład. Bo z wami też się założył, nie?

Z zaskoczonych min towarzyszy Bóg Miłości wywnioskował, że raczej nie. Pokręcił głową z rezygnacją.

– Tyle lat i zawsze się nabiorę.

Tymczasem w jakubowych wnykach analogi zyskały już całkowitą przewagę. Bombardowany ciosami z każdej strony Butch opadł na jedno kolano i tylko zasłaniał głowę, łypiąc na boki i szukając luki. Raz prawie się wyrwał, rzucając się między dwóch przeciwników, ale tamci szybko go przechwycili i wciągnęli z powrotem. Sprawiali wrażenie, jakby uczyli się na bieżąco.

– Dobra, dość, wchodzę mu pomóc! – zawołał Zadra.

Rozepchnął bogów uniósł nogę i postawił ją w pułapce. W tym momencie wszystkie analogi nagle zamarły, a potem zwrócili w jego stronę swoje przerażające, nieuformowane gęby.

– Ups... – zdołał westchnąć Zadra, zanim Bachus wepchnął go całego za linię nakreślonych na podłodze znaków.

– No już, nie można tak na pół gwizdka! – zawołał Bóg Miłości. – Robisz albo nie, nie ma próbowania.

Zadra wpadł do pułapki, zachwiał się, ale złapał równowagę. Analogi wymieniły porozumiewawcze spojrzenia i dwa z nich

odkleiły się od Butcha. Ten natychmiast dostrzegł w tym swoją szansę, więc szarpnął się, poderwał na nogi i rzucił z siebie napastników. Poobijany i zdyszany uniósł gardę i skinął głową Zadrze. Ten odpowiedział lekkim ukłonem i również uniósł pięści.

– Na trzy, Butch! – zawołał. – Raz, dwa...

– Dobra, wystarczy – stwierdził nagle od progu Loki.

Stał lekko zgarbiony, a przez kark przerzuconą miał rękę wiszącego na nim nieprzytomnego Witcha. Obaj znajdowali się już poza pułapką.

– To znaczy – doprecyzował zaraz – jak chcecie, to możecie się bić dalej, ale teraz to już chyba nie ma sensu, nie? Zwłaszcza wy, bladodupce!

Ujął w dłoń bezwładną rękę Witcha i pomachał nią analogom.

– Idziemy z kolegą pogadać do drugiego pokoju. Jak coś ustalimy, damy znać. Bachus, weź skombinuj jakieś krzesła, dobra?

Bachus i Eros wymienili spojrzenia. Bóg Wina poklepał się po zegarku i uniósł brew. Bóg Miłości westchnął.

– A jak myślisz? – odparł. – Oczywiście, że Loki wygrał zakład. Ale to już dobre dwie minuty temu. Obstawiałem, że starcie potrwa z połowę krócej i Butch zbierze łomot.



Przywiązali Witcha do kolejnego krzesła i poczekali, aż się obudzi. Kłamca zajął miejsce naprzeciwko, zachowując bezpieczny dystans. Odwrócił siedzisko oparciem do przodu, oparł na nim przedramiona i w spokoju żuł wykałaczkę.

– Co robią anioły i te drugie? – zapytał w pewnej chwili.

– Butch i Zadra siedzą w kącie – odparł Eros. – A analogi łążą w kółko, szukając jakiejś szczeliny w pułapce. Ale też jakoś bez

przekonania.

Loki pokiwał głową.

– A Walden? Ocknął się już?

– Tak, ale siedzi cicho. Raz tylko nieśmiało zapytał, czy może siku.

– Zaraz będzie mógł, jak tylko dogadamy się z Johnnym. No nie, panie Witch? Przecież widzę, że już nie śpisz.

Witch otworzył oczy, ale nie uniósł głowy, wciąż łypiąc spode łba.

– Dorwę was za to – mruknął.

Loki machnął ręką.

– Daj spokój, Johnny, było, minęło. Zresztą prawda jest taka, że wcale nie chcesz nas bić ani zabijać. Ty masz problem z kolesiami, którzy utłukli ci babkę i kota, nie? My mamy pomysł na to, jak pognać ich trochę dłużej, jak tylko do śmierci. Co ty na to, żeby na przykład... smażyli się w piekle przez wieczność?

Błysk w oku Johnny'ego pojawił się tylko na ułamek sekundy, ale Loki, który bardzo na to czekał, zdążył go zauważyć. Wyprostował się, wykałaczka przewędrowała z jednego kącika ust do drugiego.

– Dobra, ustalmy zatem podstawowe fakty na początek, żeby nam się lepiej rozmawiało – powiedział. – Po pierwsze, przepraszam za nasze metody. Masz prawo być zły. Ale twoja nowa świta i generalnie twoje obecne podejście do kwestii zaufania nie zostawiło nam dużego wyboru. Dlatego już teraz obiecuję: niezależnie od tego, czy się dogadamy, czy nie, za najdalej pół godziny ty i twój kuzyn wychodzicie stąd cali i zdrowi, by robić, co chcecie. My znikamy i już nas więcej nie zobaczycie.

Więzień poruszył ustami, ale Loki uniósł dłoń.

– Nie, Johnny, nie dorwiesz nas i nie pozabijasz. Naprawdę darujemy sobie groźby i od teraz wspólnie zadbajmy o kulturę tej rozmowy, dobrze? Pójdzie szybciej.

Witch odetchnął głęboko, po czym wolno pokiwał głową.

– Chcę zobaczyć Waldena.

– I zobaczysz, ale musisz nam w tym pomóc. Wyślij swoim anielskim przydupasom komunikat, żeby usiedli na miejscu i nie atakowali, wtedy my go przyprowadzimy. Pasuje?

– Anielskim? – zdziwił się Johnny.

– O, czyli nie wiedziałeś? Dobra, za chwilę pogadamy i o tym. Ale teraz zrób, o co prosiłem.

Więzień wpatrywał się w Kłamcę jeszcze przez kilka sekund, po czym przymknął oczy. Po kolejnych piętnastu sekundach je otworzył.

– Gotowe.

Loki obejrzał się na stojących w progu bogów.

– Słyszeliście? Gotowe. Możecie wejść do pułapki i przyprowadzić tu Waldena.

Eros i Bachus spojrzeli po sobie nieprzekonani.

– A jeśli kłamie? – zapytał Eros.

– To ma grzech, proste – odparł Loki. – No już, szybcitko. Nie przeciągajmy.

Pięć minut później przy akompaniamencie stęków i posapywań dwaj bogowie przytargali krzesło z przywiązany doń Waldenem. Postawili je obok Johnny’ego i szybko się cofnęli. Loki wstał, obszedł więźniów i rozciął ich więzy, zaczynając od Waldena. Gdy uporał się z tymi Witcha i próbował obejść go boki, Johnny natychmiast ku niemu skoczył... i poleciał na twarz, przecinając rękami powietrze.

Kłamca, który zmaterializował się za nim, pokręcił głową.

– Stary, mówiłem ci, nie dorwiesz nas i nie pozabijasz – przypomniał. – Nie dlatego, że cię lekceważę, ale po prostu wiem o tobie bardzo dużo. Na przykład to, że gdy byłeś mały, twoja babcia czarownica wyjęła ci serduszko i wsadziła je do małej skrzynki, dzięki czemu nie można cię zabić.

Na wścieklej twarzy podnoszącego się Witcha dostrzegł zaskoczenie, więc sam zrobił zdziwioną minę.

– Nie wiedziałeś? Jesteś inkarnacją legendarnego Kościeja, Johnny. To dlatego szło ci tak świetnie, jeszcze zanim dostałeś swoich bładych, skrzydlatych kompanów. A właściwie to nawet dlatego ich dostałeś... prawda, Walden?

Zagadnięty był do tej pory skupiony na rozmasowywaniu zdrętwiałych nadgarstków, lecz teraz przeniósł wzrok na Kłamcę.

– Co jest prawdą? – spytał.

Loki rozłożył ręce.

– Nad tym pytaniem od wieków głowią się filozofowie i raczej nie rozwiążemy tego w byle piwnicy – odparł. – Ale myślę, że powinienes być uczciwy wobec kuzyna i wyjaśnić mu, skąd wzięłeś dla niego tę szaloną ekipę bladziochów. Bo chyba sporo mu na ten temat nazmyślałeś, prawda? Na przykład nie mówiąc wcześniej, że to aniołowie. A co ważniejsze, że takich gołodupcych ochroniarzy jest więcej i mogą być groźni.

Mina Waldena upewniła go, że ma rację, więc wygodniej rozsiadł się na krześle i założył nogę na nogę.

– Mów jak na spowiedzi. A gdy już skończysz, ja wyjaśnię wam obu, jak daliście się wykiwać ludziom, których chcecie zwalczyć. I jak możecie to teraz naprawić.

Witch podniósł się z ziemi i potarł ręką o rękę, wyraźnie rozważając dostępne opcje. Musiało do niego dotrzeć, że nie ma ich za wiele, bo wrócił na krzesło, usiadł i zaplótł ręce na piersiach. Walden z kolei zerkał teraz nerwowo to na Lokiego, to na kuzyna. Świadomość, że mógł coś spieprzyć, choć chciał dobrze, paliła go teraz jak tacos na ostro z budy przy końcowym przystanku metra.

– Niecałe dwa lata temu – odezwał się w końcu nieco drżącym głosem – zaproponowano mi pracę w Bocor & Wanga. Wcześniej przez siedem lat pracowałem przy rozwoju AI w obszarze dźwiękowym, udoskonalając algorytm do... no, najprościej

mówiąc, deep fake'ów. Chodziło o to, by na podstawie próbek dźwiękowych można było zbudować pełny wzorzec głosowy postaci, by móc mówić cudzym głosem. Wiecie, o co chodzi, bo to już się dzieje, nie? W sieci krążą filmiki z rapującym Nixonem albo Trumpem, który deklaruje, że pochodzi z Meksyku i jego największym marzeniem jest, by geje z całego świata wpychali w niego swoje cukrowe laski i nazywali go swoją Trumpiniatą.

Przerwał, szukając zrozumienia na twarzach obecnych. Znalazł je u Lokiego, więc na nim się skupił.

– Zmierzam do tego, że choć dziś to coraz powszechniejsze, to byliśmy pionierami w temacie. A poza tym naprawdę udawało nam się osiągać świetne rezultaty przy naprawdę krótkich próbkach. I wtedy zjawił się u nas pan Samuel A'edi.

– Ej, on robi tę samą sztuczkę z nazwiskiem co my! – zawołał oburzony Bachus. – Naprawdę nie stać go na nic lepszego?

Loki uniósł palec, dając mu znak, by się uciszył, a następnie ten sam palec skierował na Waldena.

– Mów dalej.

– Pan A'edi zaproponował nam wszystkim potrojenie zarobków, dużo lepszy sprzęt do badań i PS5 w socjalnym. A to był jeszcze czas, kiedy dopiero tę konsolę testowano, więc... – Walden urwał. Na przestrzeni czterech wdechów opanował rosnącą ekscytację, po czym wrócił do głównego wątku. – W każdym razie dał nam świetne laboratorium i niemal pełną swobodę. W zasadzie oczekiwał od nas tylko jednego. Miał dwie dziwne próbki głosowe, coś na kształt hebrajskiego śpiewu. I koniecznie chciał, żeby...

– Żeby stworzyć lektora o dokładnie takim głosie – dokończył za niego Loki, zerkając na telefon. – Poczekaj chwilę, muszę to odebrać...

Przeszedł obok Erosa, dając mu dyskretnie znak, by ten wyszedł za nim.

– Idź do drugiego pomieszczenia i przerwij pułapkę – szepnął, gdy już znaleźli się na korytarzu. – Potrzebuję tu Zadry, bo chyba musi to usłyszeć.

– A jak tamci też wyleżą? – zaniepokoił się Eros.

– Dostali polecenie od Johnny’ego, by zachowywać się spokojnie, więc raczej nie powinni. A nawet jeśli, to druga piwnica jest zabezpieczona odwrotnie i do nas nie wejdą. Chodzi teraz tylko o to, by Zadra stanął w progu i słuchał. Najlepiej niewidoczny.

Eros skinął głową, a Loki wrócił do pomieszczenia, wciąż trzymając telefon w ręku.

– Dobra, wróćmy do tematu. Po jakim czasie udało się wam to osiągnąć?

Walden zerknął na kuzyna, po czym odchrząknął w dłoń.

– Rok, dziewięć miesięcy i dwadzieścia osiem dni.

Sądząc po tonie, w jakim to powiedział, Loki wyczuł, że kryje się w tym jakaś dodatkowa informacja. Uśmiechnął się pod nosem i szybko coś wstukał na komórce. Gdy podniósł głowę, znał już odpowiedź na swoje pytanie:

– Ani jeden, ani drugi nie był rokiem przestępnym, prawda?

Walden westchnął i potrząsnął głową. Ewidentnie unikał teraz spojrzenia coraz bardziej skonfundowanego kuzyna.

– Nie, nie był.

– Czyli cały proces zajął wam dokładnie sześćset sześćdziesiąt sześć dni, tak? Nie zaniepokoiło was to?

Walden wzruszył ramionami.

– Nie tak jak to, co stało się później – odparł. – Inny zespół przyniósł nam opracowane na podstawie próbek tekstowych pieśni do zaśpiewania naszym głosem. Były to słowa wyglądające na hebrajskie, ale jednocześnie kompletnie nieznane w żadnym słowniku. Ci z drugiego teamu stwierdzili jednak, że tak wyszło i nie chciało inaczej. Przytachali tego chyba z sześćdziesiąt sztuk. My na początek mieliśmy wgrać cztery.

– I co się stało, gdy to zrobiliście?

Walden znowu pokręcił głową, a potem nagle ją uniósł.

– Macie tu wodę?

Loki obejrzał się na Bachusa, a ten sapnął.

– Dobra już, zamienię z powrotem. Zaraz przyniosę.

Walden tymczasem potarł twarz i zwrócił się bezpośrednio do Johnnny'ego:

– Ja naprawdę myślałem, że robię dobrze, kuzynie. I to wszystko dlatego, że nie chciałem, by stała ci się krzywda. Gdybym...

– Dobra – przerwał mu Loki – zaraz sobie pogadacie. Najpierw dokończ o tym, co się stało. Komputer zaczął śpiewać i co, postacie zwyczajnie się zmaterializowały?

Walden zakłósał ręką na znak, że i tak, i nie.

– Raczej się drukowały w powietrzu, jak w drukarce 3D. Komputer śpiewał, a one się... no, drukowały.

Loki spojrzał na Witcha.

– I wyglądały jak anioły, prawda? Jak ludzie ze skrzydłami?

– Tak.

Loki pokiwał głową.

– A kiedy zdecydowałeś się je wykraść dla kuzyna?

Do pomieszczenia wszedł Bachus z dwiema butelkami wody. Podał je siedzącym na krzesłach mężczyznom.

– Mogą mieć lekko winny posmak – powiedział nieco zakłopotany. – Rzadko robię przemiany w drugą stronę.

Witch przyjął butelkę, ale odstawił ją na podłogę, blisko nogi. Walden otworzył swoją i wypił pół zawartości jednym dużym łykiem. Otarł usta rękawem.

– Pan A'edi był bardzo zadowolony z naszych usług – powiedział w końcu. – Któregoś razu, jak mieliśmy tych aniołów już z pięćdziesiątkę, przyszedł, wskazał na mnie i kazał siedmiu z nich mnie chronić i słuchać. A potem zabrał mnie na remontowane piętra naszego wieżowca, zabrał buty i kazał uciekać. Jeszcze

natłukł szyb, żeby sprawdzić, czy anioły mnie przed tym obronią. No i wysłał za mną dwudziestu ludzi z bronią.

– I co się z nimi stało?

Walden wzruszył ramionami.

– Nie żyją – odparł. – Przy czym, bo to chyba ważne, anioły żadnego nie zabiły. Po prostu odbijały pociski, reagowały na ich zasadzki, przenosiły mnie nad szkłem. Pomyślałem wtedy...

– ...że gdybym miał takie wsparcie, bez trudu pomściłbym Mruczka. I babcię – dokończył Witch śmiertelnie poważnie. – Dziękuję, kuzynie. Mimo wszystko wiem, że chciałeś dobrze...

Loki zmusił się, by zachować kamienną twarz. To był jego czas, by przejąć inicjatywę, a nie wypadało zaczynać poważnego wywodu od wyśmiania imienia cudzego kota.

– No dobra, Walden – zwrócił się do więźnia. – Dlaczego nie powiedziałeś kuzynowi, że to anioły?

– Bo babcia nienawidziła Kościoła – mruknął Witch. – Zawsze, gdy widziała księdza albo zakonnicę, pluła przez ramię. Wiedział, że anielskiej pomocy bym nie wziął.

– W sumie mądra kobieta. – Loki podrapał się po policzku. – Choć akurat anioły, co przyznaję niechętnie, bywają w porządku. Są głupie, ale czego się spodziewać po istotach, które powstają, bo ktoś je wyśpiewa. W musicalach też trudno o geniuszy.

Pochylił się do przodu, splatając dłonie.

– No dobra, panowie. A gdybym wam teraz obu powiedział, że prawdziwym właścicielem klubu Blue Circle, w którym ostatnio Johnny zrobił porządki, jest właśnie Samuel A'edi? I że pozwalając Waldenowi wyprowadzić z firmy siedmiu bladych, nie zrobił tego przez nierozwagę czy roztargnienie, tylko doskonale wiedział, że odwalicie za niego brudną robotę porządkową, posprzątaacie mu w dolnych strukturach i przy okazji przetestujecie nową broń? Dziesiątki, nawet setki pospolitych gangusów nie mają dla niego znaczenia, zwłaszcza teraz, skoro może sobie naprodukować

aniołów. A gdybym dodał jeszcze, że tak naprawdę to on to wszystko zaplanował i odpowiada za śmierć waszej babci, bo nie chciała z nim współpracować?

Podniósł się z krzesła, otrząpał ręce.

– Zostawię was z tą myślą. Wróć za pół godziny. Zdecydujcie, czy stąd wychodzicie i zostawiamy sprawę, czy może razem bierzemy się za A'ediego i rozpieprzamy mu jego imperium zła.

To powiedziawszy, skinął na stojących w progu bogów i wyszedł.



– Skąd to wszystko wiedziałeś? – zapytał zaskoczony Bachus, gdy już byli sami.

Loki spojrzał na niego zaskoczony.

– Co takiego?

– No, na przykład, że Witch jest Kościejem.

– A jest? – Brew Lokiego uniosła się jeszcze wyżej. – Nie no, żartuję, stary, prawdziwego Kościeja załatwiłem już z dziesięć lat temu. Dosłownie wyzionął ducha, gdy zmiażdżyłem mu jajko. Ale ludzie lubią czuć się wyjątkowo i słuchać o sobie miłych rzeczy, nie? Pewnie nieraz się zastanawiał, dlaczego jest aż taki dobry, no to teraz będzie wiedział. Dopóki nie umrze.

– No dobra, a cała reszta? – wtrącił się Eros. – To o Samedim?

Loki rozłożył ręce.

– Improvizowałem, zabij mnie. Po prostu słuchałem, co mówi Walden, i powiedziałem to, co pasowało mi do jego historii. Wyobraziłem sobie na szybko, że miastem rządzi taki wielki waśniak i ustawia sobie wszystkie gangi, wszystkie firmy, a na koniec robi jeszcze jakieś eksperymenty i...

Urwał, gdy zobaczył przerażoną minę Zadry. Podszedł do niego i klepnął go w ramię.

– Ej, widać po tobie, mordo. Wygląda na to, że załapałeś, co? Dotarło do ciebie, co odjechał pan wielki Baron Samedi?

Zadra otworzył usta, po czym je zamknął i otworzył znowu. Przymknął oczy, policzył po cichu do pięciu i w końcu się odezwał:

– Czy ta próbka głosu, której użył Samedi, to...

– Metatron, głos Boga – dokończył za niego Loki. – Ten, który swoim śpiewem stworzył wszystkie anioły i którego obecna absencja robi wam takie braki kadrowe. Nie mam pojęcia, jak Samedi wszedł w jej posiadanie, ale to kurewsko stary bóg, więc może słyszał na własne uszy, złapał w jakąś muszlę czy cholera wie co. Ale fakt jest taki, że zdobył, wprowadził w nowoczesne AI i najwyraźniej właśnie obchodzi wasz system. A skoro w kilka miesięcy ma kilkadziesiąt analogów, to kiedy uzbiera ich tysiąc? Jak długo zajmie mu zgromadzenie dziesięciu tysięcy? Zakładając stałe udoskonalanie pieśni i rozwój technologiczny...

– Musimy to zgłosić Michałowi! – zawołał Zadra.

Loki uniósł palec i wolno nim pogroził.

– Musimy to się teraz zamknąć i zrobić to po swojemu, by coś na tym ugrać, a jednocześnie ocalić Nowy Jork. Michał nie jest w czołówce gości, którzy potrafią doceniać wkład pracy innych. A w obliczu tak poważnego kryzysu zesłałby na to miasto świętą atomówkę, byleby nie ostał się nawet ślad po takiej akcji. Mylę się?

Zadra nie odpowiedział.

Z pomieszczenia obok dobiegł ich jakiś krótki, stłumiony krzyk. Eros wyłapał spojrzenie Kłamcy, podszedł i zajrzał do środka.

– Loki, Witch chce z tobą rozmawiać. Chyba podjęli decyzję.

Kłamca wyjął z kieszeni pudełeczko wykałaczek. Zostały ostatnie dwie, musiał uzupełnić. Włożył patyczek do ust i wszedł do pomieszczenia.

– No i jak tam, panie Johnny?

– Chcę, żebyś pokazał mi to wszystko na dowodach – powiedział Witch. – Jeśli prawdą jest to, co powiedziałaś, wchodzimy w to. Dorwijmy sukinsyna na samej górze.

Kłamca się rozpromienił.

– Oczywiście, że pokażę ci dowody. Całe mnóstwo najdowodniejszych dowodów na świecie. I witam na pokładzie, Witch... W sumie ciebie też, Walden.



Spreparowanie dowodów nie zajęło Lokiemu nawet godziny. Wiedział bowiem dobrze, że w przygotowaniu jakichkolwiek fałszywych dokumentów nie ma prawdziwego znaczenia, jak precyzyjnie są zrobione. Liczyło się, kto będzie je sprawdzał, jakie ma możliwości porównania ich z oryginałami i jak bardzo sceptycznie jest nastawiony do tego, co zobaczy. Paradoksalnie im bardziej, tym łatwiej go oszukać, trzeba tylko wiedzieć jak. Trzeba znać swoją ofiarę. A Kłamca znał i wiedział.

Gdy dostarczył teczkę pełną kwitów, niewyraźnych fotomontaży i deepfake'owych ujęć z kamer, nawet Walden stwierdził, że w sumie to musi być prawda. Bo przecież jako ekspert wiedział doskonale, że gdyby materiały były sfabrykowane, to przy dzisiejszej technologii zrobiono by je po prostu znacznie lepiej.

Gdy Loki miał już obu wnuków Jagi po swojej stronie, zajął się tym, co kluczowe, czyli opracowaniem planu, który zapowiadał się na dość skomplikowany. Ponieważ niewiele wcześniejszych przewidywań się sprawdziło, Kłamca potrzebował teraz zupełnie nowego flipchartu. Załatwił go Bachus, przez co z anielsko-boskiego zespołu to on objawił się w wynajętym mieszkaniu jako ostatni.

Gdy już wszystko było gotowe, Loki złapał za pisak.

– Przede wszystkim musimy mierzyć siły na zamiary – oznajmił. – I od razu powiedzmy to sobie wprost: z Samedim nie mielibyśmy szans, nawet gdyby był w tym wieżowcu sam. On plus kilkadziesiąt, a może już kilkaset analogów, czyli podporządkowanych mu całkowicie anielskich terminatorów, to coś, co stanowiłoby wyzwanie nawet dla Zastępów archanioła Michała.

– Nadal uważam, że to on powinien o tym zadecydować – stwierdził Zadra.

Kłamca wycelował w niego pisakiem.

– I dlatego wy, aniołowie, nie macie wolnej woli. Bo nie umiecie się bawić. Zamknij się i słuchaj.

Loki narysował na flipcharcie prostokąt, podzielił go na kratki i powpisywał w nie małe cyferki od jeden do trzydzieści jeden. Postukał z dumą w swoje dzieło.

– Kalendarz – powiedział. – Sprawdziłem kalendarz Samediego i... Tak, Erosie?

– Wiesz, że nie musiałeś rysować kalendarza? Praca na flipcharcie to nie kalambury.

Loki wzruszył ramionami, po czym rzucił w Boga Miłości pisakiem i wziął kolejny za uchwytu.

– W każdym razie sprawdziłem kalendarz Samediego...

Szybko narysował go jako ludzika złożonego z kresek, kółka, cylindra i wielkiego węza, po czym wymownie spojrzął na Erosa, który tylko przewrócił oczami.

– ...i okazuje się, że jutro w południe będzie w Filadelfijskim Muzeum Sztuki na otwarciu wystawy Africa Forever. Bocor & Wanga jest jej głównym sponsorem, a kilka eksponatów mogłoby mnie oficjalnie zainteresować. To znaczy Samed i mogłoby pomyśleć, że wpadłem je po prostu ukraść. Na przykład kłębek

pajęczyny Anansiego. Wyczytałem, że to artefakt, który pomagał Bogu Pająkowi pleść sieci idealnych intryg. Fascynujące!

Kłamca rozmarzył się na krótką chwilę, zaraz jednak potrząsnął głową i szybko narysował pajęczynę na flipcharcie.

– To jest zatem punkt pierwszy planu: jadę do Filadelfii, udaję, że planuję napad, i niby przypadkiem zwracam na siebie uwagę Samediego, żeby przytrzymać go poza Nowym Jorkiem. Wtedy nawet jak w firmie u niego odpali się alarm, to uzna, że chcę go przechytryć i odciągnąć od wystawy. W tym czasie wy, to znaczy Bachus, Eros i Zadra, wejdziecie z Waldenem do budynku Bocor & Wanga i dostaniecie się do laboratorium. Gdy już będziecie na miejscu, Witch i Butch rozpoczną dywersję i ściągną na dół wszystkie analogi. Wtedy wasza trójka wykradnie próbki dźwiękowe Metatrona i całe oprogramowanie, a potem zniszczy sprzęt... Tak, Zadra?

Anioł opuścił wzniesioną rękę.

– Chcesz powiedzieć, że podział jest taki, że my włamiemy się do strzeżonego laboratorium, by wykraść próbki, Butch i Witch stoczą śmiertelną walkę w holu z setką wrogów stworzonych do walki, a ty po prostu pójdziesz na bankiet i spotkasz się z Samedim?

Loki pokiwał głową.

– Tak, zgadza się – odparł. – Jak przystało na lidera, biorę na siebie najgorsze i najbardziej ryzykowne zadanie. Możemy przejść do szczegółów?

Gdy trzy godziny później Kłamca przedstawił gotowy plan Waldenowi i Witchowi, ten ostatni miał tylko jeden wniosek:

– Będę potrzebował naprawdę dużo broni.



Po schodach do Filadelfijskiego Muzeum Sztuki nie dało się normalnie wejść. Od przeszło trzech lat każdy, kto na nie wstępował, natychmiast opuszczał głowę, ściągał barki i dociskał łokcie do ciała, a potem wbiegał, posapując, schodek po schodku, by na samym szczycie wyskoczyć z rękami entuzjastycznie wyrzuconymi w górę. I nie było ważne, czy schody pokonywał mały chłopiec, starzec o kulach, bogacz we fraku czy żul w odzieżowym patchworku – zjawisko dotyczyło każdego.

Ludzie myśleli, że to wynik trendu na TikToku, ale prawda była dużo mniej skomplikowana. Po prostu któregoś dnia Loki miał na podorędziu starą, przechodzoną klątwę wielokrotnego użytku. A że była akurat jakaś rocznica filmu Rocky, który owe schody wślawił na cały świat, to postanowił ją należycie uczcić.

Gdy teraz stał pod tymi schodami z ukradzionym zaproszeniem na wernisaż wystawy w wewnętrznej kieszeni eleganckiego płaszcza, mógł wreszcie w pełni podziwiać komiczne efekty swojego żartu. Nie mógł się zdecydować, czy bardziej bawią go podstarzali miejscy dygnitarze we frakach opinających ich wielkie brzuchy, którzy truchtali jak młodzieniaszki, czy ich partnerki w kilkucalowych obcasach biegnące jak na szczudłach i starające się przy okazji nie rozerwać wąskich sukienek.

– Słowo daję, zaczynam nienawidzić tego filmu – odezwał się nagle ktoś za plecami Kłamcy.

Loki obejrzał się i zobaczył ratownika medycznego z papierosem w dłoni. Z pewnością należał do obsługi jednej z siedmiu karetek stojących teraz niczym taksówki między schodami a parkiem rozciągającym się poniżej.

– No coś pan, przecież sport to zdrowie – zadrwił Kłamca, na co tamten tylko machnął ręką.

– Człowieku, dnia nie ma, żebyśmy tu trzech zawałów nie zaliczyli. Statystyki mamy groźniejsze niż Mount Everest. A jeszcze

ludzie jacy roszczeniowi...

– To znaczy?

Ratownik zaciągnął się papierosem.

– Nie dalej jak miesiąc temu była gala na górze jak ta dzisiaj – zaczął. – Młody Trump zjechał, znaczy wiesz pan, synalek. Staął sobie jak pan tu teraz. I mu jakaś panna w oko wpadła. Pech chciał, że ledwie ją zobaczył, to ona w tych swoich obcasach jeb, dup! i na łeb poleciała. Tośmy ją, wie pan, w karetkę zapakowali. Ale bucik po niej został na schodach. Więc młody Trump cap za ten bucik i za nami. Potem razem z ojcem łazili po szpitalach i szukali. A że laska łeb w bandażach, to od łóżka do łóżka każdej kobiecie pantofelek na stopę zakładali, żeby sprawdzić, czy to nowa pani Trumpowa juniorowa.

– Romantycznie – stwierdził Loki.

Ochroniarz zaciągnął się papierosem.

– Tak, media też tak myślały. Zwłaszcza Fox News. Dopiero potem wyszło, że nie poprzestali na buciku i zmoolestowali przy tym ze czterdzieści pacjentek i drugie tyle pielęgniarek. Cóż, Ameryka. Jakie magiczne królestwo, takie, kurwa, księżęta.

Loki już miał odpowiedzieć, ale właśnie jakiś elegancko ubrany dziadek odpadł od schodów niemal przy samym szczycie i zaczął toczyć się z powrotem.

Ratownik rzucił papierosa na ziemię, zgniótł go butem i odwrócił się do kolegów.

– No, chłopaki, mamy kolejnego piaskowego dziadka.

– Piaskowego dziadka? – zdziwił się Kłamca.

– Tak mówimy na tych z osteoporozą. Po takim upadku ze schodów mają piasek zamiast kości. Kiedyś mówiliśmy na nich sandmani, ale ostatnio Netflix wykupił prawa do nazwy i boimy się pozwu. Dobra, chłopaki, dawać nosze. To chyba radny Roberts.

Loki odsunął się na bok, robiąc im miejsc, po czym spojrzał na zegarek. Nadchodził czas, trzeba było brać się do roboty.

Podszedł do schodów i przyjął właściwą postawę, po czym ruszył truchtem na górę.



O umówionej godzinie Bachus, Eros i Zadra stanęli w zaułku obok wieżowca Bocor & Wanga. Mieli na sobie garnitury z kategorii „wyższa półka dowolnej galerii handlowej”. Zadra, nieprzywykły do takich ubrań, czuł się dość niezręcznie, za to dla bogów, którzy wyjątkowo często pełnili funkcje pokrewne komiwojażerce, był to w zasadzie typowy strój biznesowy. Wszyscy trzej trzymali teraz w dłoniach zapalone papierosy, by dla osób postronnych wyglądać jak korpoludki na przerwie.

Ale nie tylko na ludzkich świadków byli przygotowani. Każdy z nich miał teraz w wewnętrznej kieszeni jeden z artefaktów z innych światów. Bachus miał znaczek „Tak, twoją matkę też”, Eros – zgnieciony naparstek, a Zadra – magnesik z Troll’s Face. Loki powiedział, że przedmioty te są naładowane energią, i faktycznie czuło się od nich jakąś wibrację. Nade wszystko jednak, zdaniem Kłamcy, miały one działać jak maskowanie. Loki był pewien, że Samedi zabezpieczył się na wypadek innych bogów czy aniołów, ale istot z innych wymiarów, postaci z tak zwanego brudnopisu Boga, raczej przewidzieć nie mógł, no bo i jak? Istniała więc spora szansa, że artefakty ochronią ich przed pułapkami i uczynią niewidzialnymi dla analogów. Przynajmniej na początku.

W zaułku zjawił się Walden. Szedł nieco sztywno, wyraźnie podenerwowany, a w rękę trzymał trzy identyfikatory na firmowych smyczach.

– Mamy szczęście – powiedział. – Sprawdziłem, kogo dziś nie ma w firmie, a wiem, że zrobił sobie na nielegalu drugi ident. Było

pięć osób, z czego dwie to kobiety. Więc proszę bardzo. Tylko musimy wejść, jak ktoś będzie stał przy recepcji, bo jak nie, to mają tam podgląd, kto wchodzi, i mogą skumać.

– Jasne – powiedział Bachus.

Wziął pierwszy z identyfikatorów i spojrzał na zapisane tam nazwisko. Wyglądało na to, że jest Hindusem.

– Jak atmosfera na górze? – zapytał Zadra.

Walden wzruszył ramionami.

– Raczej spokojnie. Dzisiaj nie drukujemy, chłopaki robią poprawki w kodzie pieśni. Myślimy, że to z tekstów wynika, że analogi są takie...

– Niedojebane? – dokończył za niego Eros, a anioł posłał mu oburzone spojrzenie. – No co? – Bóg Miłości się skrzywił. – Wszyscy je widzieliśmy, nie? Wyglądają jak te dzieci rodzeństwa z Gry o tron, tylko z cholernymi skrzydłami.

Zadra potrząsnął głową i założył smycz na szyję. Walden skinął na nich, odwrócił się i ruszył ku wejściu.

– Jak wejdziemy do windy, Eros wybiera piętro, bo ma najwięcej dostępów – wyjaśnił. – Znaczy oprócz mnie, ale wolałbym nie zostawiać śladu. Potem zostanie nam do pokonania schodami pięć pięter, na których z powodu remontu chwilowo nie ma kamer.

– Pięć pięter? – jęknął Bachus, ale nikt się tym nie przejął.

W przestronnym holu wieżowca Bocor & Wang'a nie było tłumów, ale krzątało się dość ludzi, by przejść bez zwracania na siebie uwagi. Kilka osób siedziało na zestawie wypoczynkowym i gapiło na Starbucksa po drugiej stronie ulicy, kilka czekało na swoją kolej przy kontuarze recepcji. Ktoś właśnie śpieszył się na spotkanie, ktoś inny z jakiegoś wracał, a grupka pracowników wychodząca na lunch utknęła w kołowrocie obrotowych drzwi.

Ludzko-anielsko-boski kwartet nie miał problemu, by dotrzeć do wind. Identyfikator Erosa zadziałał jak należy i już po chwili jechali na górę.

– Pięć pięter. – Bachus jeszcze raz westchnął.

Jakby w odpowiedzi winda stanęła nagle, a światło w środku zmieniło się na czerwone. Zapadła cisza. Cała czwórka pasażerów patrzyła po sobie z niepokojem, który gładko przeszedł w strach, gdy z szybu doszły ich nagle serie miarowych szumów. Szu, szu, szu... Jakby łopot wielu par skrzydeł.

– Analogi – zdążył szepnąć Zadra.

Niemal w tej samej chwili coś uderzyło w dach windy. Zaraz potem otworzyła się kłapa techniczna i do środka zajrzał nedorobiony, ale z jakiegoś powodu mocno zirytowany anioł.

– Zaproszenie poproszę.

Młoda, piegowata dziewczyna w uniformie pracownicy Muzeum Sztuki uśmiechnęła się do Lokiego. Odpowiedział równie czarującym uśmiechem i wręczył jej kartonik, po czym stojącemu obok mężczyźnie oddał płaszcz, w zamian odbierając numerek.

Zerknął na zegarek. Jeśli dobrze liczył, mniej więcej w tym momencie Bachus, Eros i Zadra powinni się zorientować, że plan nie wyglądał do końca tak, jak go usłyszeli, i że jednak są przynętą. Był to szczegół, acz istotny, i w sumie powinni go przewidzieć. Po tym wszystkim, co słyszeli o Samedim, naprawdę choć przez chwilę myśleli, że nie zabezpieczył się na wypadek obcych energii z innych światów? Przecież te dziwaczne gadżety musiały analogom wyć i świecić z kilku kilometrów!

Dostrzegł Samediego na balkonie. Potężnie zbudowany czarny bóg witał właśnie lokalnego kongresmena, ale nie było wątpliwości, że dostrzegł już Lokiego. Jego szeroki, aż boleśnie biały uśmiech nabrał bowiem na krótki moment drapieżności i ostrości, a głowa poruszyła się na boki, jakby z niedowierzaniem. Zaraz też pożegnał się i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę najbliższych schodów.

– No dobra, Loki, bez paniki. Po to tu jesteś – powiedział do siebie Kłamca, robiąc kilka kroków na miękkich nogach. Z tacki

przechodzącego kelnera zawiązał krawietkę, strzepnął ją na ziemię i wsadził do ust wykałaczkę, na którą była nabita. To dodało mu odrobinę pewności siebie, więc energiczniej przeszedł przez hol i już miał wejść na wystawę, gdy poczuł na ramieniu potężną dłoń. Spojrzał na palce. Były czarne. Odwrócił się wolno.

– O! – rzucił ze słabo udanym zaskoczeniem.

– O – rzucił baron, nie udając wcale. – Czy ja ci kiedyś nie powiedziałem, że jeśli nasze drogi jeszcze się kiedyś przetną, to zginiesz?

Kłamca wzruszył ramionami.

– W sumie to nie wiem, stary – odparł. – Byłeś nagi i miałeś na szyi pytona. Nie wiedziałem, gdzie patrzeć. Często tu bywasz? Jesteś może fanem Rocky’ego?

Samedi przyglądał się Lokiemu z tym samym co wcześniej uśmiechem. Tak właśnie mogłaby patrzeć czaszka Yorika tuż po powiedzeniu Hamletowi, by przestał tyle pierdolić.

– Wydaje ci się, że po co tu jesteś? – zapytał w końcu.

Loki wzruszył ramionami i wyjął z kieszeni komórkę.

– Mój telefon zawiera koltan pochodzący z Afryki, więc postanowiłem pokazać mu spuściznę jego przodk... – Urwał w pół słowa i zmrużył oczy. – Czekaj, czy ty mnie zapytałeś, dlaczego wydaje mi się, że tu jestem?

Uśmiech na twarzy Samediego jeszcze się poszerzył, zupełnie jak grymas wielkiego rekina.



Johnny Witch wszedł do budynku Bocor & Wanga obwieszony bronią, choć nie było tego widać na pierwszy rzut oka. Dwa pistolety mieściły się pod pachami, dwa automaty miał zawieszone

poniżej, na żebrach i skryte pod dobrze skrojonym płaszczem. Do tego obrzyn na jednym udzie i wielki, masywny rewolwer na drugim. Resztę stanowiła amunicja wypełniająca sportową torbę, którą niósł na ramieniu.

Siedem niewidzialnych analogów kroczyło wokół niego, obserwując uważnie wszystko dookoła, wypatrując każdego potencjalnego zagrożenia, nawet jeśli płynęłoby od ich pobratymców. Pochód zamykał niewidzialny dla ludzi Butch ubrany w czarną koszulę z podwiniętymi rękawami, szare spodnie w kant i takąż kamizelkę. Szedł z nisko zwieszoną głową, z rękami z tyłu i wyglądał trochę jak John Cena wcielający się w zamyśłonego Noama Chomskiego.

Do Johnny'ego podszedł ochroniarz. Wskazał na torbę i poprosił, by okazać, co jest w środku. Witch zlekceważył go zupełnie i szedł dalej przed siebie.

Ochroniarz powtórzył swoją prośbę ostrzejszym tonem, a dwóch jego kolegów podniosło się z zajmowanych miejsc. Ci koło wind, a było ich czterech, jeszcze nie widzieli, że coś się święci.

– Proszę pana, proszę się zatrzymać! – zawołał strażnik po raz trzeci, a wtedy Witch zwrócił się ku niemu, błyskawicznie dobywając broni spod pachy.

– Zatrzymaj to – mruknął i strzelił mu prosto w głowę.

Butch kątem oka zobaczył świder kuli tnący powietrze i nagły błysk, gdy na jego drodze pojawiła się nagle naga, chuda postać. Kanem dłoni odbiła pocisk, a ten pomknął w bok i zrykoszetował od ściany.

Ledwie rozległ się wizg kuli, hol w jednej chwili wypełnił się krzykiem i ruchem. Ludzie z kompletu wypoczynkowego rzucili się za kanapy i pod niskie ławy, ci przy windach próbowali uciekać do wyjść awaryjnych. Strażnicy ruszyli w stronę Witcha, który rzucił torbę na ziemię, dobył drugiej broni i zaczął strzelać.

Butch zatrzymał się i czekał, bo wiedział, że zaraz się zjawią. I nie pomylił się, bo oto nagle ze ścian, wysoko z sufitu, a nawet z podłogi zaczęły się wyłaniać kolejne blade postacie. Jedne brały na siebie kule wystrzeliwane przez Witcha, inne lądowały na posadzce, materializowały się ku zaskoczeniu ludzi i rozglądały za potencjalnym celem.

Butch wyjął ręce zza pleców. Zakręcił młynki trzymanymi w dłoniach gladiusami, po czym wypuścił skrzydła, rozłożył je szeroko i wzbił się w górę. A potem zapikował gwałtownie i wywijając mieczami, dosłownie wkręcił się w sam środek walki.



Walka w windzie ma tę zaletę, że wyrównuje szanse. Gdy jest was za dużo, zwyczajnie nie ma miejsca na precyzyjne ciosy i po prostu walisz, gdzie popadnie. Uderzasz łokciami, tłuczesz głowę, gryziesz, szarpiesz i pchasz palce w oko. A gdy padasz, krępujesz nogi napastnika i pomagasz kolegom. Tak właśnie robił Bachus. W sumie prawie od samego początku starcia leżał na podłodze i starał się pomóc, a przynajmniej nie przeszkadzać, choć gdyby go podliczyć, pewnie więcej razy trafił swoich niż przeciwników.

Analogów w windzie było teraz pięciu, walecznych i ciężkich. Zawieszona na linach klatka ewidentnie nie była średniowiecznym łebkiem od szpilki zdolnym pomieścić i tysiąc aniołów. Trzeszczała i darła się alarmem, ostrzegając o przeciążeniu.

Darł się też Zadra, któremu najwyraźniej odpalił się wewnętrzny karateka zmuszający go do okrzyku przy każdym zadawanym ciosie. A że anioł tłukł na cepa, to i wrzasków nagle zrobiło się bardzo dużo.

Tylko Eros jako tako trzymał fason, walcząc niczym bokser i punktując bladych przeciwników krótkimi prostymi.

– Któryś z nas musi się wydostać! – zawołał nagle. – Odwrócimy ich uwagę, ktoś wyjdzie tą dziurą na górze i ucieknie szybem!

Zadra spojrzał na niego, jednocześnie blokując cios analoga.

– Ale ty wiesz, że one cię słyszą, nie?

Zaskoczony Eros gapił się na anioła moment za długo i szybko zebrał tubę na otrzeźwienie. Stęknął, zacisnął zęby i przez chwilę walczył w milczeniu.

– Dobra! – krzyknął w końcu. – Mam nowy plan! Słuchajcie...



Coś musiało być w amunicji, którą wziął na tę misję Witch, bo mimo wyczuwalnej obecności analogów, mimo ich starań, co drugi czy co trzeci pocisk trafiał kolejnych uzbrojonych ochroniarzy. Johnny nie umiał powiedzieć, czy po prostu miał szczęście, czy też przy okazji powalał również jakieś analogi, które zarówno dla niego, jak i dla reszty śmiertelników były w tej walce niewidoczne.

Czy mu to przeszkadzało? Ani trochę. Ufał odpowiedzialnemu za skrzydlatych Butchowi, tak jak się ufa towarzyszowi broni, i wiedział, że potężny anioł strzeże jego tyłów. A widocznych przeciwników, czyli strażników Bocor & Wanga, którzy zbiegli się tu nagle z oblędem zombie w oczach i straceńczo rzucili do walki, miał aż nadto.

Pruł więc przez środek holu i uważając na rozbryzgi krwi, dawał prawdziwy popis zabójczej wirtuozerii. Skręcał się, uchylał, skakał i przetaczał, a towarzyszyły temu kolejne salwy z broni bądź odgłos wymiany magazynków. Kule wrogów się go nie imały, bo przecież miał swoich skrzydlatych, którzy dzielnie dotrzymywali

mu kroku w szalonych akrobacjach. Gdyby ktoś mógł ich teraz zobaczyć, uznałby, że to istny Cirque du Soleil po pół roku w Syrii.

Butch wcale od nich nie odstawał. Z dwoma krótkimi mieczami w dłoniach to wznosił się, to znów pikował, kręcił w powietrzu korkociągi i beczi, a nade wszystko raz po raz trafiał kolejnego analoga, czym wywoływał obfity rozbryzg już jak najbardziej widzialnej krwi. Czerwień chlustała wszędzie. Zmieniała hol w szalone malowidło Pollocka i wywoływała – często ostatnią – konsternację na twarzach obryzanych strażników. Niewidzialne ciała spadały z cichym jękiem i głośnym łoskotem, aż drżała posadzka.

W pewnym momencie Witch na krótką chwilę uniósł głowę i choć nie mógł tego widzieć, poczuł, że spogląda w twarz Butcha. Ten najwyraźniej również zdał sobie z tego sprawę, bo na ułamek sekundy zmaterializował się, by dać człowiekowi znak, że wciąż tu jest.

– Za Mruczka! – zawołał Witch.

Anioł w odpowiedzi strząsnął krew z miecza. On nie potrzebował pretekstów.



Z Lokim to zawsze tak jest, pomyślał anioł Jefferson, unosząc się między wieżowcami Manhattanu. Wpada niby z wizytą, potem prosi cię o drobną przysługę, oferując w zamian sensowny przywilej, a kończy się na tym, że stajesz się trybem w jego planie, pomagasz mu okłamać wszystkich łącznie z towarzyszami broni i włamujesz się w jego imieniu do nowoczesnej siedziby pradawnego boga. Standard i klasyka.

Jefferson zgodził się pomóc, bo sprawa związana była z wrogiem, z którym przyszło im już w przeszłości się mierzyć i który stanowił niemałe zagrożenie. Samediego poznali obaj lata temu, gdy podczas zupełnie innej akcji usłyszeli o Bocor & Wanga i postanowili dowiedzieć się, co jest nie tak z tą firmą. Skończyło się tak, że stary bóg wypuścił na Kłamcę armię korpozombie. Gdyby Jefferson obniżył teraz lot o kilka pięter, znalazłby się dokładnie tam, gdzie wtedy przechwycił w powietrzu Lokiego skaczącego z okna sali konferencyjnej.

Baron był prastary, potężny i sprytny. Trzeba więc było więcej niż jednego zwodu, by spróbować go oszukać.

Jednak argumentem ważniejszym niż osobiste zaszłości była stawka. Wizja wielkiej korporacji, która zyskuje monopol na anioły i decyduje o tym, komu przysługuje ochrona, była dla takiego społecznika jak Jefferson zwyczajnie wstrętna. I choć rozumiał, że Kłamca, mówiąc mu to, gra na nim jak Woody Allen na klawirze, to wiedział też, że musi się zgodzić.

Dlatego teraz wisiał na wysokości biura prezesa i sposobił się do włamu.

Gdy usłyszał w głowie sygnał, by ruszać, podleciał bliżej okna. W rękach trzymał specjalny palnik, bo choć mógł zwyczajnie przeniknąć do środka, Loki przestrzegł go, by tego nie robił.

– Gdybym był Samedim i zabezpieczał swoje biuro – powiedział wtedy – raczej nie zakładałbym, że włamie się do niego ktoś, kto wytupi sobie dziurę. Za to kogoś, kto potrafi przeniknąć przez okno, może się w tych okolicznościach spodziewać, prawda? I na pewno się zabezpieczył.

Brzmiało to rozsądnie, więc zgodnie z planem Jefferson uruchomił palnik i jak najstaranniej wyciął prostokąt w swoim rozmiarze. Następnie wepchnął go do środka i wstąpił do biura.

Prezentowało się elegancko i ponuro. Duża przestrzeń wypełniona masywnymi, ciemnymi meblami, potężne biurko

i regały wypełnione afrykańskimi maskami, rzeźbami i kawałkami rytualnej broni. Na podłodze dywan o grubym włosiu barwy ziemi i piasku, a w rogach pomieszczenia klomby ułożone z głazów i świeczniki z kawałków skamieniałych drzew zalane czerwonym woskiem niczym krwią.

Tym jednak, co najbardziej zwróciło uwagę Jeffersona, było stojące po lewej potężne terrarium. Przede wszystkim dlatego, że zawierało wszystko, co taki obiekt zawierać powinien – kawałek drzewa, roślinność, sadzawkę, wielkie kamienie, lampę grzewczą – z wyjątkiem jednego drobiazgu. Nie miało frontowej szyby.

Niedobrze, zdążył pomyśleć Jefferson, zanim wielki, zwinięty w kłębek pyton wystrzelił prosto ku niemu, rozdziawiając paszczę.



– Wyjaśnisz mi, co miałeś na myśli z tym, że coś mi się wydaje? – poprosił jeszcze raz Loki.

Samedi uklonił się przechodzącej parze starszków, przykładając rękę do piersi.

– Tak, ale nie tutaj. Przejdźmy może do gabinetu.

Loki parsknął.

– Jasne! Żebyś mógł mnie rzucić na pożarcie swojemu pytonowi, co? Nie ma mowy...

Samedi westchnął i pstryknął palcami. W tym samym momencie wszystko wokół od muzyki, przez ludzi, po wodę w fontannach zamarło jak na filmowej stopklatce. Pstryknął jeszcze raz.

Loki pokiwał głową z uznaniem.

– Niezłe. Gdybyś jeszcze umiał sprawić, że połowa z nich rozsypie się w proch, dopiero byłbym pod wrażeniem.

– Nie prowokuj mnie, Loki. I chodźmy do gabinetu.

– Ale ta sztuczka nadal nie rozwiązuje problemu pytona.

Czarnoskóry bóg przejechał dłonią po łysej czaszce. Wyraźnie tracił cierpliwość.

– Nie ma jej tutaj. Wysiada je jaja.

– Ooo, będzie mamą? – Loki przyłożył obie ręce do twarzy w geście zachwytu. – Mazel tow! Chociaż nie, czekaj. Czy wy w Afryce nadal macie żal o akcję z Mojżeszem i potopieniem Egipcjan? Bo jak tak, to cofam.

Samedi nie odpowiedział, po prostu podszedł do drzwi prowadzących do korytarza technicznego, otworzył je i dał znać Lokiemu, by wszedł. Ten rozłożył ręce na znak, że nie pozostało mu nich innego.

– Normalnie jak ktoś się dowiaduje, że ma zostać ojcem, to jakoś bardziej się cieszy. Myślałem, że te memy o czarnych ojcach to tylko takie gadanie.

Przeszli jasnym korytarzem i weszli do niewielkiego pomieszczenia biurowego. Choć przestronne, urządzone było nad wyraz skromnie, ot biurko, dwa krzesła, kilka regałów. W kącie przy wyjściu na balkon zestaw wypoczynkowy. To właśnie na nim, a konkretnie na szerokiej skórzanej kanapie usiadł Samedi. Rozpiął marynarkę, zajął miejsce na samym środku i rękami objął oparcie. Loki zdecydował się na fotel naprzeciwko.

– Czyli jak z tym „wydaje ci się”? – przeszedł od razu do konkretu.

Samedi przejechał językiem po białych zębach. Mlasnął.

– Czasem, gdy o tobie myślę, pojawia mi się refleksja, jak bardzo masz zaburzone proporcje.

Loki rozłożył ręce.

– To się nazywa pompka do penisa, w internecie sprzedają – powiedział. – Ale stary, widziałem przecież, że ty nie potrzebujesz! Niechętnie to przyznaję, ale gdyby była opcja, tobym się zamienił.

Co w sumie nie jest niemożliwe, wiesz? Pamiętasz Kojota, nie? On sobie odczepiał i...

Samedi wyprostował się, podniósł i sięgnął do klap marynarki, by je zapiąć. Loki natychmiast się zamknął, opadł na oparcie i udał, że zamyka usta na kłódkę. Dopiero wtedy Baron wrócił do poprzedniej pozycji i podjął przerwany wątek.

– Masz zaburzone proporcje osobowościowe, Loki. Spójrz, jesteś tricksterem, jak ja i wielu innych nam podobnych. Owszem, jesteś tym dużo młodszym, niedojrzałym i nieuformowanym, ale jednocześnie bardzo utalentowanym i, można by powiedzieć, na czasie. Czujesz dzisiejszą rzeczywistość, media, świetnie kłamiesz, umiesz odnaleźć się w sytuacji, znasz dużo sztuczek. Ze swoimi pomysłami, a wierz mi, śledzę je uważnie od naszego pierwszego spotkania, mógłbyś naprawdę wiele osiągnąć i wielokrotnie już wykiwać swoich aktualnych mocodawców. Tu jednak pojawia się twój problem, Loki. Owo dziwne zaburzenie proporcji.

Pochylił się do stojącej na ławie karafki i nalał sobie wody. Upił łyk, mlasnął, jakby to było najlepsze wino, i spojrzał przez szklankę na słońce.

– Żeby być tym, kim my jesteśmy, trzeba mieć wielkie ego – podjął. – Ale jednocześnie trzeba mieć świadomość swojego miejsca w szeregu. Dla innych, dla tych swoich aniołów czy kogo tam kolwiek, możesz być centralnym klockiem każdej układanki albo kluczykiem do pozytywki. Możesz, a nawet powinienes, sprawiać, że bez ciebie nic się nie stało, co się stało. Ale jeśli sam w to uwierzysz, jeśli staniesz się ofiarą własnych kłamstw...

– Zmierzasz do czegoś konkretnego? – zniecierpliwił się Kłamca.

Samedi upił kolejny łyk, odstawił szklankę.

– Musiałeś być z siebie bardzo dumny, kiedy odkryłeś, co stoi za niezwykłą skutecznością pana Johnny’ego Yagi, prawda? Kiedy pełnym przypadkiem trafiłeś pod Blue Circle w dniu masakry,

a potem zdobyłeś te nagrania z popisami Witcha i pokazałeś je swojej dzielnej drużynie.

Czarny bóg przerwał i usadowił się w tej samej pozycji co na początku. Rozłożył szeroko ręce, poklepał skórzane poduchy, wyszczerzył się.

– Było tak, Loki? – zapytał. – Miałeś wtedy wrażenie, że jesteś panem sytuacji? I że to ty rozdajesz karty?



Jefferson nie znał się na walce z węzami, ale praca stróża całej dzielnicy rozwinęła jego refleks do niebywałego wręcz poziomu. Widząc przerażający gadzi pysk... po prostu przesunął się w bok. Pyton śmignął obok niego niczym najbardziej zaskoczona strzała świata i wleciał prosto w otwór wycięty w oknie. Anioł z trudem powstrzymał odruch sprawdzenia, czy bestia, lecąc na beton, nie wygłądała aby jak gadzia wersja Hansa Grubera.

Rozejrzał się po pomieszczeniu, zastanawiając się, gdzie powinien zacząć poszukiwania... właściwie nawet nie wiedział czego. Jak mógł wyglądać nośnik, na którym znajdowały się próbki głosu Boga? Na czym przechowywany był program, który pozwalał naśladować jego głos? To był priorytet: zdobyć to cholerstwo, przejść materiały źródłowe i technologię, a dopiero potem zniszczyć komputery i dyski produkujące fałszywe anioły.

Uznał, że zacznie od terrarium, ale ledwie tam podszedł, ścisnęło go w gardle z żalu. W środku bowiem, częściowo zakopane w piachu, leżały trzy wielkie, błoniaste jaja.

– Zabiliśmy im matkę – jęknął. – Atakowała, bo broniła młodych.

Wiedział, że to irracjonalne. Miał świadomość, że gad, który właśnie wypadł przez okno, należał do pradawnego boga

i atakowałby niezależnie od powodu. Miał też świadomość, że jak świat światem węże i aniołowie są raczej na wojennej ścieżce i że teraz dla dobra sprawy powinien w zasadzie dokończyć dzieła, niszcząc jaja. Ale kompletnie nie mógł się na to zdobyć.

Zamiast tego wyjął telefon i napisał wiadomość:

Samedi może się wkurzyć, właśnie zabiłem mu węża.

Odpowiedź przyszła po kilkunastu sekundach i naprawdę go zaskoczyła.



Loki milczał, bo ostatnie pytanie Samediego wciąż zdawało się wibrować w powietrzu. Złożył dłonie w piramidkę i przyglądał się Samediemu znad jej szczytu, mrużąc oczy.

– Naprawdę nie zastanowiło cię – pastwił się nadal Baron – dlaczego ktoś taki jak ja, bo przecież też mnie trochę znasz, w ogóle pozwolił komukolwiek na wykradzenie siedmiu anielskich prototypów? Dlaczego akurat Waldenowi Jacksonowi?

Loki wzruszył ramionami.

– Jeśli mam być szczery...

Samedi pokręcił głową.

– Nie, Loki. Nie oczekuję, że będziesz szczery. I na pewno ty nie powinienes oczekiwać szczerości ode mnie. Tacy już jesteśmy, że prawdę o nas mówi to, co robimy, nie to, co mówimy.

W kieszeni Kłamcy zamruczał wyciszony telefon. Loki wyjął go, przeczytał wiadomość i szybko coś odpisał. Samedi pozwolił mu na to, przyglądając się z rozbawieniem.

Kłamca schował telefon i tym razem to on pochylił się do karafki. Nalał sobie wody.

– No dobra – powiedział w końcu – to czego chciałeś dowiedzieć się o mnie, skoro już i tak wszystko wiesz? I skoro, jak zakładam, tak dobrze ukryłeś to, czego szuka moja ekipa? Po co ta cała szopka?

– Trochę po to, by dowiedzieć się, o co chodzi z tymi dwoma aniołami. Tymi z wydziału interwencyjnego, czy jak to się tam zwie. Bo przyznaję, charakter waszej relacji jest dla mnie zagadką.

– Och, i to już? Tylko tyle? – zadrwił Loki. – Ale to przecież żadna zagadka, wystarczyło zasubskrybować nasz profil na OnlyFans. Pokazujemy tam wszystko od kuchni po sypialnię i nie mamy przed fanami żadnych tajemnic.

Baron westchnął i pokręcił głową. Spojrzał za okno, na słońce. Zmrużył oczy.

– Albo rozmawiamy rzeczowo i konkretnie, Loki, albo nadal szczujesz mnie swoją vis comica. Zaraz otwarcie wystawy i nie mogę się spóźnić. A powinienes wiedzieć, że los twoich towarzyszy zależy od tego, jak ocenię tę rozmowę. Bo w Bocor & Wanga nie znajdują tego, czego szukają, to już obaj wiemy. Pytanie, na które odpowiedź da mi ta rozmowa, brzmi: czy istnieje jakiś powód przemawiający za tym, bym puścił im płazem włamanie się na mój teren i próbę kradzieży tego, co moje? Rozumiesz?

Telefon Lokiego ponownie zawibrował. Kłamca raz jeszcze po niego sięgnął, odczytał wiadomość i uśmiechnął się pod nosem. Tym razem schował bez odpisywania.

A potem ku zaskoczeniu czarnego boga wstał i poprawił marynarkę.

– Tak, Samedi, rozumiem – powiedział. – Mimo wszystko rozumiem, widzę i czasem wiem więcej, niż zakładasz. Ale w przeciwieństwie do ciebie ja nie jestem złodem z Bonda, który wyklada cały swój plan i wszystkie motywacje, by pokazać, jaki to jest zajebisty.

Odprowadzony wciąż zaskoczonym wzrokiem czarnego boga podszedł do biurka, skąd wziął kartkę i pióro. Szybko skreślił kilka słów.

– Argumentem za tym, by nie zabijać moich przyjaciół, Baronie, jest to, że pozytywnie zdałem twój test. – Kłamca złożył karteczkę na pół. – Bo o to chodziło, prawda? O to, że masz swój plan i mimo całego teatryku, jaki mi teraz fundujesz, widzisz w nim miejsce również dla mnie. Rzecz w tym, że w związku z pojawieniem się Butcha i Zadry musiałeś się dowiedzieć, na ile wiernie służę aniołom. I czy jak tylko dowiem się o twojej manufakturze aniołów, nie zgłoszę tego od razu Michałowi lub Gabrielowi.

Podszedł do Barona i wręczył mu złożoną karteczkę.

– Jeśli kiedyś będziesz chciał pogadać o swoich wielkich planach, to na pewno znajdziesz sposób, by mnie znaleźć. A teraz wybacź, ale są tacy, których obchodzą losy Afryki i przyszli tu na wystawę.

Doszedł do drzwi, starając się trzymać fason, choć po kłamkę sięgał drżącą ręką. Nie miał pojęcia, jak Samedi zareaguje na treść karteczki, ale nie zakładał, by się ucieszył. Dlatego gdy tylko zamknął za sobą drzwi, puścił się biegiem przez korytarz. Był w połowie drogi, gdy usłyszał niski, głęboki śmiech prastarego boga.



Faktyczny limit windy wynosił: dwóch bogów, z czego jeden z solidną nadwagą, chuderlawy agent WINA, krępy trzydziestoparoletni inżynier i szesnaście niedorobionych aniołów. Przy tym obciążeniu winda ograniczała się do wycia alarmem i trzeszczenia. Siedemnasty analog sprawił, że zerwały się liny.

Szarpnęło, ale natychmiast zareagowały hamulce. Jednak obecny ciężar był za duży i dla nich. Zgrzytnęły przeraźliwe raz, a potem znowu, co chwilę, za każdym razem, gdy winda skokowo opadała o parę centymetrów.

– Kto ma skrzydła, wypierdala! – zawołał z podłogi Bachus, ale nikt go nie posłuchał.

Właściwie wyglądało na to, że analogom sytuacja jest na rękę. Walka w takim ścisku była w zasadzie niemożliwa, a one zachowywały się tak, jakby niespecjalnie przykładły wagę do swoich żywotów. Obciążenie windy tak, by spadała, zabijając czterech intruzów, mogło być częścią ich planu.

Hamulce znowu zazgrzytały, a winda osunęła się o kawałek. W powietrzu niosła się krwista woń rozgrzanego metalu.

– Spróbuję otworzyć drzwi! – zawołał Eros.

– To wcześniej nie próbowałeś?! – zdziwił się Zadra.

– Jak jesteś taki krytyk, to może...

Końcówka zdania przeszła we wrzask, bo nagle gdzieś wysoko na górze rozległ się bardzo głośny huk, część fali uderzeniowej poszła szybem i grzmotnęła w wagonik.

Tego było już dla hamulców za dużo. Rozległ się trzask i wizg pękającego metalu, po czym winda już bez żadnego oporu poleciała w dół. Niemal w tej samej chwili dwadzieścia jeden istot znajdujących się w środku oderwało się od podłogi, ani chybi zdając sobie sprawę, że to już koniec.

– Aaaaaa, nie chcę umierać!!! – wrzasnął Walden Jackson.

Tak, bo my to na ochotnika, przemknęło przez głowę Bachusowi. Nawet się uśmiechnął, że to w sumie fajna ostatnia myśl. A potem zdał sobie sprawę, że już nie ostatnia, bo przecież ta refleksja jest kolejną, i ostatni pozytyw tej sytuacji chuj strzelił.

Nagle winda, która zdążyła już nabrać sporej prędkości, zaczęła wyhamowywać. Najpierw troszkę, ale z każdą chwilą coraz

wyraźniej. W końcu się zatrzymała, a potem drzwi stanęły otworem.

Zobaczyli zdyszanego, ociekającego krwią Johnny'ego Witcha. W rękach trzymał dwa gladiusy, a za nim rozpościerało się pojowisko holu.

– Do tych, którzy tu są, ale ich nie widzę – powiedział, szczerząc się demonicznie. – Mój nowy kolega Butch powiedział, że zaraz wraca, bo po wyhamowaniu tej windy musi ją jeszcze przywiązać. Ale zaczekajcie na niego i ustawcie się w kolejce, żeby nikt nie zebrał wpierdolu dwa razy.



Oczywiście w serwisach informacyjnych twierdzono, że to zamach terrorystyczny. I rzeczywiście tak to mogło wyglądać, bo wybuch na górnych piętrach wieżowca Bocor & Wanga był tak silny, że uszkodzeniom uległy sąsiednie budynki.

W ciągu godziny pod budynek najeżdżało się strażaków, policji, karetek i wozów transmisyjnych wszystkich możliwych stacji. Ci, którzy pierwsi weszli do budynku, twierdzili potem, że w holu było jak w rzeźni. Sporo trupów i irracjonalne wręcz ilości krwi, w której ratownicy dosłownie brodzili.

Kilka dni później, gdy już czołówka amerykańskich muzyków zebrała się, by zaśpiewać zjednoczoną piosenkę o miłości, a cała Ameryka zarówno w telewizji, jak i w domach, klubach i barach zastanawiała się, co właściwie zaszło, zaczęły się pojawiać teorie spiskowe. Ponoć odkryto na przykład, że wszyscy ludzie, którzy rzekomo zginęli w akcji, tak naprawdę nie żyli już od kilku lat i byli wykopanymi z grobów zwłokami, które z jakiegoś powodu się nie rozłożyły. Albo że tuż przed wybuchem z nieba spadł wielki

wąż, wylądował na betonie, po czym zwyczajnie wpełzł do pobliskiego kanału.

Byli też tacy, którzy przysięgali, że zaraz po zejściu widzieli idącą boczną uliczką siedmioosobową grupę złożoną z czterech mężczyzn i trzech aniołów. Jeden z tych ostatnich był ponoć wielki i trzymał w rękach dwa miecze, a drugi miał kolorowe włosy i niósł pod pachami trzy smocze jaja.

Ten trzeci anioł, według relacji świadków taki zupełnie zwyczajny, ponoć w pewnym momencie przystanął, wskazał na gapiów i powiedział:

– Ej, Butch, Jefferson, ci ludzie chyba nas widzą.

Na co jeden z mężczyzn, taki gruby, miał rzekomo machnąć ręką i stwierdzić:

– Jebać, i tak nikt im nie uwierzy.



Tego samego dnia wieczorem Loki i Jefferson stali na tarasie widokowym Empire State. Ze względu na zagrożenie terrorystyczne dostęp do wszystkich takich miejsc był zamknięty, ale Loki miał swoje dojścia, a anioł, jak to anioł, nie musiał się przejmować. Mogli więc stać i patrzeć na dym, który wciąż spowijał siedzibę firmy Barona Samediego.

– W sumie chyba nieźle poszło, nie? – zapytał Loki.

Anioł wzruszył ramionami.

– Zależy, kogo spytasz – odparł. – Bachus, Eros i Zadra, powiem ci, mogą mieć do ciebie troszkę żalu.

Kłamca machnął ręką.

– Przejdzie im. Zwłaszcza gdy zobaczą...

– Nie zobaczą – wszedł mu w zdanie Stróż. – Nie oddam ci tych jaj, Loki.

Kłamca uniósł ręce, jakby się poddawał.

– Ok, nie to nie, Jeffy. W sumie u ciebie też będą bezpieczne.

Anioł przyglądał mu się przez chwilę, po czym z rezygnacją pokręcił głową.

– Już je podmieniłeś, co?

– Godzinę temu. – Kłamca sięgnął do kieszeni, skąd wyjął orzeszki w karmelu. – Jako anioł dzielnicy jesteś bardzo przewidywalny w temacie kryjówek. Ale spokojnie, nie zrobię z tym nic głupiego. Jakbym chciał wyprodukować bandę nedorobionych białasów, to chyba znam na to przyjemniejsze sposoby.

Jefferson wzruszył ramionami i oparł się o poręcz.

– W sumie teraz już i tak nic nie zmienię – stwierdził. – Ważne, że Samedi nie ma już tej technologii i próbek. Zwłaszcza tych ostatnich. Jesteś pewien, że nie zachował kopii?

– Pewien nie – odparł zgodnie z prawdą Loki – ale byłbym skłonny się założyć. Wiesz, my, tricksterzy, mamy czasem zaburzone proporcje. Nie jesteśmy aż tacy sprytni, jak się nam wydaje.

Przez chwilę stali w milczeniu, wpatrzeni w panoramę Nowego Jorku i wsłuchani w szum wiatru.

W końcu ciszę przerwał Jefferson.

– Muszę cię o to zapytać, Loki. Skąd wiedziałeś, że Samedi ukrył wszystko w jajach węża?

Kłamca westchnął. Wrzucił do ust garść orzeszków i dobre dwie minuty miał je na miazgę. W końcu przełknął i odwrócił się, by spojrzeć aniołowi w oczy.

– Tyle lat się znamy, a ty nigdy nie zainteresowałeś się moją przeszłością? Na przykład tym, że kilka stuleci spędziłem, leżąc pod wielkim, jadowitym wężem? Jeśli czegoś mnie to

doświadczenie nauczyło, to tego, że umiem odróżnić cholernego samca od samicy.

Jefferson parsknął śmiechem.

– Naprawdę? Po tym się zorientowałaś?

– Bardziej po tym, że Samedi w tej kwestii skłamał. A skoro to zrobił, musiał mieć jakiś powód, nie?

– I to mu napisałeś na karteczce? – upewnił się Jefferson. – Że jego wąż to samiec?

– Ująłem to troszkę inaczej – odpowiedział Loki – ale jak ktoś nie jest tricksterem, to nie zrozumie i szkoda tłumaczyć. W każdym razie czekam teraz, aż zaprosi mnie na rozmowę.

Wrzucił do ust jeszcze kilka orzeszków, po czym zawinął torebkę, wepchnął ją do kieszeni i otrząpął dłonie.

– Dobra, idę się rozmówić z resztą ekipy – powiedział, wyciągając rękę do anioła. – Jeszcze raz dzięki za wszystko Jefferson, wiszę ci.

– W zasadzie to... jesteśmy kwita – odparł anioł, ściskając wyciągniętą dłoń. – Witch z kuzynem i czwórką swoich aniołów postanowił zamieszkać w mojej dzielnicy i pomóc mi w stróżowaniu. Zapytał tylko, czy załatwię mu nowego kota.

Teraz to Kłamca się roześmiał.

– O widzisz – rzucił, wkładając do ust wykałaczkę. – Czyli jednak było warto.

CZĘŚĆ 2



Gabriel zastukał we framugę otwartych drzwi i nie czekając na pozwolenie, wszedł do kwatery Michała. Ten siedział na krześle zgarbiony i wpatrzony w nagi miecz oparty o ścianę. Łokcie trzymał na kolanach, a pięści złączone kłykciami przed twarzą, po której pełgał skwierczący płomień. Ogień na zboczku miecza wyglądał niczym lawa albo roztopione żelazo wlane w formę.

– Wydaje mi się, czy wezwałeś wszystkich dowódców legionów? – zapytał Gabriel. – Bo jeszcze się nie zjawili, ale już przez swoich adiutantów zażądali wszystkich możliwych raportów o bieżącej sytuacji.

Michał nie odpowiedział.

– Panoszą się tutaj, jakby zaczęła się wojna, i nie jestem przekonany, czy...

Michał odwrócił się nagle. Łypnął na brata gniewnie.

– Czy co? Czy to dobry pomysł?

Boski posłaniec wzruszył ramionami.

– Czy to w ogóle potrzebne – odparł. – Powstrzymaliśmy Kłamcę w trakcie tego, co robił. Cokolwiek planował, aktualnie siedzi w lochu.

Michał wstał i złapał za miecz.

– Chcę z nim gadać. Już! Teraz!

– Teraz to chcesz go torturować, aż powie ci wszystko, a finalnie zabić – odparł spokojnie Gabriel. – Ale po pierwsze, znasz go. Jeśli zorientuje się, że za chwilę wyda ostatnie tchnienie, to tym chętniej skłamię, by zostawić po sobie dziedzictwo chaosu i dezinformacji. Po drugie, gdy się zastanowić, to tak właściwie za co jesteś na niego zły? Za to, że powstrzymał stare bóstwo przed zgotowaniem nam piekła na Ziemi?

– Za Butcha. Za to, że zabijał go wielokrotnie. Za każdą śmierć mojego żołnierza. A co do tego ratowania nas przed piekłem na

Ziemi, to on przecież nie zrobił tego dla nas. Chciał na tym ugrać coś swojego. Zaraportował ci całą sprawę czy dowiedziałeś się już po wszystkim? Oddał ci tę matrycę z niebezpiecznymi danymi czy po prostu przeszła z rąk jednego trickstera do drugiego?

Gabriel parsknął.

– To nie jest tak naprawdę twój żołnierz, bracie. Wiedziałeś o tym. To nie jest też Stróż czy ktokolwiek, kto winien jest mnie czy tobie posłuszeństwo w imię Pana. Przed innymi możemy robić srogie miny, ale gdy tu stoimy we dwóch, tylko ty i ja, powiedz mi, dziwi cię, że Loki się zabezpiecza? Że trzyma asa w rękawie?

Michał cofnął się o krok, potem kolejny. Odstawił miecz i zaplótł ręce na potężnej piersi.

– Mówisz, jakbyś go bronił – zauważył.

Gabriel potrząsnął głową.

– Nie, bracie. Mówię, jakbym chciał się dowiedzieć, co tak naprawdę knuł, i jakbym chciał poznać w tej sprawie twoje zdanie. Ale żeby miało ono znaczenie, potrzebuję, żebyś poznał całą sytuację i mógł faktycznie ocenić ryzyko. Potrzebuję cię rozsądnego, bracie. Kierującego się nie gniewem, lecz bitewną mądrością. Tego ciebie, który zrozumie aktualną sytuację i powie, jak powinniśmy dalej postąpić.

Michał wciągnął powietrze, a po chwili wypuścił je głośno i powoli.

– Niech tak zatem będzie – stwierdził. – Wracajmy do tego Zadry i posłuchajmy, co ma do dodania. Zwłaszcza, że nie skończyliśmy tego przesłuchania. Miał mi odpowiedzieć jeszcze na kilka pytań. Bardzo mnie ciekawi ten moment, gdy Loki powstrzymał wcześniejszą apokalipsę. To zniszczenie grobów ewangelistów, list do Lucyfera... To mnie interesuje.

Gabriel rozłożył ręce.

– Hmm... Chcesz do niego iść po tym, jak, ledwie skończył mówić, rzuciłeś nim o ścianę i niemal spaliłeś pokój przesłuchań?

Obawiam się, że akurat jemu powinniśmy teraz dać trochę czasu. Zresztą przed chwilą zjawił się Rafael. I już się nim zajął.

– Rafael? Po co?

– Z powodu Butcha. Jego nie udało się nam dorwać wraz z resztą podczas akcji, a ze względu na to, że nie wywodzi się z naszego świata, nie da się z nim normalnie skontaktować ani go namierzyć. Nasz brat ma spróbować połączenia właśnie przez Zadnę, licząc na jakąś nić przyjaźni między tymi dwoma, cokolwiek.

– Chcę wiedzieć od razu, gdy go znajda – rzucił Michał. – Chcę być pierwszym, który się dowie. Butch jest... to znaczy był moim żołnierzem. Jeśli ktokolwiek...

– Tak – wszedł mu w zdanie Gabriel. – Tak będzie.

Sięgnął za pazuchę i wyjął gruby rulon pergaminów. Podał je Michałowi.

– To pergaminy Dawidowe do utrwalania psalmów, więc jeśli nie chce ci się czytać, możesz ich po prostu odsłuchać. To kolejna historia, którą powinienes poznać, bo zawiera ważne zeznania.

– Czyje?

– Niejakiego Jakuba Ryjka, człowieka, policjanta, z którym kiedyś współpracowałeś, oraz Bachusa i Erosa. Ich również mamy pod kluczem...

– Więc chodźmy do nich!

– ...ale nie zamierzam ryzykować twojego kolejnego napadu furii – dokończył Gabriel. – Zapoznaj się z raportami i zastanów się, gdzie wspólnie jesteście, dobrze?

Michał wziął pergaminy, rozchylił pierwszy.

– To jest ta operacja Straszliwy brzydał?

– Nie, do tego jeszcze dojdziemy. – Gabriel ruszył w stronę wyjścia, ale zatrzymał się w progu. – Dam ci znać, gdy przybędą twoi oficerowie, i odezwę się, gdyby Rafael czegoś się dowiedział.

Michał skinął głową, a gdy tylko Boski Posłaniec zamknął za sobą drzwi, rozwinął pergamin do końca.

– Mów – polecił.

I pergamin przemówił.

MAŁPIE GODY

– Nic dziwnego, że się za tobą oglądają, Karolinko – powiedziała jej kiedyś babcia. – Jesteś piękną dziewczyną, a chłopcy zawsze oglądają się za pięknymi dziewczynami. Ale czy któryś traktował cię kiedyś na tyle poważnie, by zabrać cię na wesele?

Z jakiegoś powodu te słowa osiadły jej w mózgu, stały się swoistym mottem, ale i pewnym związkowym wyznacznikiem. Od tej pory każda relacja – rozpoczęta w klubie, pracy, kawiarni czy na Tinderze – dostawała ten jeden warunek i półroczny termin realizacji. Jeśli w ciągu tego czasu potencjalny partner nie zabierze jej na wesele i nie przedstawi bliskim osobom, to ona, Karolina, z domu i z dowodu Człapek, powie mu, żeby spadał.

Zwykle nie musiała czekać aż tyle, bo większość jej związków już po niecałej dobie okazywała się ślepym zaułkiem. Te, które trzymały się dłużej, czasem dobrze rokowały, czasem nie, ale zwykle rozbijały się o tę samą kwestię: ona chciała, by się domyślili, oni próbowali albo nie, ale jakoś nikt nie wpadł na to, co może być kluczem do jej serca.

Karolina jednak nie poddawała się i w końcu, u progu trzydziestki, w jej życiu zjawił się on. Ten jeden, wyjątkowy i wyczekany. Przystojny jak filmowy amant w tych swoich przyciemnianych okularach i z wykałaczką w zębach, uroczy jak miś, którego woził w aucie. Elokwentny, zabawny i bogaty, a do tego wkrótce po rozpoczęciu znajomości z zaproszeniem na wesele dla dwóch osób. Gdy tamtego wieczoru w restauracji zapytał ją, czy robi mu ten zaszczyt i będzie jego plus jeden, myślała, że wygrała w totka.

Teraz natomiast, siedząc obok swojego wybranka przy weselnym stoliku i patrząc z przerażeniem to na wielki telebim

z przerażającym panem młodym, to znów na ludzi w maskach, którzy z balkonów mierzyli do biesiadników z karabinów, w głowie miała tylko jedną myśl:

No kurwa, dzięki, babciu!

M I E S I Ą C W C Z E Ś N I E J

Któreś z nich musiało niechcący nacisnąć zaplątany w pościel pilot, bo telewizor włączył się nagle, prezentując ekran startowy YouTube'a. Karolina i tak miała zamiar wstawać, więc usiadła, odruchowo zakrywając koldrą piersi, i wolną ręką pomacała wokół. Trafiała na coś, co mogło być pilotem albo oznaką porannego entuzjazmu leżącego obok mężczyzny. Ścisnęła. Nie mruknął. Czyli pilot.

Już miała wyłączyć odbiornik, ale jej wzrok przykuł filmik numer jeden w zakładce „na czasie”. Został opublikowany w zeszłym tygodniu, miał już siedem milionów wyświetleń i nosił tytuł Syndrom koreański.

Na miniaturze prezentował drobną blondynkę Julianę Paluszek ubraną fotomontażem w tradycyjne koreańskie hanbok. Dziewczyna uśmiechała się szeroko, a przyklejony jej do ust komiksowy dymek pytał widzów: „Jak jest po koreańsku »kłamczucha«?”.

Karolina jako osoba korzystająca z mediów społecznościowych oczywiście знаła sprawę Julianny Paluszek. Trąbili o niej aktualnie wszyscy i wszędzie. Cztery lata temu ta pochodząca z Podkarpacia dziewczyna zdobyła tytuł wicemiss Rzeszowa, a potem udało jej się wyjechać na Erasmusa do Włoch. Tam, jeśli wierzyć historiom, które opowiadała później w wywiadach, zakochał się w niej na zabój Chris Hemsworth. Naprawdę długo rozważał, czy nie powinien dla niej wziąć rozwodu i zostawić rodziny. Ostatecznie na drodze stanął im rzekomo kontrakt z Disneyem, który miał paragrafy na podobne skandale, ale dowodem i jednocześnie

zwieńczeniem tej miłości była epizodyczna rola, którą aktor zaoferował polskiej ukochanej w swoim najnowszym filmie.

Rzeczywiście, jeśli ktokolwiek oglądał Rzym znaczy śmierć – i w trakcie seansu mocno ograniczył mruganie – miał szansę dostrzec Juliannę Paluszek, jak stojąc na pasach, uśmiecha się do przejeżdżającego autem głównego bohatera. Ten odpowiada gestem na kształt salut, a potem zwraca się do siedzącego obok Jasona Stathama: „Faktycznie, stary, Rzym to miasto grzechu”.

Ktoś mógłby powiedzieć, że to niewiele, ale ta rola otworzyła jej oczy i pokazała perspektywy. Paluszek rzuciła studia i wybrała ścieżkę międzynarodowej kariery, a już po pięciu latach wróciła do Polski w blasku jupiterów, przedstawiając się w mediach jako największa gwiazda koreańskiego kina i telewizji. A że akurat dzięki Netflixowi, ale i koreańskiemu filmowi Parasite ta kinematografia była na absolutnym topie, to się zaczęło. Wywiady, ścianki, kontrakty, tańce z gwiazdami i twarze brzmiące znajomo. Paluszek wpychała się wszędzie, aż strach było otworzyć lodówkę.

Tak było do czasu, aż pojawił się pewien influencer, który postanowił powiedzieć „sprawdzam”. Widoczny teraz na YouTube film Syndrom koreański był właśnie demaskatorskim materiałem pokazującym krok po kroku, że kariera Julianny to ściema. Karolina miała nawet zamiar go obejrzeć, ale jakoś się do tej pory nie zeszło. Może przy śniadaniu? Jeśli ten śpiący obok blond słodziak nie wyrazi sprzeciwu?

Spojrzała na niego i z zaskoczeniem skonstatowała, że już nie śpi. Przeciwnie, wpatrywał się w ekran z poważną miną, mrużąc oczy.

– Cześć, kochanie – zagaiła. – Czy masz może ochotę...

– Możesz włączyć ten filmik? – Wskazał ręką w stronę telewizora.

Uśmiechnęła się.

– Syndrom koreański? Myślałam, żeby do śniadania. – odparła. – A teraz, korzystając z tego, że już...

– Nie, nie ten. Ten niżej.

Karolina ponownie spojrzała na ekran. Drugi film na karcie również dotyczył Paluszek. Był to materiał reporterski, najprawdopodobniej koreański, i na miniaturze przedstawiał Polkę w objęciach jakiegoś śmiesznie wyglądającego chudego Azjaty.

– Ten? – upewniła się.

– Tak, ten, dzięki.

Prychnęła cicho na znak, że jednak czuje się trochę urażona faktem, iż postawił wyżej jakiś filmik niż jej propozycję, ale najechała na wskazane wideo i wcisnęła „play”.

– Czy zastanawiałeś się kiedyś...

Pominięła reklamę.

– Petitki Lubisie...

Tę również.

Wtedy pojawił się właściwy film, a na nim wielka posiadłość w angielskim stylu i limuzyna czekająca na podjeździe. Przed ogrodzeniem widać było tłum gapiów i paparazzich czekających najwyraźniej, aż ktoś wyjdzie z budynku.

– Chyba przez przypadek wyłączyłam dźwięk – zaczęła Karolina, ale leżący w jej łóżku blondyn uciszył ją syknięciem.

Z posiadłości wyszedł właśnie jakiś mężczyzna. Zatrzymał się na szczycie schodów i uniósł rękę. Zbliżenie następujące po montażowym cięciu ukazało, że to ten sam mężczyzna, który na miniaturze obejmował Paluszek. Chudy, kudłaty jegomość ze sztywnymi włosami sterczącymi na wszystkie strony i bokobrodami porastającymi nieomal pół twarzy. Karolinie przypominał trochę tę małpkę kapucynkę z serialu Przyjaciele, zwłaszcza gdy się uśmiechał.

Znalazła przycisk odpowiedzialny za wyciszenie. Z głośników telewizora poleciały niezrozumiałe słowa, ale obraz tłumaczył wszystko. W kolejnych ujęciach na ekranie pojawiła się bowiem Paluszek i najwyraźniej przedstawiano ją jako partnerkę Kapucynka. Ujęcia pokazywały ich śmiejących się w restauracji, a potem zaprezentowano jeszcze kilka romantycznych zdjęć pary z ich kont instagramowych: na Wielkim Murze, przy słynnej terakotowej armii, ale też w Paryżu czy w Nowym Jorku. Wreszcie na ekranie pojawił się charakterystyczny rzeszowski pomnik, tamtejszy urząd stanu cywilnego, kilka monstrualnie wielkich samolotów lecących z Azji i okoliczna sala biesiadna. To wszystko mogło sugerować tylko jedno.

– Paluszek wychodzi za mąż za koreańskiego milionera? – zdziwiła się Karolina. – Jezu, a byłam pewna, że ona z tym wszystkim kłamała.

Boski blondyn nie odpowiedział. Zamiast tego po prostu odrzucił koldrę, złapał telefon leżący na szafce i wyszedł do łazienki. Wyglądał na bardzo podekscytowanego.

Karolina była może trochę ciekawska, ale nie z rodzaju tych, co podsłuchują. Dlatego nie ruszyła się z miejsca, tylko powoli, oczko po oczku ściszyła dźwięk w telewizorze. A że zupełnym przypadkiem mieszkanie, w którym spali, nie było duże, słowa dochodzące z łazienki były całkiem wyraźne.

– ...która jest godzina, Bachusie – mówił właśnie Blondyn. – Masz tam dostęp do YouTube’a? To przestań stękać, tylko włącz i zobacz zakładkę „na czasie”, drugi film. Czekam...

Karolina nerwowo poprawiła się na łóżku. Przez dobre pół minuty nic się nie działo, aż w końcu ponownie rozległ się głos jej towarzysza.

– Tak, jestem prawie pewien, że to on... I na ile rozumiem koreański, to on chce się z tą dziewczyną żenić?! I to w Polsce?... Cholera, sprawdź to. Coś się musi za tym kryć... Tak. Sprawdź

i w razie czego załatw mi zaproszenia na to wesele. Muszę tam być.

Karolina przyłożyła rękę do ust, by powstrzymać pisk ekscytacji. Bo nie dość, że ta rozmowa brzmiała tak, jakby Blondyn był jakimś cholernym Bondem, to jeszcze powiedział coś o zaproszeniach na wesele. W liczbie mnogiej. Czy to możliwe, że gdy to mówił, pomyślał o niej i chciał ją ze sobą zabrać na celebryckie wesele być może największej skandalistki w dziejach polskiego show-biznesu?!

Spojrzała ku niebu i bezgłośnie poprosiła babcię o wsparcie



Bachus podszedł do rozłożonych na stole wydruków. Z eleganckiego, skórzanego etui wyjął stare, druciane okulary, przetaił je specjalną szmatką i wsunął na nos.

Loki przyglądał się temu z uniesioną brwią. Już miał skomentować, ale dostrzegł dyskretne znaki dawane mu przez Erosa. W końcu Bóg Miłości wyjął telefon i szybko coś napisał. Kłamca odczytał wiadomość: „Później ci wyjaśnię. Nie psuj”. Wzruszył ramionami, ale komentarz faktycznie sobie darował.

Bachus tymczasem pochylił się nad kartkami, wziął jedną do ręki, porównał z inną. Cmokał przy tym i robił miny jak polski emeryt przy straganie z pomidorami. Wreszcie odwrócił się i palcem wskazującym docisnął okulary do nasady nosa.

– No jak dla mnie to on – stwierdził.

Postukał w zdjęcie Azjaty obejmującego Julianę Paluszek, a potem w siedemnastowieczną, czarno-białą grafikę przedstawiającą mężczyznę z ogonem i małym pyskiem, ubranego w królewskie szaty i uzbrojonego w długi kij.

– Po mojemu to nawet wyglądu nie zmienił.

– W rzeczy samej – zgodził się Eros. Przepił do przyjaciela filiżanką herbaty i doprawił brytyjskim półuśmiejchem.

W ogóle, co zauważył Loki, Bóg Miłości sprawiał dziś bardzo mocno wyspiarsko-szlacheckie wrażenie. Herbata w porcelanie, nudnie elegancka fryzura, granatowy pulower do błękitnej koszuli i grafitowych spodni. Można by rzec „typowy angol”, z tym że w jego przypadku była to oczywiście wersja na eksport w rodzaju Jude’a Lawa z Holiday, a nie klasyczna arystokratyczna zachęta do zabawy w „pokażę ci moje zęby i czoło, a ty zgadnij, którą swoją kuzynkę księżniczkę przeleciał mój królewski dziadek”. Kłamca był niemal pewien, że ta przebieranka miała coś wspólnego z okularami Bachusa, a niemożliwość zapytania o to już teraz, natychmiast, gryzła go jak wełniany sweter na gołe ciało.

No ale inne sprawy były obecnie ważniejsze.

– Bez cienia wątpliwości osobnik na zdjęciu to Sun Wukong, Małpi Król i legendarny chiński trickster – podjął Eros, odstawiając filiżankę. – Pozostaje jednak pytanie, dlaczego chiński bóg podaje się za Koreańczyka.

W ustach greckiego Boga Miłości pozującego na brytyjskiego arystokratę zabrzmiało to przekomicznie, ale i tym razem Loki się powstrzymał. Słowa „nie psuj” obiecywały nagrodę za siedzenie cicho. Miał tylko nadzieję, że będzie tego warta. Zamiast drążyć, odpowiedział więc na pytanie Erosa.

– W zasadzie to Sun nie jest do końca chińskim bogiem – wyjaśnił. – Wywodzi się z Indii, gdzie zaczynał jako Hanuman, sługa Ramy, wcielenia Wisznu. U siebie dobił do szklanego sufitu, więc wyjechał na zarobek do Chin, ustawił się i tak już zostało.

Podszedł do stołu, przegrzebał papiery i wyciągnął na wierzch zdjęcia starych indyjskich płaskorzeźb. Wziął flamaster i zakreślił kółkiem małą widoczną na jednej z fotografii.

– Zmierzam do tego, że małpiatek wcale nie musi być aż tak przywiązany do regionu, jak nam się wydaje – podjął – zwłaszcza że Chiny to teraz trudny rejon. Po pierwsze, komunizm tępi wszystkie religie. Po drugie, te wszystkie obozy koncentracyjne, obozy pracy. To psuje PR i trzeba mieć wyczucie włodarzy Disneya, by przy tym trwać. Za to Korea? Pięknie się rozwija, ma popularne seriale, oscarowe filmy, Gangnam Style. Kultura na pełnej. Nie tu kryje się nasze pytanie.

Znowu przegrzebał zdjęcia i tym razem podniósł to, w które wcześniej Bachus stukał paluchem. To przedstawiające Wukonga z polską celebrytką.

– Prawdziwą zagadką jest, o co chodzi tutaj. Masz te zaproszenia na wesele, Bachusie?

Bóg Wina poprawił okulary wyraźnie z siebie zadowolony.

– Mam, ale nie uwierzysz, jaka się z tym wiąże historia – powiedział. – Otóż...

– Przynies je najpierw i zaraz dokończysz – przerwał mu Loki.

Bachus wyraźnie niepocieszony westchnął i poczłapał do przedpokoj. Gdy tylko przekroczył próg, Loki doskoczył do Erosa.

– Dobra, nawijaj. O co chodzi z okularami?

Eros odstawił filiżankę, sięgnął po chusteczkę i wytarł kąciki ust.

– Wisiałem mu pieniądze, ale nie szła mi karta – wyjaśnił. – Więc w ramach rozliczenia zaoferowałem mu okulary lorda Byrona. Załatwiłem je od takiej mojej koleżanki, prześlicznej historyczki. Razem wkręciliśmy mu, że Byron opętał te oprawki i daje noszącemu moc nieprzeciętnego intelektu i ciętej riposty. A także, co nie bez znaczenia, wyszczupła.

– Doskonałe! – Loki aż klasnął w dłonie. – A dlaczego zachowujesz się teraz jak pajac?

Eros wzruszył ramionami.

– Bachus za dużo czasu spędził z tobą i zrobił się nieufny. Musiałem nosić te okulary przez tydzień, by mu pokazać, że

działają. Teraz oficjalnie jestem nimi napromieniowany i efekt powoli ze mnie schodzi.

Bóg Miłości wyszczerzył się i podał Kłamcy chusteczkę, by ten otarł łzy wzruszenia.

Tymczasem wrócił Bachus. Położył na stole małą kopertę.

– Oto i zaproszenie, Loki – powiedział. – A ciekawa historia jest taka, że podobno rozdano je tylko kilku celebrytom, a w większości zupełnie przypadkowym ludziom. I że tam podobno nie tylko wspaniała zabawa, ale i jakieś wielkie konkursy będą. Duże pieniądze można wygrać. Zastanawialiśmy się nawet z Erosem, czy to nie jest trochę taki numer, jaki wykręcamy teraz w Montanie, ale jednak na to nie wygląda. No i ważna rzecz. Zaproszenia są dwuosobowe i nie można przyjść w pojedynkę.

Loki wyjął z koperty złoty kartonik wielkości wizytówki. Obejrzał go z obu stron i zmarszczył czoło.

– Hmm – mruknął. – Przypadkowym ludziom, powiadasz? Cóż, nazwij mnie sceptykiem, ale nie wierzę w przypadki.

Wyjął telefon i przez chwilę przyglądał się kilku nieopisanym numerom. W końcu zdecydował się na jeden z nich.

– Hej, mam pytanko – rzucił, gdy usłyszał w słuchawce kobiecy głos. – Nie wyskoczyłabyś ze mną na wesele w przyszłym tygodniu?

– Na wesele Julianny Paluszek i jej koreańskiej miłości? Och, Lokstar, naprawdę?!

W tym momencie Kłamca zdał sobie sprawę, że chyba jednak nie o ten numer mu chodziło. Ale głupio już było się wycofać, a w tej sytuacji w sumie co za różnica.

– Tak, eee... Karolina. Dokładnie na ten – rzucił i szybko odsunął telefon od ucha.

Jak się okazało, słusznie, bo pisk radości był taki, że aż wszyscy trzej się skrzywili. Gdy przeraźliwy, wysoki dźwięk ustał, Kłamca przysunął mikrofon telefonu do ust.

– Świetnie. To jeszcze się odezwę – powiedział, po czym się rozłączył.

Popatrzył na obu bogów.

– Dowiedźcie się o tym ślubie i weselu wszystkiego, co tylko możliwe. Dyskretnie. A tobie, Bachusie, dziękuję za świetną robotę. I... czy mi się zdaje, czy wyszczuplałeś?



Biuro detektywistyczne emerytowanego komisarza Jakuba Ryjka mieściło się w dawnym mikrourzędzie pocztowym wrocławskiego domu handlowego Astra. Niewielka to była przestrzeń, niewiele większa niż przeciętny kiosk ruchu, ale zdolna pomieścić biurko z Ikei, dwa krzesła i metalową szafkę z aktami. Do biurka przykręcona była stara lampka, taka na pałąku ze sprężynami, i przyklejony dwuskładnikowym klejem stary laptop, którego Ryjkowi nie chciało się nosić, a strach było zostawiać. Poza tym były policjant dysponował jeszcze stojącą w kącie drewnianą skrzynką, na której stały kapsułkowy ekspres i dwa kubki; leżał tam też klucz do toalety dla personelu. Wszystko to zebrane do kupy dawało niewiele, ale – jak sam wielokrotnie zauważał w przeszłości – i tak bardziej na bogato, niż miał w polskiej policji.

Mimo to czasem cknęło mu się do służby. Pomyśleć, że w tak katolickim kraju poleciał za aniołów. A dokładniej za plotkę, że pomagają mu w śledztwach. Innym natomiast nie pomagały, a że jednak zawiść jest cechą narodową, to przy kolejnych politycznych czyszkach Ryjek został detektywem.

Czy narzekał? W sumie nie, choć zdrad małżeńskich naoglądał się i nafotografował tyle, że prędzej uwierzyłby w płaską Ziemię niż udany związek. Ale czasem udało mu się odzyskać samochód,

czasem rasowego kota, a kilka razy nawet dotrzeć do paru zaginionych spadkobierców. Raczej się nie nudził.

No i bywały też dni takie jak ten i klienci jak pani Stasia, bogata emerytka. Babulinka, która zależnie od nastroju i miny mogła iść albo na etykietę domowych dżemów, albo na plakat filmu Zemsta mumii, już wcześniej przychodziła do Ryjka z nietypowymi zadaniami. Jednak to konkretne przebijało wszystkie dotychczasowe.

– Niech no dobrze zrozumieć, pani Stasiu – powiedział Ryjek, składając dłonie w piramidkę. – Pani wnuczka Leosia... Ile ona ma teraz lat? Dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć?

– Trzydzieści dwa – odparła pani Stasia. – Jej matka, a moja pożałuj Boże córka wcześniej ją miała.

Ryjek skinął głową. Ten wątek akurat najmniej go obchodził.

– W każdym razie Leosia dostała zaproszenie na jakiś celebrycki ślub, tak?

– Nie wiem, co to celebrycki, ale takich z telewizji – wyjaśniła pani Stasia. – Znaczący jest z telewizji, bo on to jak jakaś małpa wygląda, za przeproszeniem, chińska.

– Za przeproszeniem małpa czy chińska?

Staruszka machnęła ręką, co było odwiecznym emeryckim gestem znaczącym „po chuj drążyć”.

– Próbowалаm jej wybić z głowy – podjęła – bo na takich ślubach, to wiadomo, co się dzieje. Ale się uparła i już.

– I ja miałbym z nią na ten ślub iść, tak? W charakterze kogo, ochroniarza?

Staruszka uśmiechnęła się, co z początku nie dało najlepszego efektu, bo przesunęła jej się proteza. Zaraz jednak zdzieliła się w szczękę, poruszała nią i spróbowała jeszcze raz.

– Panie Kubusiu kochany – powiedziała. – Z pana to dobry człowiek, nawet jak były pies. I niebrzydki, i niegłupi. A ona z tym debilem Andrzejem chciała iść. Toć jej tyle razy mówiłam, że sobie

większego melepety wziąć nie mogła. A ona, że babcia da spokój, bo Andrzej się stara. Ciągłe się uczy, mówi. I mi zdjęcia pokazuje, że Andrzejek w autobusie, w kuchni, nawet w łazience z książką siedzi, tyle że to ta sama książka jest, panie Kubusiu. „Angielski dla opornych” się nazywa. I on na każdym zdjęciu jest na tej samej stronie.

Detektyw sięgnął do kubka z kawą. Dopił zimną resztkę i zerknął na zegarek. Obiecał sobie, że nie będzie pił kawy częściej niż jedną co trzy godziny. Do kolejnej brakowało jeszcze dwóch godzin. Westchnął.

– Na miłość nic pani nie poradzi, pani Stasiu.

– Ha, tfu, wypłuj pan te słowa! – oburzyła się emerytka. – Zresztą właśnie wyszło, jaka to miłość. Bo na tym ślubie, to wie pan, jakiś wielki konkurs ma być, pieniądze ogromne do wygrania. Jak się Andrzejek dowiedział, to zaraz z koleżkami hyc i zaproszenie Leosi ukradli. I teraz z tą lafiryndą Wieczorkowską idzie! A przecież ona to prawie w moim wieku jest!

Ryjek uśmiechnął się pod nosem. Wiedział, że to „prawie” to co najmniej dwie dekady, ale głośno tego komentować nie zamierzał.

– No i moja Leosia teraz we łzach, bo raz, że serce złamane, a dwa, że ta nagroda, jakby jej się udało, to miała na dzieciaczki z domu dziecka pójść. A ona miała szansę wygrać, wie pan. Raz to ją prawie do Jeden z dziesięciu wzięli, a w szkole to miała szóstkę z gimnastyki. Co ją pytam, to ćwiczy tę jogę szatańską i na jakieś pitelusy chodzi. I jeszcze konkurs strzelecki wygrała, jak z moim świętej pamięci Władziem do kółka strzelców sportowych posłała. A jak był konkurs miss „Gazety Wrocławskiej”...

– Dobrze już, dobrze, pani Stasiu – przerwał kobiecie detektyw. – Ale jak to sobie pani wyobraża? Że pójde i odbiorę Andrzejowi to zaproszenie? Ono chociaż imienne jest?

Staruszka znowu machnęła ręką, tym razem energiczniej, po czym sięgnęła do wielkiej torebki, którą trzymała na rachitycznych

kolanach. Wyłowiła z niej małą kopertę z zaproszeniem wielkości wizytówki.

– Ja to, panie Kubusiu, nowe zdobyłam – wyjaśniła. – I już Leosi powiedziałam, że mam. Tylko się boję, że jak ten zbój z tą lafiryndą się dowiedzą, to jej tam na weselu krzywdę zrobią. Wie pan, panie Kubusiu, to Podkarpacie. Tam to nie za takie rzeczy człowiek z siekierą w plecach kończył, dobrze mówię?

Ryjek przejechał ręką po twarzy. Z jednej strony cała ta sytuacja wydawała mu się absurdalna. Z drugiej strony roboty na najbliższe dni i tak nie miał, a Leokadia, na ile miał okazję się przekonać, nie była ani brzydka, ani głupia – pomijając owo zaślepienie Andrzejem. Wesela w sumie też lubił. Jeśli dodatkowo miało to pomóc staruszce, która kilka razy pomagała mu dopiąć czynsz na to małe biuro, to czemu nie?

– Tylko ja teraz auta sprawnego nie mam – przypomniał sobie o ostatniej przeszkodzie.

– To akurat nie problem, bo na zaproszeniu jest, że autobusy do dużych miast podstawiają – odpowiedział staruszka i zaraz rozpromieniła się niczym matka chrzestna z bajek. – Nawet pan sobie nie wyobraża, panie Kubusiu, jak ja się cieszę. Jest pan najwspanialszy!

Jakub Ryjek pokiwał głową, a potem spojrział w sufit. Pomyślał, że dawno nie widział Butcha i Zadry, swych anielskich... przyjaciół? Kumpli po fachu? W zasadzie trudno było określić charakter tej relacji. Tak czy owak, do tej pory tylko z nimi miewał tak durne przygody.



– W sumie to fajnie, że podstawiają autobusy, nie? Trochę jak szkolna wycieczka. Mówiłam ci już, że pierwszy raz całowałam się na szkolnej wycieczce? Właśnie w autobusie. Był taki Marcin i on się strasznie podobał... to znaczy nie mi, ale takiej piździe jednej, Oliwii, która śmiała się z mojego plecaka. No więc w tym autobusie jak poszłam na tył, do chłopaków, bo wiesz, na tyle to zawsze siedziały największe rozrabiaki, to przyszłam i powiedziałam: „Cześć, Marcin”. A on mi w cycki. Bo wiesz, ja dość szybko miałam cycki i mama zawsze mówiła... A nie, czekaj. To nie był pierwszy raz. W sensie jak się całowałam. Pierwszy raz to był...

Loki wyjął wykałaczkę z ust, przyciągnął Karolinę do siebie i pocałował. Trzymał ją tak przez dobre pół minuty, po czym odsunął od siebie i ponownie włożył wykałaczkę do ust.

– Tak się cieszę, że jedziesz tam ze mną – powiedział. – Będziemy się fantastycznie razem bawić.

Dziewczyna spłoszowała, ale i wyraźnie się ucieszyła. Rozpromieniona wcale nie dyskretnie powiodła wzrokiem po innych parach zgromadzonych na parkingu pod Ikeą. Było ich sporo, może nawet z setka ludzi, i nie było wątpliwości, że spośród nich ona i jej towarzysz Lokstar wyglądali najlepiej – piękni, jakby się urwali z Wyspy miłości, i ubrani jednak jakoś bardziej elegancko. Cała reszta sprawiała wrażenie, jakby prosto z chrzcin bratanka jechali na nocną zmianę do sortowni Amazona.

Zobaczenie ich wszystkich w pierwszej chwili odebrało Karolinie sporo radości. Taki tłum sprawiał, że zdarzenie traciło na wyjątkowości i zaczynało bardziej przypominać festyn z okazji otwarcia nowej galerii handlowej. Ale z czasem entuzjazm wrócił i teraz znowu kipiała ekscytacją. Zwłaszcza na widok reporterów telewizji, którzy chodzili między ludźmi i pytali ich, czy czują się szczęściarzami. Karolinę filmowali już ze trzy albo cztery razy i tak, dla niej to zdecydowanie był szczęśliwy dzień.

– Myślisz, że załapiemy się do jakiegoś lepszego stolika? – zapytała. – Bo na pewno mają lepsze stoliki, nie? Może nawet lepszą salę, taką dla rodziny i przyjaciół. Nie wierzę, że będą cały czas siedzieć ze wszystkimi. A nawet jeśli, to przecież ktoś musi bliżej, ktoś dalej... Ja myślę, że powinni dobierać po tym, jak ktoś się prezentuje, nie? No bo wiadomo, tam będą kamery, fotografowie. I w pierwszej kolejności ci znani, to jest jasne, ale potem...

Loki wyjął z ust wykałaczkę, ale nie zdążył powtórzyć manewru, bo nagle zza niebiesko-żółtego budynku wyłoniły się dwa luksusowe autokary. Zgromadzony na parkingu tłum zaszumił z ekscytacji, a telewizyjne kamery natychmiast skierowały się w stronę nadjeżdżających pojazdów.

Loki również przyjrzał się autobusom, choć z nieco innych pobudek. Zaskoczyło go, że tylko ten jadący z przodu był oklejony weselnie. Miał na burtach szczęśliwą parę młodą i napisy po polsku i koreańsku głoszące, że to najważniejszy ślub w Polsce od czasu zaślubin Polski z morzem sto lat temu. Za to drugi z autokarów był zwyczajny. Nie miał żadnych specjalnych malowań na burcie, a do tego przyciemniane wszystkie szyby prócz przedniej.

Karolina też to zauważyła i szybko znalazła wyjaśnienie, a nawet więcej niż jedno.

– Chyba zdali sobie sprawę, że przesadzili z liczbą gości... – zaczęła, ale zaraz potrząsnęła głową, burząc układ idealnej fryzury. – Albo nie, czekaj. Zobacz, ten drugi jest czarny i ma przyciemniane szyby. Jest jak limuzyna, nie? Może to jest transport dla VIP-ów, co? Myślisz, że tak jest?

Loki wzruszył ramionami.

– Myślę, że zaraz się dowiemy – odparł.

Czuł jakiś wewnętrzny niepokój, ale i towarzyszącą mu ekscytację, gdy z pojazdów wysiedli nagle ludzie ubrani w na swój

sposób eleganckie, czarno-białe dresy. Spod naciągniętych kapturów spozierały czarne maski oznaczone u jednych trójkątami, u innych kółkami.

– O, są podzieleni na tych od młodej i tych od młodego! – zauważyła Karolina, a Loki przyznał jej w myślach rację. Miało to jakiś sens.

O co tu chodzi, zastanawiał się Kłamca. Czuł się teraz trochę jak iluzjonista, który wybrał się na występ kolegi po fachu. Z jednej strony wiedział, że to wszystko sztuczka, z drugiej paliło go, by dowiedzieć się, na czym polega. Miał świadomość, że musi wykorzystywać, przynajmniej częściowo, klasykę i fundament jarmarcznej magii, to jest odwracanie uwagi, przekierowanie wzroku i myśli widza na to, co magik chce mu pokazać, zamiast tego, co faktycznie robi. Ale to, co najwspanialsze w triku, jak zwykle kryło się w szczegółach.

Z czarnego autokaru wysiadł mężczyzna w smokingu. On również miał na twarzy maskę, ale w przeciwieństwie do pozostałych była srebrną, pozbawioną rysów twarzą upodabiającą go do sklepowego manekina. Od ucha do ust sterczała mu zgięta antenka, która okazała się mikrofonem.

Dwa Trójkąty wyciągnęły z bagażnika podest i podstawily mu pod nogi. Gdy Srebrnogłowy na niego wstąpił, podest uniósł się na wysokość prawie dwóch metrów. Dopiero gdy się zatrzymał, stojący na nim mężczyzna uniósł ręce. Gwar na placu natychmiast ucichł.

– Drodzy weselnicy! – powiedział mężczyzna w masce. – To niebывały zaszczyt gościć was dzisiaj na tej wspaniałej uroczystości. W imieniu pary młodej dziękuję za wasze przybycie.

Rozległy się brawa i pojedyncze okrzyki. W większości pozytywne, choć jakiś mężczyzna z tyłu, ewidentnie już podпиты, zawołał:

– Ale że z chińską małpiatką? No kto to słyszaAUUU! No co mnie dżgasz tym łokciem, babo? Prawdę mówię, tak? Sama gadałaś, że AUUU! Jezu, nie prześladuj mnie za mówienie prawdy, kobieto!

Dalsza część małżeńskiego sporu o wartości nie była już tak głośna, więc zebrani mogli ponownie skupić się na słowach Srebrnogłowego, który właśnie przedstawiał kwestie logistyczne:

– Nasza wspaniąta obsługa podzieli państwa na dwa autokary, które zawiozą nas do sali balowej. Bardzo prosimy, by cały proces odbył się bez spowolnień i utrudnień. Chyba wszyscy chcemy się załapać na tradycyjne powitanie chlebem, solą i szampanem?

Kolejny wybuch aplauzu, tym razem jeszcze głośniejszy. Ktoś krzyknął, że wiwat młodej parze. Ktoś inny, ewidentnie chcąc to przebić, zawołał, że gorzko i że nie piją wcale. Co, sądząc po głosie, zdecydowanie miało się z prawdą.

Loki obserwował sytuację, szukając dodatkowego fałszu w pokazanych tu dekoracjach albo zgranego schematu mogącego stanowić punkt zaczepienia. Nitki, po której dałoby się dojść do kłębka. Tego, co ewidentnie kombinował Małpi Król.

Podszedł do nich mężczyzna z kółkiem na masce. Gestem poprosił o zaproszenie, po czym dał znak, by szli za nim.

Karolina wzięła Lokiego pod ramię, a po kilkunastu krokach ścisnęła mocno i pisnęła mu prosto do ucha:

– Idziemy do vipowskiego! Lokstar, do vipowskiego nas biorą!

Loki nie odpowiedział, ale poklepał ją po dłoni zaciśniętej na jego przedramieniu. Obrócił w ustach wykałaczkę. Z każdym krokiem był coraz bardziej zły na siebie, że nie umie tego rozgryźć. O co, do cholery, chodziło?!

Wszedł do autokaru. W środku panował półmrok i unosił się zapach wanilii i wiśni. Przy każdym siedzeniu była rozłożona tacka, a na niej mały, zgrabniutki woreczek elegancko przewiązany wstążką i kieliszek szampana zasłonięty folią.

– Założę się, że w tym drugim takich nie mają – powiedziała Karolina, wybierając dla nich miejsce. Usiadła ostrożnie i przesunęła się pod okno, po czym poklepała siedzenie obok.

Loki usiadł. Wziął do ręki woreczek, podrzucił w dłoń, otworzył. W środku znajdowała się czekoladowa figurka Małego Króla obejmującego partnerkę w bieli. Trzymał w ręce coś, co po przyjrzeniu się przypominało złoty bilet.

Kłamca natychmiast przypomniał sobie historię pewnego miliardera, który dorobił się na fabrykach słodczy. Któregoś dnia ów jegomość urządził konkurs na zwiedzanie swoich fabryk, a niewątpliwego zaszczytu mogły dostąpić wyłącznie dzieci, które znalazły w swoich słodkościach specjalny złoty bilet. Piątka szczęśliwców opowiadała potem niestworzone historie o widzianych w środku cudach: wodospadach czekolady, rollercoasterach o torach z lasek cukrowych i surfowaniu na falach z coli. Dopiero po latach wyszło, że rzeczywistość mogła wyglądać inaczej, a śledztwo FBI wykazało, że miliarder miał tak naprawdę trzy pasje: środki halucynogenne, osoby przed okresem dojrzewania i Bill Cosby Show.

Do autobusu wsiadł Srebrnogłowy. Stanął przy pierwszych siedzeniach i poczekał, aż wszyscy zajmą miejsca.

– Szanowni państwo, już za chwilę rozpoczniemy naszą podróż. Zanim to jednak nastąpi, chciałbym poprosić wszystkich o zapięcie pasów. Wiem, że w tym kraju niekoniecznie jest to praktykowane w autobusach, ale dla państwa młodych to ogromnie ważne.

Loki sięgnął do pasa, przyjrzał się taśmie i klamrze. Wyglądały zwyczajnie. Nie nosiły znamion pułapki, nie były obłożone iluzją. Zastosował się więc do polecenia.

Inni mieli więcej obiekcji. Niektórzy twierdzili, że to niebezpieczne, a statystyki mówią, że jazda w pasach to tak naprawdę większe ryzyko niż jazda bez pasów. Ktoś przypominał sobie, że ma kuzyna w fabryce pasów samochodowych i ten kuzyn

podobno podsłuchał kiedyś, jak jego szefowie rozmawiali o tym, że pasy to metoda na przyzwyczajanie ludzi do znoszenia jarzma. I że zobaczycie: teraz chcą pasów. A co następne? Szczepionki przeciwko wypadkom drogowym? Alkomaty w każdym samochodzie?

W końcu jednak i do tych najbardziej twardogłowych dotarło, że po prostu nie ruszą, jeśli wszyscy się nie zapną. Tym bardziej, że drugi autokar ruszył już dobre pięć minut wcześniej. Rozległy się trzaski zapinanych klamer, a ludzie w maskach niczym stewardzi przeszli przez pokład, sprawdzając każdego z osobna. Gdy wrócili, zajęli miejsca z przodu i również się zapięli.

– Dziękuję państwu za gotowość współpracy – powiedział Srebrnogłowy – i zapraszam na najbardziej niezapomniane wesele w dziejach.

Autobus ruszył, z głośników zaczęła się sączyć przyjemna jazzowa muzyczka. Karolina zwróciła się w stronę Lokiego.

– Ty, a jak myślisz, skoro to Podkarpacie, to jak oni będą przydzielać pokoje dla par? Pozwolą nam spać razem? Bo wiesz, nie jesteśmy małżeństwem.

– Ale nie jesteśmy też tej samej płci – odparł Loki – więc nie powinien to być większy problem.

Karolina wykonała ruch głową, jakby przyznawała mu rację, po czym położyła głowę na jego ramieniu, a rękę na kolanie.

– Masz rację. Akurat nas to może zainspirować do życia po bożemu.

Kłamca powstrzymał się przed westchnięciem. Docisnął głowę do oparcia i zamknął oczy.

Dziesięć kilometrów później z przypodłogowych paneli zaczęła się sączyć gaz. Po kolejnych dwudziestu cały autobus już spał.



Ryjek ocknął się nagle, wyrwany ze snu puszczonej na cały regulator kawałkiem Rudy się żeni. Zaskoczony przetarł zmęczoną twarz i rozejrzał się wokoło. Nie znajdował się już w autokarze z przyciemnianymi szybami, tylko w przestronnej hali bez okien, udekorowanej balonikami, girlandami i tekturowymi wycinankami przedstawiającymi serduszka i zakochane gołąbki. Na wprost znajdowała się scena, za nią wisiał wielki monitor zajmujący pół ściany, a nad nim widniał napis: „Niech się szczęści Młodej Parze”. Za plecami Ryjka stały udekorowane stoły uginające się od jedzenia.

Krzeseł, na którym siedział, było jednym z przeszło trzystu rozstawionych na środku podświetlonego parkietu. Siedziska ustawiono dwójkami, tak by każdy mógł być ze swoją parą. Detektyw wodził teraz wzrokiem od osoby do osoby i na wszystkich twarzach widział niepokój i zdziwienie. Na wszystkich prócz jednej. Gość z wykałaczką w zębach siedzący rząd dalej wyglądał bardziej jak ktoś próbujący przewidzieć puentę żartu, zanim wypowie ją komik na scenie.

Wykałaczką, przemknęło przez głowę Ryjka. Z czym mu się kojarzył typ żujący wykałaczki?

– Kuba, czy oni nas uśpili? – zapytała siedząca obok Leokadia.

Ryjek odwrócił się do niej i po raz kolejny przemknęło mu przez głowę, że staroświeckie imię pasowało do tej krótkowłosej blondynki o nieco drapieżnej urodzie jak skarpety do sandałów.

– Tak, raczej tak – odparł. – Pytanie tylko, po...

Nie zdążył skończyć, bo w tym momencie rozległa się seria trzasków, chrupotów i na galerię pod sufitem wkroczyły ze dwie setki ludzi w maskach z kółkami i trójkątami. Wszyscy mieli broń.

Ryjek, podobnie jak kilka innych osób, poderwał się natychmiast z miejsca, ale dość szybko dostrzegł lufę wymierzoną prosto w niego. Wolno uniósł ręce i usiadł. Przez głowę przemknęła mu irracjonalna myśl, że tam na górze musiało być strasznie długo niesprzątane, bo gdy ci zbrojni tam weszli, w powietrze wzbił się szary pył.

Żaden się nie zakrztusił, nie rozkaszał, pomyślał Ryjek. To znaczy, że muszą mieć w tych maskach jakieś filtry.

Wielki ekran zamigotał, po czym pojawiła się na nim Julianna Paluszek. Prezentowała się przepięknie w swojej białej sukni, z finezyjną fryzurą i prześlicznym, weselnym makijażem. Aktualnie patrzyła gdzieś ponad obiektywem, marszcząc czoło.

– Dasz mi znać, kiedy będę live, tak? A, że już jestem? Dobrze.

Zwróciła się do kamery i uśmiechnęła szeroko.

– Dzień dobry, kochani goście! – powiedziała. – Wspaniale, że jesteście dziś ze mną. Pewnie zastanawiacie się, co się dzieje i dlaczego akurat wy siedzicie na tych krzeselkach, prawda?

Zbiorowy pomruk w sali potwierdził, że zdecydowanie tak, większość musiała się nad tym zastanawiać, zwłaszcza odkąd pojawili się wokoło ludzie z bronią.

– Cóż, nie chcę nikomu wypominać – podjęła Paluszek – ale gdy wybuchła ta cała brzydka afera, w której zarzucano mi te wszystkie kłamstwa i wymyślanie sobie kariery, to właśnie wy, czy też większość z was, pisaliście na mój temat te najpaskudniejsze komentarze. Nazywaliście mnie... – Urwała i powachlowała ręką przed oczami. – Och, nie, nie będę teraz przytaczać tego hejtu, żeby się nie rozmazać. Ale nie było to miłe.

Ryjek popatrzył po ludziach wokoło i zdał sobie sprawę, że wiele osób robi to samo. Zwłaszcza te, które jak on zostały tu zaproszone jako osoby towarzyszące. Za to ich partnerki i partnerzy zwiesili teraz głowy i wpatrywali się w podłogę. To samo robiła Leokadia.

Tylko typ z wykałaczką nie ugiął się pod spojrzeniem partnerki. On się... uśmiechał?

– Po tym, co się stało, byłam bliska załamania – kontynuowała Paluszek. – Ale wtedy, jak w romantycznych filmach, spotkałam miłość swojego życia. I to on poradził mi, jak się uporać z tą powodzią negatywnych uczuć, która mnie przepełniała. Zaproponował, byśmy pobrali się właśnie w Polsce, wśród was. I dali wam szansę na zrozumienie waszego błędu, prawda, kochanie?

Ostatnie słowa wypowiedziała do kogoś zza kadru. Zaraz potem kamera przesunęła się i pokazała pana młodego. Wyglądał bardzo elegancko w czarnym fraku, ze starannie przyczesanymi bokobrodami i w fioletowych lenonkach. Uśmiech miał jak z reklamy pasty do zębów.

– O, już jesteście? – zdziwił się nienaganną polszczyzną. – Wspaniale, że udało się tak o czasie! My z Julianną za chwilę zaczynamy tu prawdziwe wesele z drugą połową gości, ale naprawdę nie możemy się doczekać obecności tych z was, którym uda się przetrwać do oczepin. Chciałem tylko powiedzieć, że jako ktoś z zupełnie innego kręgu kulturowego jestem wielkim fanem waszych weselnych zabaw. Wasza wyobraźnia w tym zakresie nie ma granic! Brawo! I powodzenia!

Dał znak, żeby kamera przestała się już na nim skupiać, a operator karnie wrócił do panny młodej. Ta, wciąż uśmiechnięta, wskazała palcem w górę.

– Jeśli spojrzycie teraz w górę, zobaczycie, że nad waszymi głowami wisi dorodny, staropolski prosiak, tyle że wykonany z czystego złota.

Wszyscy siedzący na krzesłach karnie unieśli głowy. Nie zrobili tego tylko Ryjek i facet z wykałaczką.

– W pysku, jak nakazuje tradycja – kontynuowała Paluszek – świniak trzyma jabłko, a w nim zaproszenie na prawdziwe wesele.

I worek brylantów. Wygrają je ci z was, którzy okażą się najlepszymi weselnymi biesiadnikami. Oni też zabiorą całe złoto i tyle jedzenia, ile zechcą, łącznie z lodówkami. Czyż to nie brzmi wspaniale?!

Kolejny pomruk w sali zdawał się sugerować, że niekoniecznie, ale szybko został uciszony szczękiem karabinowych zamków. Dwie setki luf wymierzone w ludzi siedzących na krzeselkach szybciotko ostudziły powszechne wzburzenie.

– To tyle, kochani. Buziaczki – powiedziała Paluszek, po czym obraz z jej garderoby został zastąpiony wielkim zegarem odliczającym, jak głosił napis nad nim, czas do oczepin.

Pod ekranem otworzyły się niewielkie, dotąd niewidoczne drzwi i wyszły zza nich cztery uzbrojone postacie w maskach z kółkami lub trójkątami. Za nimi wyszedł Srebrnogłowy, który teraz stał się po prostu Srebrnym, bo miał na sobie frak w kolorze maski. W dłoni trzymał laskę, która okazała się mikrofonem.

– Drodzy biesiadnicy. Czas przystąpić do pierwszej weselnej zabawy. Czy jesteście gotowi?

Ryjek raz jeszcze spojrzał w stronę faceta z wykałaczką. I nagle dotarło do niego, kto to najprawdopodobniej jest.



Gdy wszyscy na sali przejmowali się karabinami, Loki widział kamery. Małe i większe szklane oczy sprytnie rozmieszczone... w zasadzie wszędzie. Widział je w lampach i wspornikach, widział między dekoracjami, a nawet w dzbanku stojącym na ich stole.

Czyli robimy show, pomyślał Kłamca i ta myśl w jakiś pokretny sposób zadziałała na niego uspokajająco. Robienie show należało do natury trickstera. Duże zamieszanie, w którym ktoś taki jak on

może albo brylować na pierwszym planie, albo przeciwnie, siać chaos z tylnego siedzenia.

Pozostawało pytanie, co to całe widowisko miało dać Małpiemu Królowi. Bo jednak nie było wątpliwości, że Sun Wukong włożył niemały wysiłek, by to wszystko przygotować. I już pał sześć pieniędzy, ale pomysł, czas, złożoność numeru, wykorzystanie improwizacji i – przede wszystkim – wysoko punktowana w Kłamcowym rankingu warstwa narracyjna: romantyczna opowieść nakładająca się na historię zemsty.

Tu musiało chodzić o coś więcej, a show i chaos nie mogły być jedynymi celami. Kiedyś, na początku, goście tacy jak Wukong czy Loki może i mogli robić numery, jak to się teraz mówiło, do portfolio. Ale te czasy minęły i dziś wręcz nie wypadało.

– Drodzy biesiadnicy – rozległ się głos Srebrnego Wodzireja – czas przystąpić do pierwszej weselnej zabawy. Czy jesteście gotowi?

Odpowiedział mu pomruk niezrozumiałych okrzyków. Srebrny musiał się go spodziewać, bo w tym momencie na wielkim ekranie pojawiła się obrazkowa instrukcja.

– Uprzejmie proszę, żebyście wszyscy teraz wstali z krzeseł, złapali je i ustawili oparciami do siebie jak na obrazku. Macie na to trzydzieści sekund.

Na ekranie pojawił się wielki licznik odliczający do zera, a biesiadnicy faktycznie zerwali się do wykonania polecenia.

Musi na nich działać ten wielki złoty świniak zawieszony nad ich głowami, pomyślał Loki, również podnosząc się z krzesła. Jego jednak, bardziej niż nagroda czy zegar, motywował entuzjazm towarzyszącej mu dziewczyny. Z jakiegoś powodu sprawiała wrażenie, jakby już zupełnie nie zwracała uwagi na uzbrojone postacie. Jakby to był po prostu element imprezy weselnej. Loki zastanawiał się, czy to nie efekt uboczny gazu usypiającego. Jakiś dodatkowy ogłupiacz.

– Wiesz, o jaką zabawę może chodzić? – zapytał. – Znasz się na tym?

Karolina spojrzała na niego z zaskoczeniem.

– A ty nie znasz zabawy w zgodność, Lokstar? Naprawdę nie byłeś jeszcze na żadnym weselu? Z tym, że to zwykle młodzi...

Urwała, gdy zegar się wyzerował, ogłaszając to głośną syreną. Następnie na ekranie pojawiła się kolejna plansza, tym razem z osobami siedzącymi do siebie tyłem na krzesłkach.

– Proszę o zajęcie miejsc tak, jak na obrazku – polecił Srebrny – a następnie o zdjęcie butów.

Na kolejnym obrazku zademonstrowano, w jaki sposób należy zdjąć buty i jak należy je potem trzymać w obu rękach w górze.

– A teraz wymieńcie się państwo z partnerem albo partnerką jednym butem, tak jak na obrazku. Wyśmienicie!

– O co chodzi w grze? – zapytał cicho Loki, dyskretnie nakładając na siebie i Karolinę niewielką iluzję, dzięki której przez krótki moment nie było widać ani słyszać, że mówią.

– Pyta się młodych o takie rzeczy, jak kto będzie rządził w domu, kto będzie wstawał do dzieci i takie tam. I po każdym pytaniu młodzi, nie widząc się, podnoszą buta, gdzie twój reprezentuje ciebie, a ten drugi...

– Rozumiem – przerwał jej Loki. – Nasze odpowiedzi to: ty, ty, ja, ty, ja, ja. Zapamiętasz?

– A co jeśli... – zaczęła Karolina, ale Loki jej przerwał.

– Powtórz sekwencję – polecił.

Srebrnogłowy właśnie kończył wyjaśniać reguły.

– Ty, ty, ja, ty, ja, ja – powiedziała Karolina. – Tylko „ty” oznacza ciebie czy...

Loki syknął. No tak, nie pomyślał o tym.

– Rób dokładnie, jak zapamiętałaś, ja sobie odwrócę – warknął. – Ty oznacza mnie, a ja ciebie, jasne?

– Jasne. – Wydawała się oburzona jego tonem, ale mało go to teraz obchodziło. Powiódł wzrokiem po sąsiadach. Wyglądało na to, że wszyscy są gotowi. Z mieszanymi parami butów na kolanach wpatrywali się podekscytowani w ekran i Srebrnego. Można było przysiąc, że w tym momencie nawet nie zwracali uwagi na zamaskowanych ludzi z bronią obserwujących ich z galerii.

– Zanim padnie pierwsze pytanie, pragnę przypomnieć, że cokolwiek stanie się w trakcie gry, gramy do trzech pytań – zaczął Srebrny. – Wstanie z krzesła, odwrócenie się czy zrobienie czegokolwiek poza uniesieniem ręki z butem oznacza natychmiastową dyskwalifikację. Gotowi?

Znowu tylko pomruk, który trudno było jednoznacznie zinterpretować.

– A zatem: kto w waszym związku naprawdę nosi spodnie? Start! Loki uniósł swój but.

W tym momencie rozległ się potworny huk, który na moment wypełnił salę. W tym samym momencie głowa zarówno siedzącego naprzeciw Lokiego łysiejącego, brzuchatego wąsacza, jak i jego żony przypominającej ludzkie wcielenie dziecięcego gniotka rozprysnęły się na wszystkie strony mieszaniną krwi, kości i mózgu.

Przez moment jedynym dźwiękiem był świdrujący pisk w uszach, jak ten przy wypłaszczonej linii maszyn podtrzymujących życie.

Loki nie śmiał się odwrócić. Patrzył więc na dwa bezgłowe ciała i na dziewczynę siedzącą za nimi. W tej chwili, która niczym na zwolnionym filmie przeciągała się z ułamków sekund w minuty, on uśmiechnął się do niej, a ona zgięła się wpół, wymiotując głośno.

Nagle, jak na sygnał, rzeczywistość wyszła z kisielu. Wszystko się wyostrzyło i przyspieszyło. Zewsząd rozległy się wrzaski, odgłosy wymiotowania, ktoś coś krzyknął, ktoś inny poderwał się z krzesła

i rzucił ku wyjściu z sali. Huknęło kilka dodatkowych wystrzałów i biegnący polecieeli na ziemię, zaraz też padły ich osoby towarzyszące.

Loki domyślił się, że to były te obiecane dyskwalifikacje. Cieszył się, że Karolina nie wpadła na pomysł ucieczki, choć pewnie dlatego, że nie była w stanie się podnieść. Połączone krzesła drżały jak w kinie 4D. Sam ograniczył się do rozejrzenia ze swojego miejsca na tyle, na ile pozwalał mu zakres ruchu głowy. Pierwsze pytanie gry tylko w zasięgu jego wzroku wyeliminowało jedenaście par. Bezgłowe ciała w weselnych ubraniach przybrały pozy, jakby biesiadnicy właśnie przysiedli po wyjątkowej sesji tanecznej Kaczuszek.

Pierwsza fala paniki ustępowała. Ktoś szlochał, ktoś kłął. Karolinę za plecami Kłamcy wciąż szarpały spazmy.

– Dobrze poszło – powiedział jej, chcąc ją pocieszyć, ale przede wszystkim upewnić się, że zaraz nie pęknie. – Trzymaj się kodu, a wszystko będzie dobrze.

Naprawdę tak uważał, bo chyba powoli zaczynał sobie uzmysławiać, o co może chodzić Sun Wukongowi: to samo, czym karmiła się boskość rzymskich cesarzy czy azteckich kapłanów. To, czego oczekiwali także Odyn i Thor...

Wyczuł na sobie spojrzenie jakiegoś mężczyzny. Odwzajemnił je i zmrużył oczy. Skądś go, cholera, znał.

– Następane pytanie, bądźcie gotowi! – odezwał się Srebrny. – Uwaga: kto w waszym związku będzie wstawał do dzieci?



Wesele trwało w najlepsze. Zespół grał do pełnego parkietu, kelnerzy donosili przekąsek i wódki. Tylko młoda para gdzieś

zniknęła, podobno na sesję foto. Choć wujasy z przeciwka – grubi, rozchełstani, zamarynowani w wódce i zdroworozsądkowej mądrości – dobrze wiedzieli, co to za zdjęcia i kto co z kogo będzie, hłę, hłę, hłę, zdejmował.

Eros udawał, że skupia się na jedzeniu – które stanowiło miłą odmianę po całym tym amerykańskim żarcu z Montany – ale tak naprawdę nieustannie dyskretnie się rozglądał. Irytowała go nieobecność Lokiego i brak jakiegokolwiek sygnału z jego strony. Możliwe, że coś szykował, kombinował jak to on, ale cholera, mógłby wreszcie nauczyć się korzystać z ich pomocy w sposób partnerski. A nie tylko zrób to, zrób tamto, wystaw się na pośmiewisko i odwróć ode mnie uwagę. Choć Bóg Miłości musiał przyznać, że byli już przez Kłamcę wrabiani w dużo gorsze i mniej przyjemne rzeczy niż celebryckie, wystawne wesele pełne jedzenia, zabawy i chętnych kobiet.

Zdał sobie sprawę, że jeden z wujasów z przeciwka gapi się na niego wyczekująco. Czy mógł o coś zapytać, a Eros nie dosłyszał? Możliwe, bo właśnie cała sala skandowała w rytm przeboju swoje plany urbanizacyjne względem pewnego ścierniska. Dlatego chcąc być miłym, nachylił się nad stołem.

– Hę? – zagaił.

Wujas podkreślił węża i się wyszczerzył.

– Zapytałem, czy się panowie pedały wódeczki z nami napiją.

Eros zerknął na wciąż puste krzesło obok.

– Po pierwsze, nie mówi się tak, bo to niegrzeczne – zaczął.

Wujas zmarszczył czoło.

– Ale że co? Proponowanie pedałow wódki? Myślałem, że to arabusom nie wolno.

Powiedział to z tak szczerym zaskoczeniem, że Eros mimowolnie się uśmiechnął.

– Nieważne – machnął ręką. – Ja mogę się napić, a mój towarzysz zaraz wróci.

Teraz to wujas się skrzywił.

– Towarzysze, panie pedale, to u ruskich były. Jak ten pana kochaś to swój chłop, to ja tam tej, nooo... Kazik, jak to było, że nie mogłeś posła kurwą, chujem sprzedajnym nazywać?

Szturchnięty drugi wujas zagadujący akurat do kelnerki odwrócił się, lypnął oczami, mlasnął jęzorem i poprawił krawat.

– Mowa nienawiści, Włodziu. Tak się to nazywa.

– O, to, to! – Pierwszy wujas zamachał paluchem. – No więc ja na pedała złego słowa nie powiem, nienawiści uprawiać nie będę. Tak mi dopomóż Bóg!

To zadeklarowawszy, nalał wódki sobie i Erosowi, uniósł literatkę, po czym poczekał, aż bóg podniesie swoją.

– Zdrowie młodych! – zawołał.

Wypili, a wujas nalał ponownie.

– Nie może być, by za dwie osoby jedną kolejkę tylko – wyjaśnił.

Eros już miał odpowiedzieć, ale dostrzegł przepychającego się ku niemu Bachusa. Stoliki stały blisko przy ścianie, więc komuś o gabarytach Boga Wina przejść na środkowe miejsca nie było łatwo.

– Zaraz wrócę.

Wstał i ruszył do towarzysza. Tamten, gdy tylko to dostrzegł, zaczął się cofać, jakby uciekał, czym nie wzbudził specjalnej radości u tych, którzy już raz wciągnęli brzuchy, by go przepuścić. Wyszedł przed stoliki, upewnił się, że Eros go widzi, i ruszył do bocznego korytarza wiodącego ku łazienkom.

Gdy Bóg Miłości do niego dołączył, Bachus wziął go na stronę.

– Trzy wiadomości, zacznę od dobrych – powiedział. – Po pierwsze...

– Czekaj, otrzeźwij mnie najpierw, bo chyba przeholowałem.

Bachus przyjrzał mu się z wyraźną dezaprobatą, po czym zmrużył oczy i pstryknął.

– Już – stwierdził. – Powinno być lepiej. Choć powinienem cię tak zostawić, żebyś się raz na zawsze nauczył, czym się kończy picie beze mnie.

Eros otworzył usta, ale zaraz je zamknął i machnął ręką.

– Mów, co za wieści.

– Po pierwsze, znalazłem Lokiego – powiedział Bachus. – Po drugie, wcale nas nie wystawił.

– To faktycznie dobre informacje – zgodził się Eros. – Gdzie jest?

– I to jest właśnie ta zła wiadomość. Chodź.

Ruszył korytarzem, a gdy doszedł do wyjścia ewakuacyjnego, przystanął, rozejrzał się i pchnął drzwi. Dał Erosowi znak, by ten szedł za nim, po czym zniknął na schodach prowadzących w dół.

Pokonali dwa piętra i stanęli przed uchylonymi drzwiami zablokowanymi zgniecionym tekturowym kubkiem po kawie. Z wnętrza dochodziło pijackie chrapanie.

– Dwóch strażników, kilku pracowników – wyjaśnił Bachus. – Musiałem sprawnie spacyfikować. Uważaj.

Weszli do środka i ostrożnie przestąpili nad mężczyznami w uniformach śpiącymi w oparach alkoholowej mgiełki. Gdy pchnęli kolejne drzwi, oczom Erosa ukazała się reżyserka z mnóstwem świecących konsol, gdzie kolejne cztery osoby spały teraz na rozświetlonych przyciskach, pokrętlach i suwakach, choć powinny raczej obserwować trzy rzędy monitorów. Na największym, środkowym ekranie widać było Kłamcę z partnerką i jeszcze kilkadziesiąt innych par. Wszyscy siedzieli na krzesłach bez butów, tyłem do siebie. Wokół w rosnących kałużach krwi pólsiedziały bezgłowe ciała sprzątane właśnie przez ludzi w maskach z trójkątami i kółkami.

Eros i Bachus wymienili spojrzenia.

– Gdzie to? – zapytał ten pierwszy.

– Nie mam pojęcia. Ale już przynajmniej wiemy, gdzie się podziały te czarne autobusy. Powinniśmy mu pomóc, nie?

Eros wzruszył ramionami i spojrział na zegarek.

– Możemy, ale po barszczyku z krokietami – zdecydował. – Zaraz wjedzie.



Dwie kolejne tury makabrycznej gry w zgodność nie wykosiły już tylu osób, co pierwsza, ale Jakub Ryjek i tak miał wrażenie, że została ich na tej sali mniej niż połowa. Ludzie z karabinami spędzili teraz wszystkich na parkiet, otoczyli go ciasno, a specjalna ekipa wjechała na salę posprzątać ciała. Wokół nich też unosiły się te same kłęby pyłu. Nie, to nie był kurz, tego detektyw był już pewien. Raczej coś bliżej gładzi ściennej.

Musiał przyznać, że zaskakiwała go lekkość, z jaką przyjmował to, co dokonywało się właśnie wokół. Był na siebie zły, bo miał wrażenie, że zachowuje się zupełnie jak typowy detektyw czy policjant z przeciętnego polskiego kryminału. Wokół w idiotyczny sposób giną ludzie, a on dopatruje się w tym jakiegoś porąbanego wzorca i szuka wyłącznie rozwiązania zagadki. Zawsze uważał, że to robienie z czytelnika idioty, a teraz... cóż, teraz jego życie wyglądało jak scena z takiej głupotki. Biesiadnicy masowo ginęli, a on myślał o genezie białego pyłu.

Srebrny tymczasem wrócił na scenę i nawoływał:

– Drodzy goście! Za chwilę odtworzymy wam pierwszy taniec młodej pary! Zaraz po nim zapraszamy do zabawy. Od razu powiem, że nikt nie będzie oceniał jakości waszych podrygów, bo każdy bawi się, jak lubi. Ale kto nie tańczy, ten... nie muszę chyba kończyć, prawda?

Uniósł rękę i pstryknął palcami. Światła się przyciemniły, a na ekranie pojawiła się młoda para otoczona gośćmi. Przytuleni

płynęli przez parkiet w akompaniamencie I Don't Want to Miss a Thing Aerosmith. Wyglądali naprawdę przepięknie.

Jakub jednak nie na nich się skupiał. Jako stary glina czuł potrzebę działania, zrobienia czegoś. Ratowania tych ludzi.

Wzrokiem odszukał faceta z wykałaczką, po czym szepnął kilka słów towarzyszącej mu Leosi i powoli, by nie robić zamieszania, zaczął się przepychać. Ludzie z bronią nie reagowali, choć był niemal pewien, że ciemność im nie przeszkadza i widzą go teraz jak na dłoni. Możliwe, że mieli w tych maskach noktowizory.

Od połowy drogi facet z wykałaczką już mu się przyglądał. Gdy Ryjek dotarł, tamten pierwszy wyciągnął rękę.

– Jesteś tym ludzkim koleżką Butcha i Zadry, prawda? – upewnił się. – Tym z policji?

Ryjek skinął głową.

– A ty jesteś tym typem, co im bruździ? Jakimś nordyckim bogiem czy innym takim?

Facet z wykałaczką się uśmiechnął. Chyba przyjaźnie, ale trudno było stwierdzić.

– Loki, mówią na mnie Kłamca. Wpierdoliłeś się, co?

– A ty nie?

Kłamca wzruszył ramionami.

– Ja umiem tańczyć.

Piosenka na filmiku powoli dobiegała końca i Ryjek wiedział, że nie ma za wiele czasu na żarciki. Zerknął za linię ludzi w maskach i zobaczył, jak sprawnie tamci z tyłu uwijają się z ciałami.

– Wiesz, o co tu chodzi, Loki?

– O ofiarę i uwielbienie – odparł Kłamca. – Krew przelana ma moc. Aplauz tłumów ma jeszcze większą. Gdy je połączysz...

– Tłumów? – nie zrozumiał Ryjek. – Jakich tłumów?

– Tu wszędzie są kamery – wyjaśnił Loki. – Mogę iść o zakład, że na azjatyckim rynku właśnie pojawia się nowy, bardzo popularny teleturniej Moje krwawe polskie wesele. Będziesz gwiazdą, panie

policjancie. I chcesz tego czy nie, właśnie stajesz się paszą dla boga.



Po barszczyku i krokietach wjechała składanka przebojów Boney M., z której naprawdę trudno się było wymiksować. Ledwie tylko pierwsze dźwięki Rivers of Babylon poniosły się po sali, a celebrycki wodzirej sięgnął po mikrofon, dwie trzecie sali było już na parkiecie i podrygiwało do rytmu.

Przerąbane miał szczególnie Eros, który natychmiast został otoczony przez wszystkie ciotki, babki i niezamężne kuzynki. Gdyby był z mosiądzu jak te wszystkie statuetki w turystycznych miejscach, to tylek, krocze i klata świeciłyby mu właśnie na złoto. Jakby tego było mało, musiał sobie dodatkowo radzić z niechęcią mężczyzn, z którymi te kobiety tu przyszły. Pozbawieni partnerek i odgonieni od stołu i wódki, skazani byli na kołysanie się do siebie nawzajem, prychanie, pomrukiwanie i łypanie na sprawcę zamieszania. Ów narastający gniew wyczuwalny był do tego stopnia, że przy charakterystycznych pierwszych taktach Rasputina Bogu Miłości przyszła do głowy paranoiczna myśl, że w kontekście losów rosyjskiego szarlatana to może być adekwatny soundtrack do ostatnich chwil jego życia.

Ostatecznie przyjaciela uratował Bachus, który wyszedł tuż przez wybuchem muzycznej bomby, a gdy wrócił, jakimś cudem udało mu się utrzymać pozycję przy bufecie ze staropolskimi wędlinami. Teraz, wizualizując sobie sytuację przy pomocy dwóch talerzyków, którymi kręcił tam i z powrotem jak didżej płytami, i kilku widelczyków, które przesuwiał w górę i w dół jak suwaki na konsolecie, regulował poziom alkoholu we krwi kolejnych gości.

Zależnie od jego woli kobiety przy Erosie a to gwałtownie trzeźwiały, uświadamiając sobie na przykład, że babci prawie dorosłych wnucząt niekoniecznie wypada schodzić do parteru i trzeć policzkiem o pośladek nieznajomego, a to pijane w sztok osuwały się w ramiona koleżanek. Bóg Miłości wykorzystał to, by wydostać się z zakłętego kręgu i dobić do bufetu. Tam złapał pęto kielbasy oraz słoik musztardy i ruszył w stronę jednego z bocznych przejść.

Bachus dołączył do niego z talerzykiem wędlin i kieliszkiem wina.

– Byłem zobaczyć w tej reżyserce, co tam u Lokiego – powiedział. – Myślę, że to chyba nie jest faktyczna reżyserka. Znaczą tam można nagrywać, kopiować i montować, ale nadają chyba z innego miejsca. Jak tam byłem, puścili pierwszy taniec młodych. Nawet było cię widać przez chwilę w tle.

Eros zamoczył kielbasę w słoiczku, ugryzł.

– Czyli ta nasza reżyserka to jakiś backup? – spytał z pełnymi ustami.

– Pewnie tak, zwłaszcza że od dłuższej chwili nikt tam nie pracuje, a mimo to nie przysłano nikogo, by to sprawdził. To akurat działa na plus.

– To prawda – zgodził się Bóg Miłości i przełknął. – Mówisz, że pokazali im taniec? A coś jeszcze się wydarzyło? Coś krwawego?

Bachus pokręcił głową.

– Krwawego to nie, ale obserwowałem trochę Lokiego. Zgadał się tam z jakimś typem, Dyskretnie wskazywał mu coś wzrokiem, więc myślę, że się zorientował, że są filmowani. Pytanie, czy już wie generalnie, o co chodzi.

Eros włożył kielbasę do ust, odgryzł spory kawałek i żuł w zamyśleniu.

Po chwili nieopodal rozległ się dziewczęcy chichot, trzask drzwi i pełne pogardy prychnięcie. Obaj bogowie obejrzeni się i zobaczyli

wypadających z łazienki mocno już pijaną, rozanieloną dziewczynę i rozchełstanego, łysego typa. Jedną ręką podciągał dziewczynie sukienkę, drugą rękę trzymał na jej obnażonej piersi. Gdy zobaczyli Erosa z kielbasą, oboje się skrzywili.

– Czy wy, geje, musicie się tak zawsze obnosić? – burknął łysy.

W odpowiedzi Bachus cmoknął i pstryknął palcami. Typem natychmiast szarpnęły mocne torsje. Bóg Wina trącił przyjaciela łokciem.

– Chodź, odpaliłem mu tryb „egzorcysta”.

Nie zdążyli przejść czterech metrów, gdy rozległy się charakterystyczne dźwięki brzmiące niczym ktoś z pełnymi ustami uprawiający deathmetalowy growling. Odgłosy były tak intensywne i obrzydliwe, że nie trzeba było długo czekać, nim towarzyszka typy weszła na wokół z drugim głosem. Brzmiali teraz jak Behemotowy cover Shallow.

Istne narodziny gwiazdy, pomyślał Eros.

– Powinniśmy spróbować nawiązać z Lokim jakiś kontakt – powiedział na głos, gdy już znaleźli się za rogiem. – Myślisz, że jesteśmy w stanie coś z tej reżyserki dyskretnie nadać? Żeby wiedział, że go widzimy?

Bachus podrapał się po głowie.

– Tak, tylko co by to mogło...

Urwał, słysząc dźwięki dochodzące właśnie z sali. Smętny przebój, który fałszywymi głosami podjęła cała seniorska część gości. Bachus wyszczerzył się nagle, wyjął telefon i szybko przejrzał znajdujące się w nim zdjęcia.

– Dobra, chodź. Chyba mam pomysł.



– Ufam, że odpoczęliście! – zawołał z wysokości sceny Srebrny.

Biesiadnicy byli zgromadzeni przy stolikach, na których rozłożono jedzenie i napoje, ale nie wyglądało, jakby ktokolwiek korzystał. Można było odnieść wrażenie, że większość nie ma apetytu.

– Bo oto już za chwilę przed wami kolejna konkurencja. Cudowna weselna zabawa z wieloletnią tradycją!

Od strony toalet rozległy się krzyki i trzaski, a nawet dwa kolejne wystrzały. Zaraz potem grupa osób, które się tam zabarykadowały, wbiegła na salę pod lufami karabinów. Loki spojrzał najpierw w stronę sceny, a potem na dwa rzędy wychodzących zamaskowanych. Szli ciężko i równo, dudniąc krokami i wzbijając pył. Z daleka wyglądali trochę jak kelnerzy, tacy wyprostowani i z czymś białym przerzuconym przez ręce. Dopiero po chwili okazało się, że to nie ściereczki, tylko płachty zadrukowanego papieru.

– Taniec na gazecie! – zawołał z ekscytacją Srebrny. – To dowód na to, że jako pary potraficie się świetnie bawić nawet na niewielkiej przestrzeni. Niewątpliwie jest to przydatna umiejętność, biorąc pod uwagę stan polskiego rynku mieszkaniowego.

Rozległ się klasyczny perkusyjny dźwięk puentujący żart i Kłamca nie mógł nie docenić tego zagrania. Tricksterska zagrywka pierwszej wody.

– Zdejmę buty i mogę tańczyć na twoich stopach, jeśli jesteś w stanie utrzymać równowagę – powiedziała nagle Karolina.

Były to jej pierwsze słowa, odkąd usiadła na krześle i zapadła w stupor. Skinął głową, ciesząc się, że nie będzie jej musiał wybudzać.

– Tak, to dobry pomysł – zgodził się. – To znaczy niekoniecznie przy pierwszej rundzie, ale założę się, że przy ostatnich...

Biały miś, biały miś, dla dziewczyny... – rozległo się nagle z głośników, a na ekranie pojawiło się zdjęcie pluszaka, bynajmniej nie białego. Kłamca zerknął w stronę Srebrnego, który właśnie się odwrócił i kogoś przywołał. Wyglądał na zaskoczonego.

...którą kocham i będę kochał wciąż – wyły nadal głośniki. Zaraz potem rozległ się zgrzyt i w sali zapanowała cisza.

– Przepraszamy za tę usterkę – powiedział Srebrny tak pewnie, jakby zupełnie się czegoś takiego spodziewał. – To utwór ze wspaniałymi weselnymi tradycjami, ale czas na tańce przytulańce jeszcze przyjdzie. A teraz pozwólcie państwo, że wytłumaczę szybko zasady. Każda para ma jedną planszę gazety. Tej planszy nie wolno potargać i nie wolno też z niej zejść, nawet kawałkiem stopy. Dotknięcie podłogi dowolną kończyną oznacza dyskwalifikację. Tańcząc, należy poruszać całym ciałem i raz po raz odrywać stopy od podłoża. Tańczymy, dopóki gra muzyka, niezależnie od... – zawahał się, chrząknął – ...odgłosów dyskwalifikacji. Bawić się będziemy przez cztery rundy i za każdym razem gazeta będzie przed tańcem składana na pół. Wszystko jasne? Zapraszam zatem na parkiet.

Znowu rozległy się krzyki i płacze. Ktoś błagał o litość. Ktoś oferował pół bliźniaka po ciotce ledwie pół godzinki podmiejskim od Warszawy. Ktoś darł się, że nie umie tańczyć. Strażnicy na balkonie unieśli broń. Wymierzyli. Większość krzyków ucichła.

Loki podniósł się z krzesła, obszedł stół i podał rękę Karolinie. Musiał ją pociągnąć za rękę, by wstała, a potem przytrzymać za łokieć, żeby utrzymała się w pionie. Miał nadzieję, że ten częściowy paraliż ustąpi, bo potrzebował teraz czasu i skupienia, by wykorzystać nowe możliwości, jakie właśnie się pojawiły.

Przerwana piosenka o misiui fotka Kłamczucha na dużym ekranie uzmysłowiły mu bowiem to, na co większość ludzi przez całe życie liczy: jakiś bóg na niego patrzy i najwyraźniej chce mu pomóc.



Ryjek, naśladując Lokiego, zdjął buty i nakazał to samo Leosi. Zajął też gazetową płachtę możliwie blisko Kłamcy, by w razie czego móc w przerwie zamienić kilka słów. Miał wrażenie, że od incydentu z misiem jego nietypowy sojusznik zrobił się jakiś bardziej zadowolony. Czy to możliwe, że coś się właśnie działo? Może szykowała się anielska interwencja?

Były policjant nie miałby nic przeciwko temu. Sam kilka razy spróbował skontaktować się z Butchem i Zadrą za pomocą klasycznych modlitw do Stróży. Możliwe jednak, że ta sala miała coś w rodzaju zagłuszania, bo nic mu to nie dało. Rozważał też bardziej desperackie ruchy, jak chociażby doskoczenie do jednego z zamaskowanych i wyrwanie mu broni, ale zważywszy na ich liczebność, to również nie miałyby sensu. Zginąłby, a kara za ten głupi akt pewnie spotkałaby nie tylko jego, lecz także połowę biesiadników. Dlatego zaciskając zęby, przygotował się do tańca.

Na pierwszą turę dali niezłe boogie. Muzyka huknęła z głośników, a na ekranie pojawiło się odliczanie, tym razem od trzech, zakończone słowem: „Tańcz!”.

Nagle wszyscy zaczęli tańczyć. Większość bardzo zachowawczo, jak dzieciaki na szkolnej dyskotecie przymusowo dobrane w pary. Ale byli też tacy, którzy poszli na całość. Tańczyli, jakby nikt nie patrzył! Jakby jutra miało nie być! I tym w większości spełniało się to drugie, bo jednak ktoś patrzył. I punktował każdy błąd.

Pierwsze wystrzały huknęły już po piętnastu sekundach. Kolejne w połowie utworu. Do końca kawałka pula gości uszczupliła się o siedem par.

W końcu muzyka ustała i Srebrny nakazał wszystkim zejść z gazet. Wtedy okazało się, że jedna z par, która przetrwała,

w czasie tańca rozdarła gazetę. Rozległy się kolejne wystrzały i Leosia zaczęła płakać. Ryjek objął ją, mocno dociskając do siebie i patrząc prosto w kółko najbliższemu z oprawców. Przez moment miał wrażenie, że widzi pod dzianiną jakby jeszcze jedną maskę, zrobioną chyba z gipsu i przypominającą twarz. Na jej czole świeciły się jakieś znaczki. Może japońskie kanji? Wyglądały jak świecące tatuaże.

Ryjek pomyślał, że to coś, co mogłaby sobie zrobić sekta.



Loki mocniej przytulił Karolinę. Potrzebował jej teraz stabilnej. Potrzebował, by grała w jego grę. Przypomniawszy sobie w tym momencie Sygin, swoją ukochaną żonę, która trwała przy nim przez te stulecia, a potem w zasadzie oddała za niego życie. Wspomniawszy też Jenny, wychowankę Michała Archaniola, z którą chodzili, aż Kłamca dowiedział się o brudnopisie Boga i o tym, że świat zmierza ku nie najlepszemu zakończeniu scenariusza. Gdyby dziś Kłamca był z Sygin albo Jenny, nie musiałby się martwić. Ale dziewczyna, którą tu zabrał, nie była materiałem na bohaterkę, nie była tarczowniczką. Pech chciał, że była mu tak bardzo potrzebna.

Wtedy uzmysłowił sobie, że czuje na sobie spojrzenie Ryjka. Odwrócił się do niego i dostrzegł, że policjant robi to samo co on. Nagle przyszedł mu do głowy pomysł. Ryzykowny, cholera, ale wart ryzyka.

Odsunął Karolinę od siebie i spojrzał jej w oczy.

– Kochana, musimy zwiększyć nasze szanse – powiedział. – Na tej naszej gazecie będzie z każdą chwilą coraz ciśnień, a musimy wytrwać jeszcze trzy rundy, rozumiesz?

Wolno skinęła głowę, choć sądząc po minie, niewiele do niej dotarło.

– Dlatego zrobimy tak, byś chociaż ty ocalała. Poproszę tamtego faceta obok, by się z tobą zamienił. W zasadach nie ma nic o tym, jak mają być dobrane pary, nie? Więc ja będę z nim, a ty z jego partnerką. Jesteście mniejsze, drobniejsze.

Karolina ściągnęła usta.

– Ale wy za to będziecie więksi – powiedziała słabo. – Wasze szanse zmaleją.

Loki skinął głową.

– Będę mógł spokojnie myśleć, piękna, wiedząc, że jesteś bezpieczna – odparł.

Widział wahanie na jej twarzy, widział łzy w oczach, ale był też pewien, że się zgodzi. Jeśli czegoś się w życiu nauczył, to tego, że w temacie relacji z facetami kobiety na tym świecie dzielą się na tarczowniczkę, które podzielią się trzymaną w ręku tarczą, i na Rose z Titanica, które nie podzielią się drzwiami. Tych drugich było zwykle o wiele więcej.

Zamaskowani kończyli już uprzątnięcie ciał i ścieranie plam krwi. Tym, którym posoka zaplamiła gazety, wymieniono papier na nowy. Srebrny obserwował to wszystko i najwyraźniej dostał sygnał, że są prawie gotowi, bo ożywił się i zakręcił młynka swoją laską z mikrofonem. Jeśli zamiana miała się udać, to teraz. Loki podszedł do Ryjka.

– Przepraszam panią najmocniej, ale odbijany – zwrócił się do Leosi.

Dziewczyna mocniej przyłgnęła do policjanta, a Ryjek tylko parsknął cicho.

– Rozumiem, że coś wymyśliłeś? – zapytał.

Loki wyjął z ust wykałaczkę, nachylił się do detektywa i w kilku słowach wyjaśnił mu swój koncept. A właściwie jego wczesny, wczesny zarys.



Jeden z operatorów drugiej reżyserki poruszył się na konsolcie i Bachus szybko, dla pewności, doprawił mu krwiobieg dodatkowymi dwoma promilami. Normalnie dawkowałby ostrożniej, nie chcąc zabić, ale wiedział, że jest w Polsce i nie musi się aż tak pilnować. Wiele razy dziwił się, że ten naród, zawłaszczwszy sobie legendę Jezusa, nie zmienił też przy okazji mitu założycielskiego i nie podmienił w opowieści z Kany Galilejskiej wina na wódkę. Bardziej by do nich pasowało.

Eros siedział przed ekranem, obserwował sytuację w krwawej sali weselnej i dojadał kielbasę. W pewnym momencie wskazał nią na Lokiego.

– Ty, on się chyba zamienił z jakąś panną na partnerów. Teraz będzie tańczył z jakimś typem.

Bachus machnął ręką.

– On tak ma przecież. Mnie bardziej martwi, że powinniśmy chyba wrócić na górę, zanim ktoś się zorientuje. Zabawa zabawą, ale...

Eros uciszył go machnięciem kielbasy i dał głośniej. Tym razem gazetowcy dostali do tańczenia twista. Pary ruszyły do zabawy i zaczęły się kołysać.

– Myślę, że Loki ma plan – powiedział Bóg Miłości. – Teraz, kiedy już wie, że patrzymy, na pewno myśli, jak... O kurwa!

– Co? Co się stało?

Bachus doskoczył do ekranu ze żwawością, o którą nikt by go nie podejrzewał. Eros wskazał na jeden z mniejszych ekranów.

– Loki i jego koleś właśnie rozerwali gazetę!



Nie miał prawa usłyszeć tego dźwięku. Nie przy Beatlesach namawiających ze wszystkich głośników, by skrećać się i krzyczeć. Nie przy rozlegających się raz po raz strzałach, od których brzęczało w uszach. Nie przy wrzaskach tych, którzy jeszcze się nie przyzwyczaili, że termin ich żywotności jest krótszy niż ten z przecenionych produktów przy kasach w Żabce.

Nie miał prawa, ale jednak zareagował błyskawicznie, gdy tylko gazeta pod ich stopami się rozdarła. Natychmiast nałożył szybką iluzję i przykrył rozdarcie stopą, po czym nachylił się do ucha Ryjka, jakby chciał go pocałować, i szepnął:

– Gdy tylko taniec się skończy i zejdziemy, musisz stanąć w kałuży krwi i chlapnąć nią na gazetę.

– Coś się stało?

– Rozerwaliśmy papier. Zrobiłem tak, by nikt nie zauważył, ale musimy ją zmoczyć i rozerwać w ten sposób już po tańcu, ale przed złożeniem na pół.

Ryjek kiwnął głową i zerknął w stronę dziewczyn tańczących dwie gazety dalej. Miał lekkie wyrzuty sumienia, że zostawił Leosię, ale wyglądało na to, że obie panie radziły sobie teraz w duecie całkiem sprawnie. Na pewno poruszały się pewniej i miały więcej miejsca niż większość par mieszanych. Poradzą sobie.

– Dobra, teraz! – syknął Loki, gdy tylko ucichła muzyka.

Ryjek zszedł z gazety i zgodnie z poleceniem chlusnął na nią świeżą krwią z podłogi. Oko mężczyzny, z którego głowy pochodziła, było półprzymknięte, jakby mrugał, uznając to za dobry dowcip.

Ryjek nie był w tak dobrym humorze. Przeszedł w swój stary, detektywistyczny tryb. Cały czas chodziła mu po głowie ta wizja maski pod maską, tych świecących liter, tego białego pyłu. To się musiało jakoś składać, musiało mieć jakiś pokręcony sens, tyle że nie z jego porządku, a z tego drugiego. O co chodziło? Kim byli ci zamaskowani ludzie?!

Loki tymczasem odczekał trzy sekundy, aż gazeta nasiąknie, i zszedł z niej, poruszając stopą tak, by rozerwać papier. Natychmiast poderwał ręce do góry, a gdy faceci w maskach podeszli, mierząc do niego z broni, zaczął krzyczeć:

– To już po tańcu! Po tańcu się rozerwało!

Gość z trójkątem przykucnął, sprawdził, wydał wyrok skinieniem. Przeszli. Ryjek odetchnął z ulgą i zakodował, że kucnięciu i kiwnięciu głową towarzyszyły zgrzyty i sypiący się pył.

Loki również przyklęknął, jakby sprawdzał po tamtych, podniósł z podłogi kawałek gazety i umoczył palec we krwi. Tę ostatnią szybko przykrył iluzją, ale gazetę pokazał gościowi w masce.

– Na pamiątkę wezmę – powiedział. – Dobrze?

Gość przez moment nie odpowiadał, ale w jego masce coś szumiało. Może dostawał instrukcje z reżyserki. W końcu skinął głową. Loki podziękował i odsunął się jak wszyscy ocaleni, by skorzystać z chwili wolnego przed kolejną rundą. Ryjek podszedł do niego.

– Mogę wiedzieć, co robisz?

– Chyba mam plan – odparł Kłamca. – Idź do dziewczyn i je uspokój. Ja muszę się skontaktować z moją ekipą.

– Jak?

– Kurwa, sprytnie – odparł Loki.

Podszedł do stolika, wziął z niego wykałaczkę i umoczył ją w krwi z palca. Nałożył na siebie niewielką iluzję, po czym szybko skreślił kilka słów na kawałku gazety. Gdy skończył, wyprostował się i spojrzał w najbliższą kamerę. Patrzył na nią przez kilka

sekund, szczerząc się, po czym mignął karteczką. Następnie sprawnym gestem zwinął ją w kulkę, wepchnął do ust i doprawił koreczkiem ze stolika, po czym wstał i się przeciągnął.

Teraz pozostawało czekać.



– Czekaj, widziałeś ten szybki ruch? – Eros wskazał palcem na jeden z ekranów. – Weź to cofnij i zwolnij.

– Ta, i jeszcze przybliż, co? – zadrwił Bachus. – Co ty myślisz, że ja jestem CSI?

Mimo tego komentarza znalazł na konsolocie właściwy zestaw pokręteł i suwaków. Majstrował nimi przez kilka sekund, aż udało mu się odnaleźć sposób, by przejść do nagrania i cofnąć. Zrobił to powoli, klatka po klatce.

– Dobra jest, zatrzymaj – polecił Eros i przysunął twarz do ekranu. – Co on ma na tej kartce? Tej, co tak nią mignął?

– Czekaj... Grub garn prąż +1 i rud. ziel. suk. ngr. zrb kop. – przeczytał Bóg Wina i podrapał się po głowie. – Dobra, to chyba jakiś specjalny kod. Szyfr. Czekaj, zaraz go złamiemy. Sprawdźmy, które litery się powtarzają. Plus jeden może oznaczać, że chodzi o przesunięcie liter... Czyli nie Grub, tylko HSVC... Nie, to nie ma sensu. No chyba, że to już jest plus jeden, czyli...

Eros przyglądał się koledze z rosnącym zdumieniem i niesmakiem.

– Naprawdę, krety nie? Rebus? Spójrz na kamery z ofiarami.

Bachus spojrział. Na jednej widać było grubasa w prążkowanym garniturze i jego partnerkę. Na drugiej rudą kobietę w zielonej sukience leżącą na jakimś blond typie.

Bóg Wina rozłożył ręce z niewinnym uśmiechem.

– No dobra, czyli mamy już dwie teorie, nieźle – powiedział. – To co, myślimy nad trzecią? Czy rozpisujemy...

– Nagrywamy te trzy ciała i robimy kopie, tak jak chciał Loki.

Bachus potrzebował chwili, by dotarło do niego, że to właśnie znaczyły ostatnie literki na kartce. Przymknął oczy i trochę się otrzeźwił. Szum w głowie zdecydowanie mu przeszkadzał.

– No dobra, czyli tak robimy – powiedział. – Ale jak myślisz, po co mu to?

Eros spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta.

– Myślę, że rozgryzł, o co chodzi Sun Wukongowi i jak wyjść z tego cało.

– Oraz jak uratować tych wszystkich ludzi? – powiedział z nadzieją w głosie Bachus.

Eros tylko się uśmiechnął.



Kolejna taneczna runda była już naprawdę trudna, ale przynajmniej utwór – Careless Whisper – sprzyjał przytulańcom. Loki wykorzystał to, by mocno przyłgnąć do Ryjka i przysunąć mu usta do ucha.

– Dobra, to teraz słuchaj – powiedział. – W dużym skrócie i bez zadawania pytań. Za całą akcją stoi trickster. To taki bóg...

– Wiem, kim są tricksterzy – odparł Ryjek, nieco głośniejszym głosem, by przebić czyjś krzyk i następujący po nim strzał. Zaraz potem rozległ się kolejny, bo upadający wypchnął z gazety następną parę. – Miałem do czynienia z Mauim. No i z tobą.

– No to ten jest z Chin, ale obawiam się, że żadna z niego podróba robiona przez dzieci zagonione do fabryki. Skubaniec jest dobry, osiadł w Korei i wykorzystuje fakt, że jest światowy boom

na ich szalone reality show. Najwyraźniej gniew tej całej Paluszek był dobrym pretekstem, by zrobić edycję weselną zabawy we „wszyscy giną”. Wszystko jest autentyczne, więc ma tu krew, będzie miał strach i uwagę ludzi u siebie. W ten klasyczny sposób kupi sobie ich uwielbienie i wiarę. Da im igrzyska. Jedyne sposoby, by go powstrzymać, to...

– Zabrać temu widowiskowość? – spróbował zgadnąć Ryjek. – Zbuntować się i zbojkotować kolejne konkurencje?

Loki prychnął mu prosto do ucha.

– Bojkotować to sobie możesz kawę w Starbucksie albo trampki z Tajwanu. Tutaj zrobisz bojkot i pierwszy zginiesz dla przykładu.

Umilkł na chwilę, mając wrażenie, że jeden z zamaskowanych zbyt uważnie im się przygląda. Gdy tamten odwrócił swe kółeczko w inną stronę, Loki kontynuował:

– Co musimy zrobić, to wykazać, że wszystko jest na niby, rozumiesz? Że tu nikt nie ginie naprawdę i to tylko aktorzy.

– Ale przecież giną! – podniósł głos Ryjek.

Jak na zawołanie huknął kolejny strzał. Jedna z kobiet wyszła za gazetę i oberwała w łeb. Jej mąż, zanim sam wypadł z gry, zdążył powiedzieć, że jego mamusia tańczyła jednak zgrabniej.

– To jest twoim zdaniem na niby? – zapytał Ryjek. – Jak chcesz...

Loki delikatnie ugryzł go w ucho.

– Nie ekscytuj się tak, kochanie. Ściągasz na nas uwagę. A śmierć w telewizji to kwestia wyłącznie obrazków, prawda? I tego, w co uwierzy widz.

Taniec się skończył, ocalali zeszli z gazet.

– Weź obie dziewczyny i idź do łazienki. Zabarykaduj się tam i otwórz tylko mnie.

Ryjek powiódł wzrokiem po zamaskowanych.

– Myślisz, że tamci mi na to pozwolą?

Loki wzruszył ramionami.

– Myślę, że tak, o ile będziemy tu na kolejną konkurencję. W poprzednich turach pozwalali, nie? A w środku nie będziemy potrzebowali za dużo czasu.

Ryjek skinął głową.

– Dobra, mam nadzieję, że dziewczyny się zgodzą.

– Tę nadzieję ma każdy facet, który próbował kiedyś zaciągnąć dwie niezłe laski do łazienki na imprezie – stwierdził Loki. – Ale obstawiam, że w zaistniałych okolicznościach masz większe szanse niż Ryan Gosling w katolickiej szkole żeńskiej.

Ryjek otworzył usta, by coś powiedzieć, ale uznał, że jeszcze to sobie przemyśli. Chyba wiedział już, w co składały mu się te wszystkie myśli o zamaskowanych. Problem w tym, że aby to powiedzieć, musiałby w to sam uwierzyć. A mimo wszystkich dotychczasowych przeżyć to wciąż nie było łatwe. Widzieć dziwne rzeczy to jedno, a uwzględniać je w śledztwie to coś zupełnie innego. Mądrości Sherlocka Holmesa o odrzuceniu wszystkiego, co niemożliwe... No cóż, delikatnie mówiąc, gówno tu znaczyły.

Ruszył, ale po kilku krokach się zatrzymał.

– Ci twoi kumple, którzy nam pomagają, to nie Butch i Zadra, prawda?

– Nie tym razem – przyznał Loki.

– Ale są tam? I pomogą?

Loki podszedł do najbliższego stolika, sięgnął po koreczek, zjadł go i wsunął wykałaczkę między zęby.

– To bogowie – odparł. – A ich moce to dwie największe siły we wszechświecie. Zwłaszcza na weselu.



– Hej, co wy tu robicie?!

Bachus i Eros odwrócili się równocześnie. Przed nimi stał dwumetrowy gość o charakterystycznej kaukaskiej urodzie. Może Dagestańczyk, ale raczej Czeczen, sądząc po mocnym rosyjskim akcencie. Ubrany był od stóp do głów w elegancko odprasowaną czerni. Z ucha wystawała mu słuchawka, a spomiędzy palców zaciśniętej dłoni – uchwyt jeszcze nierozłożonej pałki teleskopowej. Łypał to na bogów, to na śpiących na konsolach technicznych. Sądząc po jego minie, prawdopodobieństwo, że przeoczył obalonych kolegów ochroniarzy przed wejściem, nie było za duże.

Jakby tego było mało, zza szerokich pleców Czeczena wychylał się teraz kolega, niewiele mniejszy, za to z brwiami tak gniewnymi, że na dowolnych zamieszkach to one pierwsze rzuciłyby brukiem.

– Dasz radę zrobić im tę sztuczkę z... no wiesz, promilami? – zapytał Eros, cicho i półgębkiem.

Bachus westchnął.

– Mniejszemu tak, ale temu, który brzmi jak rusek? Nie ma mowy. Na pewno nie bez przygotowania.

Wielki ochroniarz postąpił krok do przodu.

– Pytałem, co wy tutaj robicie? Nie powinno was tu być.

Ten z gniewnymi brwiami mruknął coś, po czym przepchnął się do przodu. Dopiero teraz można było zobaczyć, że na obu dłoniach ma kastety. Były nabijane ćwiekami i wciąż miały na sobie krew po ostatnim użyciu. Straszne, ale nie aż tak, jak bojowe, włóchaty gąsienice nad jego oczodołami, najwyraźniej żyjące swoim życiem.

– Się ich nie pytaj, Adil. Było powiedziane, że nikt obcy tu nie łązi, bo wpierdol. Są obcy, więc...

– Chwilunia! – przerwał mu Bachus. – Jacy my znowu obcy? Panna młoda to kuzynka moja rodzona. Poprosiła mnie, żebym tu przyszedł i się upewnił, że taśmy z wesela będą tip-top. – Bóg Wina omiół ręką reżyserkę. – No to wziąłem kolegę z telewizji, bo się zna na tych wszystkich światłach, montażach, dupersaniach. I co?

I widzę dobrze, że wziąłem, bo to, co się tutaj odjebowywuje, to skandal jakiś! Wszyscy tu pochlali! Wszyscy! Co to jest za odpowiedzialność, ja się pytam?! Zawsze jeden trzeźwy powinien być!

Z każdym zdaniem Bachus coraz bardziej się rozkręcał, a przy ostatnich już prawie krzyczał. Na Czczenie i Brewce jego słowa nie robiły większego wrażenia, ale w zaistniałej sytuacji wyraźnie odezwało się w nich doświadczenie z dyskotekowych bramek, bo zamiast przystąpić do działania, słuchali cierpliwie, uśmiechając się kpiąco.

Ale przynajmniej skupiają na nim uwagę, pomyślał Eros. To powinno wystarczyć. Zerknął przez ramię w stronę ekranów, wyszukał na nich Lokiego. Zobaczył, że Kłamca zmierza do łazienki, raz po raz zerkając w stronę kamer i kręcąc palcem młynka koło głowy. Dla osoby postronnej mogło to wyglądać, jakby pokazywał komuś, że jest świrnięty, ale Eros domyślił się, że skoro Loki zwracał im uwagę na trupy, to ten gest oznacza raczej pracującą kamerę. Chciał, żeby go nagrać!

Wciąż uważając, by nie skupić na sobie uwagi, o którą tak skutecznie walczył Bachus, Eros obadał wzrokiem dostępne monitory. Namierzwszy te z łazienkami, przesunął się bardzo wolno do odpowiedniego rzędu konsoly.

Poczuł na sobie gniew brwi i spojrzenie skrytych pod nimi oczu, więc odpuścił zerkanie. Zakodował jednak wcześniej, że czerwony przycisk z napisem REC jako jedyny jest kwadratowy. Wymacał go teraz i wcisnął.

W tym samym momencie dostrzegł, że Czczen, najwyraźniej straciwszy cierpliwość, jednym sprawnym ruchem rozłożył pałkę i ruszył na Bachusa. Brewka ruszył w ślad za nim, a gdy tylko wyszli za framugę, zaczął go obchodzić boki od prawej. Na krótki moment przed Erosem otworzyła się wolna przestrzeń wiodąca ku drzwiom.

Rzucił się w nią szczupakiem. Wpadł w światło drzwi, cudem uniknął nadlatującej pałki i wylądował miękko na śpiącym, pijanym strażniku, który pierdnął głośno na znak protestu. Eros poderwał się na nogi i pognął schodami w górę.

– Pilnuj go! – zawołał Czczen do Brewki, rzucając się w pogoń.

Bachus odczekał, aż zostaną z brwiastym sami. Dopiero wtedy oparł się wygodniej o konsoletę.

– Słyszałeś, kolego, o takim gościu, który zrobił tak, że jego krew to było wino? – zapytał, uśmiechając się paskudnie. – No to ja też coś takiego umiem.



Loki wszedł do łazienki, rozejrzał się dyskretnie i wszedł do jednej z kabin. Odczekał, aż drzwi otworzą się ponownie i rozlegnie się czyjś głos. Gdy zdał sobie sprawę, że to Karolina, otworzył drzwi. Musiał to zrobić zbyt gwałtownie, bo jedna z dziewczyn natychmiast podskoczyła. Kłamca uspokoił ją gestem.

– Hej, nic się nie dzieje, spokojnie – powiedział z uśmiechem.

Karolina spojrzała na niego jak na totalnego świra.

– Nic się nie dzieje?! Nie dzieje?! Zabili tam mnóstwo ludzi! Strzelanina na całego! Wszędzie krew, trupy!

Kłamca zerknął na Ryjka, przewrócił oczami, jakby chciał powiedzieć: „Kobiety ze wszystkiego robią wielką sprawę”.

– Trochę strzelania, trochę zabaw integracyjnych, normalny dzień w amerykańskiej podstawówce – stwierdził. – To na niby, drogie panie – dodał zaraz. – To wielkie, telewizyjne show. Pojebane, owszem, ale nikt tak naprawdę nie ginie. To wszystkie efekty specjalne.

Podszedł do obu kobiet i każdą z nich objął ramieniem.

– Zresztą pokażę wam, jak to działa – zaproponował. – Tylko nie panikujcie, dobrze? Bo pierwsze spojrzenie może być dla was wielkim szokiem. Zaraz się odwrócimy i spojrzymy w lustro, które wyświetla specjalistyczny widok FX Make Up trzy zero. Podobne sztuczki są stosowane tam w sali.

Wolno odwrócił kobiety, a one aż podskoczyły, gdy zobaczyły swoje odbicia. Jedna była martwą rudą, druga – partnerką grubasa w prążkowanym garniturze. W niego z kolei wcielał się stojący kawałek dalej Ryjek. Większość twarzy całej trójki pokrywały krew i kawałki kości, a całą resztę zielona farba.

Loki w odbiciu wyglądał natomiast w tym momencie jak... pan młody. Elegancki, chudy Azjata ze śmiesznymi, gęstymi bokobrodami.

– Dobra, dziewczyny, czas na trochę wyjaśnień i podsumowań – powiedział, uśmiechając się łobuzersko. – W dużym skrócie: bierzemy teraz udział w eksperymentalnym, azjatyckim teleturnieju, który ma pomóc pewnej osobie dojść do władzy. Wraz z obecnym tu kolegą byliśmy odpowiedzialni za rozgryzienie tej siatki od środka i dowiedzenie się, o co tu chodzi i jak to przerwać.

Dziewczyny popatrzyły po sobie, a potem obie przeniosły wzrok na Ryjka. Spojrzenie Leosi było niczym bombowiec Enola Gay przenoszący nuklearny ładunek wyrzutów.

– Babcia mówiła, że to ona cię namówiła! A ty jesteś tu w pracy? Ryjek zamrugał zaskoczony.

– To cię teraz martwi? To jest twój problem w tym momencie?!

– No to, że facet nie jest ze mną szczery, to... to...

Odwróciła się i wtuliła w Karolinę. Ta docisnęła ją do piersi, pogłaskała po głowie.

– Lokstar, czy ja dobrze słyszałam, że powiedziałeś „byliśmy odpowiedzialni”? W czasie przeszłym.

– Tak, bo...

Ktoś złapał za klamkę. Loki szybko doskoczył i przytrzymał drzwi.

- Zajęte, idź do damskiej – powiedział stanowczo.
- To jest damska – stwierdził kobiecy głos po drugiej stronie.
- Czy ja ci brzmię na kobietę?

To ostatnie musiało skonfundować osobę po drugiej stronie drzwi, bo przestała szarpać klamkę i sobie poszła. Loki odwrócił się do swoich towarzyszy.

– Powiedziałem „byliśmy”, bo już to rozgryźliśmy. Tylko potrzebujemy teraz waszej pomocy i zaufania...

– Ta, zaufania – wymruczał biust Karoliny głosem wciśniętej w niego Leosi. – Wy, faceci, potraficie tylko o tym. A jak przyjdzie co do czego, to jesteście tajnymi agentami na misjach.

Ryjek pokręcił głową z niedowierzaniem. Loki machnął ręką, żeby się nie przejmował.

– Dobra, więc możesz albo pomarudzić jeszcze przez pięć minut i zginąć w kolejnej turze gier, albo posłuchać mnie, wyjść z tego i wyzywać facetów jeszcze przez długie lata. Co wybierasz?

Leosia nie odpowiedziała, ale odsunęła się od piersi koleżanki i wytarła nos rękawem jak małe dziecko.

– Zaraz odegramy tu pewne przedstawienie – powiedział Loki – Zrobicie dokładnie, co wam każę, i nie będziecie pytały co, jak i dlaczego. Karolina, widzę tę minę. Przysięgam, że nie wykorzystuję sytuacji i nie będzie to nic, co miałoby branie na Pornhubie.

Spojrzał w górę, w stronę oka kamery.

– Miejmy tylko nadzieję, że bóg nad nami czuwa – powiedział, przesadnie ruszając ustami, by dało się z nich odczytać słowa.



Eros biegł korytarzem, słysząc za sobą równy oddech Czeczena. Wielki koleś miał naprawdę dobrą kondycję, bo nie tylko nie zziajął się na schodach, lecz także stopniowo, konsekwentnie skracał dystans. Dzieliło ich teraz pięć metrów czy trzy? A może był już na wyciągnięcie ręki?

Bóg Miłości ani myślał się oglądać, by to sprawdzać. Wiedział przecież dobrze, jak kończyło się, gdy tacy jak on, greccy wrażliwcy całym życiem oddani miłości, oglądali się nagle przez ramię podczas ucieczki z podziemi. Prawdziwa mądrość to uczenie się na cudzych błędach.

Minął kolejny zakręt i nagle głośnie, weselne dźwięki jeszcze bardziej przybrały na sile, a w twarz Erosa uderzyła fala spoconego ciepła. Przez przeszkłone drzwi, które właśnie ktoś uchylił, widział już ludzi próbujących tańczyć kazaczoka do Miłości w Zakopanem, a za nimi grupę mocno wstawionych weselnych wujasów w liczbie dwunastu, którzy na podobieństwo gości z żydowskich ślubów unosili teraz krzesła z młodymi wysoko nad parkietem. Julianna Paluszek balansowała w swojej pięknej, balowej sukni i aż się zanosila ze śmiechu. Azjatycki mąż ścisnął jej dłoń, a drugą ręką wykonywał gest, jakby dyrygował.

Wpaść tam i dołączyć do zabawy, pomyślał Eros. To zdjęłoby mu z głowy pościg i sprawiło, że będzie mógł szybko pomyśleć, jak wyciągnąć z kłopotów Bachusa. Jeszcze tylko kilka kroków, tylko dwa metry, metr...

Wielka czeczeńska łapa spadła mu na ramię niczym meteoryt na Syberię. Pod Bogiem Miłości aż się ugięły kolana. Poczul, jak leci do tyłu i traci dech po bolesnym uderzeniu plecami o ścianę. Zakręciło mu się w głowie, a przed jego oczami mroczki zatańczyły tak, jakby przynajmniej jeden wygrał Taniec z gwiazdami.

Użyj mocy, przemknęła mu przez głowę luźna myśl zupełnie znikąd. Użyj mocy, Erosie!

Bóg Miłości uniósł głowę i zobaczył dwa kroki od siebie Czeczena z nisko opuszczoną głową, wściekłym wyrazem twarzy i pałką teleskopową w ręce. Nawet dochodzące teraz z głośników Mama ostrzegała nie psuło grozy tej chwili. Absolutnej ostateczności tego, co miało nadejść. Brakowało jeszcze tylko chwili, by wziął zamach i...

Eros wyciągnął przed siebie rękę i uderzył z całą mocą, na jaką był w stanie się zdobyć. Coś, co w myślach wizualizował sobie jako tęczową wiązkę miłości rodem z troskliwomisiowego serduszka, wystrzeliło z wnętrza jego dłoni prosto w stronę olbrzyma.

Ten jednak w odruchu obronnym machnął pałką, która ledwie zahaczyła dłoń Erosa.

– Cholera! – zdążył stęknąć, gdy poczuł ból w ręce, a jego wiązka minęła Czeczena i korzystając z wciąż uchylonych drzwi, wleciała na salę balową. Śmignęła ponad głowami gości niczym najładniejszy weselny efekt i trafiła prosto w Julianę Paluszek.

Ta zachwiała się, mało nie spadając z krzesła, otrząsnęła i przetrzała twarz. A potem nagle odwróciła głowę i spojrzała prosto w stronę drzwi, korytarza i Boga Miłości. Przez krótki moment ich spojrzenia się połączyły. Swipnęły się w prawo, złapały matcha, spotkały na pierwszej randce, miały fantastyczny seks, zdecydowały się razem zamieszkać, adoptowały psa Łatkę, który nie miał jednego oka, a w jesieni życia pojechały nad morze, by stać na plaży, trzymając się za ręce, i beztrósco pierdzieć ludziom w parawany.

A potem Julianna dostrzegła, jak Czeczen zamierza się pałką na miłość jej życia. Natychmiast oswobodziła rękę ściskaną przez Sun Wukonga.

– Zostaw go, Adil! Ja go kocham! – zawołała.

Gdy olbrzym faktycznie powstrzymał cios, a cała sala zamarła w nagłej ciszy, młoda popatrzyła w dół.

– A wy natychmiast mnie postawcie!

Pijane wujasy, jedyni w sali, którzy chyba nie zdawali sobie sprawy, co właśnie zostało powiedziane i dlaczego ucichła muzyka, łypnęli na nią dwoma tuzinami kaprawych oczek. Julianna, która w sercu wciąż pozostawała swojską, polską dziewczuchą, wiedziała jednak, jakich zaklęć w tej sytuacji użyć, by dotarło.

– A teraz idziemy na jednego... – zaintonowała.

– A teraz idziemy wódkę pić! – jednym chórem odpowiedziały wujasy i oba krzesła błyskawicznie poszły w dół.

Julianna zeskoczyła ze swojego i już miała pognać do Erosa, ale Sun Wukong złapał ją za rękę.

– Co robisz? Przecież nie tak miało być.

– Nie tak – przyznała, wolną ręką ocierając łzę – ale u nas w Polsce mówimy: nie pokonasz miłości, nie zwyciężysz jej w sobie.

Jeszcze raz wyrwała rękę i wbiegła na korytarz. Odsunęła na bok skonsternowanego Czczena i wpadła Erosowi w objęcia. Zaczęła go obściskować, całować, a wszystko to pod okiem licznych paparazzi i weselnego operatora.

– To jest prawdziwa love of my life – mówiła. – To on, ten jedyny.

Eros tylko uśmiechał się głupio i wzruszał ramionami, jakby chciał tym gestem potwierdzić, że miłość nie wybiera. No bo w sumie co miał powiedzieć? Że celował w wielkiego Czczena?

Sun Wukong, który stał wciąż przy swoim krześle dziwnie osamotniony, podrapał się po czubku głowy, a potem pod pachą.

– Myślę, brachu, że teraz to ty powinieneś zobaczyć, co się dzieje w tej drugiej sali – odezwał się ktoś po lewej.

Małpi Król odwrócił głowę. Obok stał uśmiechnięty Bachus z kieliszkiem w dłoni.

– Bo takie mam wrażenie – dodał Bóg Wina – że pomyliły ci się polskie tradycje i zostawiłeś tam nakrycie dla niespodziewanego gościa. A on się rozkręcił i troszkę ci namieszał.

Sun Wukong zmrużył oczy, jakby sprawdzał, czy to nie blef. Gdy uświadomił sobie, że nie, ugiął kolana i nie bacząc na świadków, wyskoczył w górę i złapał za dekoracje. Skacząc jak na lianach, przeleciał na drugi koniec sali, by tam wypaść przez wyjście ewakuacyjne. W zaistniałych okolicznościach nie wzbudził specjalnego zainteresowania. Tylko jeden z wujasów obejrzał się za nim, przegryzając kurze udko.

– No od początku mówiłem, że małpa – mruknął. – To mnie rasistą nazywaliście.



Otworzyli drzwi łazienki, gdy rozległo się trzecie i – jak zapewnił Srebrny – ostateczne wezwanie do finału tańca na gazecie. Zgodnie z tym, co właśnie zostało powiedziane, każdy, kto się nie stawi do konkurencji w ciągu trzech minut, zostanie uznany za dezertera. Dziewczyny wyszły pierwsze, ale gdy Loki chciał podążyć za nimi, Ryjek złapał go za ramię. Kłamca spojrzał najpierw na jego dłoń na swoim bicepsie, a potem przeniósł wzrok na jego twarz.

– Nie mamy już czasu – powiedział.

– Musimy mieć – odparł Ryjek. – Bo mam dwie sprawy. Po pierwsze, muszę wiedzieć, czy dobrze zrozumiałem, co chcesz teraz zrobić.

Kłamca wyszarpnął rękę.

– Myślę, że wyjaśniłem to dość jasno – mruknął. – Za pomocą moich ludzi pokażemy gościom stąd, że wszystko do tej pory to mistyfikacja. Jeśli zrobimy to dobrze i ludzie uwierzą, cała zabawa straci sens. Sun Wukong nie będzie miał powodu, by dalej kręcić tę farsę. Chodź.

Wyszedł, a Ryjek ruszył za nim.

– Dla mnie to brzmi jak myślenie życzeniowe.

– Znałem kilku dżinów, więc wiem, że akurat myślenie życzeniowe bywa skuteczne.

– A co jeśli tamci zaczną strzelać?

Loki pokręcił głową.

– Nie zaczną, bo to nie miałyby sensu. Zabijanie bez powodu to cecha ludzi, nie bogów. Tutaj jest częścią rytuału, elementem, który dodaje mocy. Więc nie, nie otworzą ognia.

– A jeśli jednak? Jeśli to nie są ludzie? I po prostu mają zaprogramowane, że bunt równa się strzał?

Loki parsknął.

– Myślisz, że to są roboty?

Ryjek pokręcił głową. To, co właśnie miał zamiar powiedzieć, brzmiało idiotycznie, ale sytuacja też nie była normalna. No i był to jedyny wniosek, do którego doszedł.

– Oni są z kamienia, Loki – wyrzucił z siebie i poczuł się, jakby wypuł korek. Reszta słów po prostu się z niego wylała. – Bo pomyśl, gdy się ruszają, zgrzytają i pylą. A na czołach pod maskami mają świecące znaki. Jak byłem na wycieczce w Pradze, to tam...

– Golemy są żydowskie. A Małpi Król... – Loki urwał, podrapał się po głowie. – Cholera, te wielkie samoloty i jeszcze... Ja pierdołę!

– Co? – Ryjek nie zrozumiał.

– W materiale o tym ślubie pokazywali lecące tu samoloty z Azji. Mignęły mi. A oprócz samolotów były jeszcze Wielki Mur i...

– Terakotowa Armia? – domyślił się Ryjek. – Gliniani żołnierze. Też mi to przeszło przez głowę.

Loki nie odpowiedział. Ryjek spojrzał na zegar, a potem prosto w oczy Kłamcy.

– W każdym razie, czymkolwiek ci zamaskowani są, nie pozwolę ci na to, co chcesz zrobić. To za duże ryzyko.

– Za duże ryzyko to ponosisz, mówiąc do mnie w ten sposób – warknął Loki. – I nawet jeśli to jest Terakotowa Armia, to na usługach boga. A bogowie nie zabijają bez powodu.

Spróbował speszyc Ryjka wzrokiem, ale ten nie zamierzał się ugiąć. Stawka była za wysoka.

– Myślę, że macie powód. Obaj. Ty i ten Małpi Król. Konkurs, kto ma większego, jest dla was wystarczającym argumentem, by wybić całą salę ludzi. Bo przecież nie jesteś głupi, Loki. Wiesz, że ludzie już tacy są, że gdy dasz im iskrę nadziei, to wzniecą bunt. A być może nawet liczysz na to, że jak ci tutaj zobaczą nasze nagranie, to uwierzą w to na tyle, by jeden z nich krzyknął „do ataku”? Wiesz, że to wystarczy, żeby ich odpalić i ostatecznie zepsuć to nagranie.

Kłamca milczał. Ze sceny padł komunikat, że zostało ostatnie trzydzieści sekund do stawienia się na gazecie. Karolina i Leosia były już na swoim miejscu i patrzyły na nich wyczekująco.

– Całe swoje pieskie życie – powiedział Ryjek – byłem jak ten chłopiec, co zatyka palcem dziury w tamie. I jeśli chcesz w ramach tego planu stawiać na szali życie tych ludzi, to masz moje słowo, że znowu nim będę. Pewnie nic nie wskóram, ale zrobię wszystko, żeby ci nie wyszło. Żeby ich ocalić.

Zostało dwadzieścia sekund. Loki ruszył truchtem, Ryjek go dogonił. Z trudem ustawili się na małym kawałku gazety. Loki jako lepszy stanął na palcach Ryjka.

– Zagramy inaczej – szepnęła. – Ale to będzie dla ciebie dużo trudniejsza rola. Jesteś na to gotowy?

– Nie – odparł szczerze Ryjek. – Ale chyba nie mamy wyjścia. I chyba domyślam się, do czego mnie potrzebujesz.

Loki uśmiechnął się, nachylił się do jego ucha i zaczął szeptać. Gdy rozległa się muzyka, Ryjek zaczął tańczyć, z trudem podnosząc podwójnie obciążone nogi, a Loki wciąż szeptał.

Ledwie skończył mówić, muzyka urwała się nagle. Na ekranach pojawił się widok sali, w której właśnie się znajdowali, ale nie

w tym momencie, tylko kwadrans wcześniej, gdy trwała jeszcze runda tańca na gazecie. Raz jeszcze rozległa się piosenka Beatlesów, a ludzie wyginali się do niej w rytm strzałów.

Goście, widząc to i słysząc nową porcję muzyki, natychmiast znowu zaczęli podrygiwać tanecznie. Nie mieli pewności, czy to nie jest aby dalsza część rundy, i patrzyli z przestachem to na ekran, to znów na ludzi w maskach. Działo się coś innego, czuli to. Coś, co dawało... nadzieję?

Przed wszystkim dziwne było to, że zamaskowani oprawcy również wyglądali na zaskoczonych. Jakby nie wszystko szło zgodnie z ich planem. Patrzyli więc to na siebie nawzajem, to znowu zerkali na Srebrnego, który wyraźnie próbował się czegoś dowiedzieć przez słuchawkę ukrytą w masce.

Tymczasem na ekranie pojawiło się zbliżenie na grubasa w prążkowanym garniturze. Na widok rozbitej głowy ktoś zawołał „Jezus Maria!”, jakaś kobieta się rozplakała. Jej szloch urwał się jednak w pół dźwięku, gdy zaraz z głośników rozległ się śmiech, a na ekranie ten sam mężczyzna, wciąż z rozbity głową, śmiał się i palił papierosa z dwiema kobietami. Je również pokazano na ekranie. Moment, gdy zostały zastrzelone, gdy kawałek ciała odskakiwał od czaszki jak kreskówkowy słoń na widok myszy, a potem śmiech w pełnym make-upie w łazience. Zgromadzeni widzieli tę łazienkę, znali ją. To była toaleta przy tej właśnie przekłêtej, krwawej sali weselnej. Zaraz potem pojawiło się charakterystyczne logo z kreskówek Warner Brothers i dźwięk kończący filmiki z Bugsem. Prosiaczek Porky, jak zawsze jękając się, oznajmił, że to wszystko były żarty.

Konsternacja wśród zamaskowanych była coraz większa. Lufy karabinów poszły w dół, niektóre trójkąty przysunęły się do kółek, jakby coś im szeptały. Nie mieli pojęcia, co się dzieje, i nie wiedzieli też, jak powinni na to zareagować. Ewidentnie ich rozkazy tego nie przewidywały.

A ludzie na parkiecie to widzieli. Ryjek przyglądał się im z zaciekawieniem, zastanawiając się, co teraz robią. Czy są jak beczka prochu, którą wystarczy teraz podpalić? I czym skończy się takie podpalenie?

– Uważam, Loki, że... – zaczął, ale zorientował się, że Kłamcy już przy nim nie ma. Najwyraźniej zaczął już wdrażanie planu.

Ryjek pomny na to, co usłyszał wcześniej, ustawił się więc w pozycji, z której najłatwiej rzucić się do biegu. Marnie widział w tym swoje szanse, ale umowa to umowa. Przynajmniej plan nie opierał się już na wzbudzeniu buntu w gapiach. Przynajmniej dawał tym jeszcze ocalałym jakąś nadzieję.

Na scenę wszedł Srebrny.

– Szanowni goście... – zaczął, ale ktoś zaraz poklepał go w ramię.

Gdy się odwrócił, zobaczył... siebie. W takiej samej pozie, powtarzającego te same gesty. Srebrny Pierwszy uniósł rękę, Srebrny Drugi – to samo. Srebrny Pierwszy uniósł nogę, noga Srebrnego Drugiego również poszła w górę. Jak w lustrze, jak w starych, czarno-białych filmach. Obeszli się wolno w kółko, potem zamienili miejscami.

Ryjek powiódł wzrokiem po ludziach. Konsternacja narastała, zarówno u zebranych na parkiecie, jak i u tych z bronią, zdumienie było teraz mentosem balansującym na ustniku butelki coli. Jeszcze chwila i będzie mogło stać się wszystko. Jeszcze chwila i plan Lokiego wyszeptany Ryjkowi na ucho weźmie w łeb.

A może on to zrobił specjalnie? – pomyślał detektyw. Może mnie oszukał, wziął pod włos, by po prostu zrobić swoje i odwrócić moje myśli od mojego pomysłu? Jeśli tak, to moja wina, że zaufałem Kłamcy...

W tym momencie Srebrny Drugi dał nagle Pierwszemu w mordę, a Pierwszy poleciał ze sceny i... zniknął. To był sygnał.

Ryjek prześlizgnął się pomiędzy ludźmi, starając się nikogo nie dotknąć, i powoli ruszył w stronę pierwszych strzelców. Choć Loki

zapewnił go, że obłoży go iluzją niewidzialności, to i tak oczyma wyobraźni już widział te mierzące w niego karabiny, już słyszał huk wystrzałów. Ale nie, szedł spokojnie, niewidziany przez nikogo. W ten sposób udało mu się dotrzeć do pierwszego szeregu. Zaszedł ich od tyłu.

Był przekonany, że ich kaptury mocno ograniczają im widok na boki, a pewnie i mocno przytępiają słuch. O ile tacy jak oni, ożywione figury, w ogóle cokolwiek słyszeli. Miał nadzieję, że nie, bo wtedy jego trudna misja stawała się niemożliwa. W głowie wciąż szumiały mu bowiem wyszeptane wprost do ucha słowa Lokiego: „Kupię ci czas, a ty ich kasuj”. Łatwo powiedzieć, gdy on jest jeden, a ich tylu. Mimo to ustawił się za pierwszym, wymierzył palcami na wysokości czoła i szybko docisnął jego maskę. Potarł mocno palcami, jakby przez materiał chciał zeskrobać coś z szyby. Tamten drgnął lekko, zaczął się odwracać, ale zamarł w pół ruchu. Czyli jednak działało!

Ryjek sprawnie przeszedł do następnego. Teraz, gdy już wiedział jak, mógł to zrobić szybciej. Ale i tak wątpił, czy przy tylu strażnikach miał szansę zdążyć.

Tymczasem na scenie Loki jako Srebrny rozłożył szeroko ręce niczym kapłan podczas mszy i spojrzał w niebo, po czym ściągnął maskę, ukazując wszystkim twarz Sun Wukonga. Pana młodego.

– Sun Wukong jest z was dumny – powiedział. – Sun Wukong uważa, że świetnie się spisaliście. Sun Wukong chce, byście teraz wszyscy robili to, co ja. Znaie zabawę w „Szymon mówi”, prawda? Właśnie w to się bawimy. Kiedy powiem „Sun Wukong mówi”, wszyscy robią to, co powiem potem. Jeśli powiem samo polecenie, nie robicie nic. Jasne? A zatem Sun Wukong mówi, drap się prawą ręką pod lewą pachą.

Goście na parkiecie natychmiast zaczęli się drapać, a nawet podrygiwać na ugiętych kolanach niczym małpy.

– Sun Wukong mówi, drap się jednocześnie prawą ręką pod lewą pachą, a lewą ręką po prawym uchu.

Cały parkiet z miejsca podjął wyzwanie.

– A teraz skaczcie jak małpy... Ha! Nie powiedziałem Sun Wuk...
Ej, stop, nie strzelajcie! Przecież to nie...

Ale było już za późno. Kilkadziesiąt karabinów wystrzeliło równocześnie, rozległ się potworny huk i kule pomknęły w stronę ludzi na parkiecie. Ryjek krzyknął coś i ten jego krzyk przedarł się nawet przez odgłosy wystrzałów.

I wtedy stało się coś dziwnego. Świat nagle zamarł, wirujące w powietrzu kule zwolniły i zatrzymały się w połowie drogi. Zaraz potem rozsunęła się jedna ze ścian i z ciemności wyszedł prawdziwy Sun Wukong.

Nie był już panem młodym, lecz człowiekiem o głowie starej, posiwiełej małpy ubranym w ludowy chiński strój. Na ramieniu miał oparty ozdobny kij, a na pysku malowała się dezaprobata.

Loki, którego nie objęło zatrzymanie czasu, też nie wyglądał na zadowolonego.

– Serio, czy ze wszystkich tricksterów świata tylko ja nie umiem tego numeru z zatrzymaniem czasu?

Sun Wukong roześmiał się i machnął kijem, strącając kilka mijanych kul.

– Jesteś jeszcze za młody – powiedział. – Tej sztuczki trzeba się długo uczyć.

– Tak, Samedi mówił to samo.

– Samedi? – zdziwił się Wukong. – No tak, dla niego to nawet ja mogę być młodzieniaszkiem.

Poruszył kijem, uchwycił go jak tyczkę do skoku i w trzech susach znalazł się obok Kłamcy na scenie. Zakręcił palcem kółko wokół jego twarzy.

– Zdejmij to. To moje – polecił.

Loki posłusznie zrzucił iluzję. Sun Wukong przyjrzał się jego twarzy, mrużąc małpie oczy.

– Od razu lepiej. To co, powiesz mi teraz, dlaczego postanowiłeś zepsuć mój ślub?

Loki wzruszył ramionami.

– Bo mnie nie zaprosiłeś i musiałem się wpraszać? – odparł. – W pierwszej chwili chciałem poczekać, aż urodzi się wam dziecko, a potem w wieku szesnastu lat ukłuje się wrzecionem, ale...

Patrząc na nieco zniesmaczony małpi pysk, zdał sobie sprawę, że wychowany w innym kręgu kulturowym Sun Wukong pewnie nie rozumie nawiązania. Machnął więc ręką.

– Jeśli powiem ci, że trafiłem tu przypadkiem, to nie uwierzysz, prawda?

Sun Wukong stuknął łaską o scenę.

– Uwierzę częściowo. Bo to będzie najwyżej częściowa prawda.

Loki potrząsnął głową.

– Dobra, stary, jak masz gadać jak pan Miyagi, to ja stąd spadam. I zabieram ze sobą tych wszystkich ocalonych.

Sun Wukong uśmiechnął się i rozłożył ręce.

– Weź ich sobie – powiedział. – Mnie już się nie przydadzą. Miałem tu poza wszystkim fajny żart, dłuższą historię, która mogła grać latami, ale zepsułeś mi puentę. A twoi koledzy w drugiej sali zepsuli mi również prawdziwy ślub. Powinienem się obrazić.

– I co, zacząć w nas rzucać gównem jak inne małpy?

Sun Wukong sprawnym ruchem podbił kij, zakręcił nim młynka i wymierzył w Lokiego.

– Zważ jednak na słowa. Jestem od ciebie potężniejszy!

Loki wzruszył ramionami.

– Może tak, może nie. Na pewno umiesz tę fajną sztuczkę z zatrzymywaniem czasu. Ale czy taki naprawdę potężniejszy? Po pierwsze, zajebałeś trik z golemami od Żydów. I ja wiem, że wy, Chińczycy, nie przejmujecie się prawami autorskimi, ale czy sam

zadarłbym z narodem prawników? No niekoniecznie. Zresztą Chińczycy, jak się dowiedzą, że zwinąłeś im spod nosa komandosów z terakoty, to też się wkurzą. I wreszcie po trzecie, ofiara krwi i tłumy to akt desperacji, Wukong. Nawet taki młokos jak ja to wie. To przejaw tego, że desperacko potrzebujesz mocy.

To powiedziawszy, wypluł kawałek sierści, palcem odsunął koniec kija na bok, a kciukiem drugiej ręki wskazał za siebie.

– Tam stoi mój kolega, były policjant. Przy tych wyłączonych, nieruchomych golemach. Możesz jego też wybudzić, żeby wyprowadził ocalałych? Potem możemy dalej gadać, o czym tylko chcesz.

– Nie mamy o czym więcej gadać, Loki – odparł Wukong. – Zepsułeś mój rytuał, ot tak, bo kierowała tobą tricksterska ciekawość i przekora. Chęć siania chaosu, psucia innym szyków. Nie obrażam się, bo z naturą nie wygrasz, a ja mogłem to przewidzieć. Ale też nie zamierzam odpuszczać, bo to z kolei nie leży w mojej naturze. Dlatego właśnie cię zabiję. Ale mogę poczekać, aż dopełni się twój mały akt heroizmu.

Pstryknął palcami i urwany krzyk Ryjka wybrzmiał do końca. Kłamca poczekał, aż mężczyzna połapie się w tym, co się stało, i powiedział:

– Dobra, Ryjek, a teraz powynoś tych wszystkich ludzi za tę otwartą ścianę. Tylko raz-dwa. Tu się ważne rzeczy dzieją.

Policjant stał przez chwilę zapatrzonej w Wukonga. Zaraz jednak otrząsnął się i wziął do pracy. Dwaj bogowie przyglądali mu się z góry.

– Swoją drogą, Wukongu – podjął Kłamca – muszę ci przyznać, że to była naprawdę zabawna akcja. Połączyć zamiłowanie do turniejów z egzotyką, jaką jest dla was polskie wesele? I jeszcze ogranie złej sławy tej celebrytki, by złapać szybko zasięgi? No muszę przyznać, że złoto. Gdyby nie jedna dziewczyna, z którą

wtedy byłem, w ogóle bym się nie zorientował, że robisz to mi pod nosem...

– Dużo gadasz, Loki – odparł Wukong. – Stanowczo za dużo.

Znowu pstryknął palcami i kolejni goście zaczęli się wybudzać. Rozglądali się teraz przestraszeni, aż Ryjek podchodził do każdego nich i tłumaczył, by szli za nim. Robili to bez słowa, spokojni, karni, jak małe dzieci. W końcu wyszli wszyscy.

– Idźcie, dogonię was! – powiedział Loki.

– Nie dogonisz – odparł Wukong. – Ja nie żartowałem w kwestii moich zamiarów.

Loki pokiwał głową.

– Nie zakładałem, że żartowałeś – odparł. – Ale widzisz, tak się składa, że ja też znam kilka sztuczek. A właściwie jedną, ale gram nią tak często, że opanowałem całkiem nieźle. Widziałeś, jak było mnie tu dwóch? Jak walczyliśmy i zepchnąłem jednego z nas na dół? Cóż, gdy to się działo, twój prawdziwy srebrnogłowy towarzysz już dawno leżał pod sceną z widelcem w oku. Podszedłem go na niewidzialności, bo nie zabezpieczyłeś swoich wojaków zaklęciami przed takimi jak my. Duży błąd. Dlatego na scenie już twój uniżony sługa Loki walczył z iluzją. A potem ze sceny spadł... no dalej, zgadniesz przecież.

Zamiast odpowiedzi Sun Wukong zamachnął się i uderzył kijem prosto w głowę Lokiego. Ten nawet się nie bronił. Kij przeciął powietrze, a Małpi Król skrzywił się w wyrazie wściekłości.

– Bycie starym, doświadczonym bogiem ma też wady. Prawdziwego mnie nie ma tu już od dawna, a ty nawet tego nie zauważyłeś, bo to dla ciebie za prosta sztuczka i już jej nie widzisz. Nie ma mnie, odkąd się zjawileś i otworzyłeś mi drzwi, za co oczywiście pięknie ci dziękuję, bo naprawdę nie widziałem znaczka „Exit”. A teraz utrzymuję tę iluzję i mogę z tobą gadać, bo widzę cię przez kamery i słyszę przez głośniki. Twoje własne, pozwolę sobie dodać.

Iluzja zaczęła się rozwiewać, na co Wukong mimowolnie zaskrzeczał wściekle i wałnął kijem o podest.

Loki, widząc to, odwrócił się do Bachusa.

– Dobra, o co zakład, że odchody jednak pójdą w ruch?



Ryjek i Bachus siedzieli przy ławie, obserwując Lokiego zmierzającego do nich z trzema kuflami. Znajdowali się w jakimś przydrożnym barze pod Rzeszowem, jednym z tych, co trochę nie może się zdecydować, czy jest góralską chatą, wioskową remizą, czy brytyjskim pubem. Nie pasowali do tego miejsca w tych swoich weselnych strojach, ale w sumie kto pasował? Może niedźwiedziowaty koleś zapijający ogórki wódką na szklanki? Może rodzinka dwa plus trzy dokazująca przy pierogach? Może komitet zmarzniętych romskich seksworkerek albo siedząca trzy miejsca dalej i niebawiąca się w nowomowę stara kurwa?

Loki postawił kufle na stole, a jego towarzysze po nie sięgnęli. Przez długą chwilę pili w milczeniu.

– Co teraz? – zapytał w końcu Ryjek.

Kłamca wzruszył ramionami.

– Z czym?

– No ze sprawą? Tam zginęło kilkadziesiąt osób, jeśli nie więcej. Przecież ci ludzie nie mogą tak po prostu zniknąć!

Loki przyjrzał się policjantowi. Wciąż na niego patrząc, z pojemniczka na środku ławy wziął wykałaczkę i wsunął do ust.

– Nie mogą?

– No nie mogą! Mieli jakieś życia, rodziny, znajomych, którzy będą ich szukać.

– To, że ktoś szuka, nie znaczy, że znajdzie – rzucił sentencjonalnie Bachus, a Loki wskazał na niego palcem na znak, że się zgadza.

Ryjek jednak nie dawał za wygraną.

– No ale przecież ci wypuszczeni, co ich wyprowadziłem! Oni powiedzą, jak było!

Kłamca rozłożył ręce.

– No pewnie tak. I zainteresują twoich byłych kolegów. Zwłaszcza tym kawałkiem opowieści, jak zatrzymały się wystrzelone kule, a postać na scenie zmieniała twarze.

Ryjek otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Zgagę po wypalonych argumentach zapił piwem. Loki również upił swoje, po czym pokiwał głową.

– Ale wiecie co? Prawdą jest, co mówią o polskich weselach. Są legendarne.



Wstawał świt, gdy Leosia i Karolina znalazły się na długim moście z pięknym widokiem na zalesione linie brzegowe. Gdzie był ten most? Żadna nie miała pojęcia. I mało je to obchodziło.

Gdy wraz z resztą wyszły z krwawej sali weselnej, Ryjek powiedział, że skołuje zaraz jakiś środek transportu, który zabierze ich do domu. Ale obie uznały, że nie chcą już wsiadać do żadnych autobusów. Po prostu zdjęły buty i ruszyły przed siebie. Kilka razy ktoś chciał je podwieźć, ale odmawiały. Tym bardziej nachalnym kazały spierdalać. Tak doszły do mostu, za którym rozciągało się miasto.

Z rozmowy wyszło im, że obie nie do końca wierzą w to, co się stało. Im dłużej szły i gadały, tym mocniej wierzyły w wersję, którą

odegrały w łazience dla Lokstara: to wszystko było udawane. Bo czy nie miała ona najwięcej sensu? Czy nie była bardziej prawdopodobna niż jakikolwiek powód, dla którego jeden człowiek miałby dla zabawy i oglądalności zabijać innych? A tak to tylko show, nie? To przecież takie proste. O to chodzi w tym całym show-biznesie. By mówili, nieważne jak.

– Ale czego by nie mówić, odjechała ta Paluszek, nie? – zapytała w pewnym momencie Leosia. – Zostawić męża tuż po ślubie, jeszcze na weselu, dla jednego z gości. Szaleństwo!

– Wiesz, jak to jest z miłością – odparła sentencjonalnie Karolina. – Pewnie jak dojdziemy do jakiegoś otwartego kiosku i kupimy „Fakt”, to się dowiemy, gdzie się poznali.

Obie wybuchnęły śmiechem, jakby to był najlepszy żart na świecie.

Ale gdy tylko przestały się śmiać, obie równocześnie przyspieszyły.

CZĘŚĆ 3



Tym razem Gabriel nie kłopotał się pukaniem, tylko po prostu wszedł do środka. Trafił niemal idealnie, akurat w chwili, gdy Michał skończył słuchać pergaminów.

– Twoi oficerowie przybyli. Czekają w sali konferencyjnej i dyskutują nad otrzymanymi raportami.

Wódz Zastępów wolno odwrócił się w stronę brata. Jego mina nie prezentowała już wściekłości, tylko zdumienie i żal.

– Na Trony i Zwierzchności, jak my mogliśmy do tego dopuścić? Gabriel rozłożył ręce.

– Masz na myśli to, że pod naszym okiem w krótkim odstępie dwa pradawne bóstwa kłamstwa, najprawdopodobniej niezależnie od siebie, wykorzystały dwa różne elementy wierzeń Narodu Wybranego, by stworzyć swoje armie ożywieńców?

Michał skrzywił się na ten pobrzmiwający w słowach Gabriela sarkazm. Anielski posłaniec stanowczo zbyt wiele przebywał z Lokim i nawet momentami brzmiał jak on. Teraz wrażenie było tak mocne, że Michał skupił na bracie całą uwagę, przyglądając mu się uważnie i posyłając w jego stronę strumień myśli, jakie mógł odczytać tylko inny archanioł.

Gabriel, czując to, uśmiechnął się pod nosem.

– Naprawdę Michale, dopiero w tym momencie? Sprawa dotyczy Kłamcy, mistrza iluzji, więc byłem pewien, że zrobisz to jeszcze przy samym wejściu – powiedział.

– Ty również nie sprawdziłeś mnie w drugą stronę – odciął się Michał.

– Ja wiedziałem na pewno, gdzie w tym momencie są Loki i kilku innych wielkich tricksterów. Poza tym, jak zauważyłeś, trzymałem cię z dala od wszystkich kluczowych świadków. Więc nie, Michale, ja nie dałem tutaj, jak to mówią, ciała.

Zaplótł ręce na piersi, wciąż się uśmiechając.

– Masz ostatnio za dużo pracy, co ewidentnie źle na ciebie wpływa. Przede wszystkim tracisz czujność, gdy się tak wściekasz. Ale też powiedzmy sobie szczerze: archanioł Gabriel jako trickster? Hollywood już dawno to ograło.

Michał charknął i splunął w kąt sali. Zmrużył oczy, wyszczerzył się w paskudnym grymasie. Zdumienie i żal najwyraźniej zniknęły i znów był dawnym sobą.

– Może masz rację – powiedział. – Ale skoro już jesteś taki mądry i tak to sobie wszystko przemyślałeś i sprawdziłeś, to powiedz mi, jak mam odczytywać te dwie historie? Bo wynika mi z nich, że Loki w niedługim czasie, zupełnym przypadkiem, pokrzyżował wielkie plany dwóch większych od siebie tricksterów. Ale nie ma nic o końcu świata, nic o tym, że Kłamca planuje jakąś rewolucję. Pomijając napisanie listu do Lucyfera i to wielokrotne zabijanie Butcha... no, był sobą. No chyba że chcesz mi powiedzieć, iż zakładasz, że Loki był w tej grze pionkiem. A to, że ci bogowie obaj, niezależnie od siebie skorzystali akurat z hebrajskich wierzeń, nie było przypadkiem i ktoś im to podpowiedział. Ale wtedy...

Gabriel uniósł palec.

– Poczekaj z wnioskami, bracie. Musisz usłyszeć jeszcze jedną historię.

– Czuję się jak w Opowieści wigilijnej – mruknął Michał. – Jenny, gdy była mała, katowała mnie tym co święta. Setkami wariantów. I tam też były opowieści...

– Tak, wiem – przerwał mu Gabriel. – Sprawdzaleś, co u niej?

Michał odwrócił wzrok.

– Polecilem to sprawdzić. Sam ją odwiedzę, gdy już ustalimy tutaj co i jak.

Gabriel położył mu rękę na ramieniu.

– Zrobisz, jak uważasz. Ja tylko przypominam, że to dla ciebie ważne. Czasem zdarza ci się zapomnieć. Chodź.

Wyszli z kwater i ruszyli oświetlonym korytarzem. Po chwili z sali konferencyjnej na jego końcu dobiegł ich gwar i podniesione głosy. W pewnym momencie na zewnątrz wyszedł jeden z oficerów, cherubin w stopniu centuriona. Gdy dostrzegł archaniola, zatrzymał się i zasalutował. Michał odpowiedział niedbałym gestem.

– Wszyscy już są? – zapytał.

– Wszyscy, wodzu – odparł tamten.

– Świetnie. Powiedz im, że wkrótce do was dołączę.

Cherubin na moment uciekł wzrokiem na bok, po czym odchrząknął. Michał nie cierpiał, gdy tak się zachowywali.

– Pytaj, o co masz pytać – warknął.

Centurion jeszcze raz odchrząknął, po czym uderzył się pięścią w pierś.

– To prawda, panie? O tych pieśniach Lucyfera?

– Pieśniach Lucyfera?

– Otrzymaliśmy raporty, panie, między innymi w temacie Stróży, ale i ostatnich sytuacji na Ziemi. I są tam różne niepokojące doniesienia. Na przykład to, że Lucyfer zdobył skądś próbkę głosu Metatrona, w jakiś sposób ją przetworzył i teraz wyśpiewuje własną armię aniołów. I jeszcze, że może każdemu już istniejącemu dośpiewać zwrotkę i wtedy...

– Wystarczy – przerwał mu Michał. – Ostatnie, czego nam teraz trzeba, to mnożenie niepokojów. Zrozumiano?

Cherubin ponownie zasalutował.

– Tak jest, wodzu. Wracam do analizy danych. Będziemy przygotowani na odprawę.

– Świetnie.

Michał przyjął trzeci salut i poczekał, aż tamten wróci do sali, po czym zwrócił się do Gabriela:

– Oni nie powinni być teraz razem. Nie przed odprawą, bo myślą o rozwiązaniach, nie mając pełnego obrazu. Zwykle robię tak, że...

– Trzymasz ich oddzielnie do rozmówienia się z nimi. – Gabriel skinął głową. – Popeliłem błąd, przepraszam. Zaraz wydam odpowiednie polecenia, żeby rozesłano ich do kwater, puszczone relaksacyjną muzykę. Wezwiemy ich, gdy już usłyszysz ostatnią opowieść. Ale musimy się pośpieszyć.

– Dokąd my właściwie teraz idziemy? – zapytał Michał. – I kto zaserwuje mi ostatnią część opowieści? Te dwa greckie blazny? A może Zadra już się pozbierał?

– Do Bachusa i Erosa wpuszczać cię nie zamierzam, bo choć odegrali w tym wszystkim znaczącą rolę, to irytują nawet mnie, a co dopiero ciebie. Zresztą o tej kluczowej sprawie opowiadają bardzo chaotycznie. Zadra natomiast ciągle pracuje z Rafaelem nad namierzeniem Butcha. Podobno robią postępy, a sam przyznasz, że dowiedzenie się, gdzie jest teraz nasz Tytus Pullo, to priorytet.

– Co na pewno przyznam, to że stanowczo za dużo czasu spędzałeś z Lokim. Naprawdę zaczynasz mówić jak on. Te wszystkie filmowe nawiązania... Może po prostu sam mi opowiedz, skoro już wiesz?

Gabriel pokręcił głową.

– Wtedy stracimy szansę, że zauważysz albo usłyszysz coś, co ja przeoczyłem – odparł. – Nie, bracie, musisz usłyszeć to wszystko ze źródła. Tylko zanim to nastąpi, musimy coś sobie ustalić, Michale. W tym momencie nie ma już czasu na błędy. Ja nie mogę dłużej sprawdzać, czy dasz radę się opanować, rozumiesz? Dlatego teraz nieważne, co usłyszysz, nie wolno...

– Idziemy do Kłamcy, tak? – przerwał mu Michał. – Uznałeś, że jednak jestem godzien?

– Uznałem, że najwyższa pora.



W tej sali nie było stołu, były natomiast dwa krzesła. Na jednym siedział Loki, na drugim – pluszowy miś. Nie rozmawiali ze sobą, tylko obaj wpatrywali się w ścianę. Gdy ta poruszyła się, ujawniając drzwi, Loki wyszczerzył się w głupim uśmiechu.

– Mówiłem ci, że w końcu się zjawi, głupi miśku. Przeżyliśmy razem to i owo, a towarzyszy broni...

– Nie jesteś moim towarzyszem broni! – zagrmiał archanioł Michał.

Loki machnął ręką.

– E tam, gadanie takie. Nie słuchaj go, misiek. Myślisz, że leciałby tu do nas z nie wiadomo skąd, gdyby się o nas nie martwił? Tak robią tylko najlepsi przyjaciele.

Michał podszedł do krzeseł i strącił pluszaka na podłogę. Usiadł.

Loki pokręcił głową, patrząc na Kłamczucha.

– No i spójrz, do tego zazdrosny. Spokojnie, Michale. W moim sercu jest miejsce na wielu przyjaciół. Jest naprawdę dużo...

– Zamknij się – warknął Michał. – Obiecałem Gabrielowi, że nie zrobię ci krzywdy, ale jeśli będziesz mnie prowokował...

Loki zerknął na stojącego w progu Gabriela, wygiął usta w podkówkę i pokiwał głową.

– Też znam paru takich. Najpierw obiecują, potem stawiają dodatkowe warunki tylko po to, by nie dotrzymać słowa. Nie wierz mu, kochanieńki. Uciekaj, póki mo...

Ostatnie słowo utknęło mu w gardle, gdy dłoń Michała wystrzeliła i zacisnęła się wokół szyi Kłamcy. Druga ręka archaniola uniosła się na znak, że panuje nad sytuacją. Na dowód pokazał Gabrielowi twarz, na której tatuaż ledwie się tlił.

– Nie jestem w tak szampańskim nastroju jak ty, Kłamco – powiedział, znów zwracając się do Lokiego. – Bardzo mi do niego daleko. I zakładałam że trzecia historia też nie poprawi mi humoru, prawda? Mrugnij, jeśli się zgadzasz. Nie jednym okiem, dwoma!

Kłamca wykonał polecenie.

– Dlatego teraz cię puszcza, a ty opowiesz mi, dlaczego tu jesteś i na czym polegała operacja „Straszliwy brzydał”. Opowiesz tę historię i żadnej innej, rozumiesz? Chyba że sam zapytam.

Cofnął dłoń i pozwolił się Kłamcy wykaszleć. Następnie wstał i posadził na swoim krześle pluszowego misia. Podszedł do Gabriela.

– Widzisz? Potrafię być grzeczny i opanowany.

Kłamca tymczasem opanował kaszel, rozmasował gardło i przetarł załzawione oczy.

– No dobra – powiedział. – Zacznę od pytania. Czy słyszałeś kiedyś o Shorouki?

Michał zmrużył oczy i przechylił głowę.

– To jakieś ludzkie plemię, tak?

– Owszem. Ich legenda głosi, że gdy Lucyfer zstąpił na Ziemię wygnany z niebios, trafił właśnie na ich tereny. Próbował ich sobie podporządkować, a oni w odwecie wymordowali wielu Upadłych. I poprzysięgli, że walka z aniołami będzie misją ich ludu do dnia, gdy braknie Shorouki albo aniołów.

Michał zerknął na Gabriela.

– Było w aktach – odparł tamten. – Szczegółowo.

Michał westchnął, spojrzał na Lokiego i spytał:

– Co oni mają do tego, co się aktualnie dzieje?

Kłamca przeciągnął się, łypnął na pluszowego misia i założył nogę na nogę.

– Być może całkiem sporo.

STRASZLIWY BRZYDAL

Wiara Ivonne Blachovich została wystawiona na prawdziwą próbę, gdy Jezus wrył się przed nią do kolejki w Walmarcie. I nie było tu mowy o pomyłce ani zwykłym, przypadkowym podobieństwie. Długowłose brunet o pociągłej twarzy porośniętej wypielęgowanym zarostem, wielkich, niebieskich oczach i ustach z pełną dolną wargą wyglądał identycznie jak ten, który spoglądał z obrazka na małą Ivonne, gdy ta odwiedzała dziadków w Polsce.

Jedyna różnica polegała na tym, że tamtemu – zgodnie z napisem na obrazku i przekazem wpojonym przez rodziców – ufała. A ten tutaj był ubrany w brudny szlafrok, a w wypełnionym po brzegi wózku miał osiem wielkich butelek wódki, dwa kartony żurawinowego soku, superkwaśne żelki, zgrzewkę mleka, osiem paczek pieluch w różnych rozmiarach, a także trzy pistolety, dwa sztucery, karabin i pięć paczek amunicji.

– Dziękuję wam wszystkim, dobrzy ludzie – szeroko uśmiechnięty zwrócił się do tych, przed których się wcisnął. – Pamiętajcie, że wszyscy macie zaproszenie do domu mego, gdzie jest mieszkań wiele.

Ivonne zauważyła przypięty do jego szlafroka wielki znaczek z hasłem, które od niedawna przybierało na wartości: „Make America great again”. Odbijające się od niego światło rozszczepiało się na dwie wiązki – niebieską i czerwoną.

Zupełnie jak kolory dwóch wiodących amerykańskich partii, pomyślała. Albo jak na tym świętym obrazku w domu dziadków.

Przymknęła oczy. Policzyła do dziesięciu, do każdej cyfry dodając „Missisipi”. Przed nią w kolejce było dziewięć osób, a Jezus wciął się przed osiem z nich. Większość tych ludzi stanowili Rdzenni z pobliskich rezerwatów, którzy raczej nie pałali miłością

do wartości płynących ze znaczka, więc chyba tym bardziej to oni powinni zareagować. I może lepiej, żeby nie była to kobieta, w dodatku taka, która była w Montanie pierwszy dzień, trafiła tu właśnie na zsyłkę z Nowego Jorku i miała w kieszeni legitymację FBI.

Nie musisz się wtrącać, powtarzała sobie. Wręcz nie powinnaś. Jesteś tu tylko cholernym przejazdem, a ci luzie najwyraźniej się na to godzą. To by było...

– Ej, jakie dziękuję?! – usłyszała nagle swój własny głos, tyle że nie był to ten, którego używała na co dzień, a ten drugi, starszy. Ten, który jak nic był dwie tury w Wietnamie, dwie w Iraku, przeżył reformy Reagana, pił zgrzewkę Buda w trakcie oglądania meczu i miał na zderzaku naklejkę: „Czujesz, że masz dziś szczęście, śmieciu?”.

Ten cholerny głos, spadek po dziadku Hanku, który wyciszany latami terapii – głos, nie dziadek – nagle przypomniał o sobie miesiąc temu i zwyzywał agenta Lestera. Potem jeszcze zgadał się z kumplami, panem Łokciem i panem Kolanem, i tak we trzech poszli uzmysłwić przełożonemu Blachovich, że molestowanie agentek nie należało do jego najlepszych pomysłów.

Była to interwencja, która mało nie zakończyła się dla niej dyscyplinarką. Ostatecznie stanęło na zesłaniu jej z Nowego Jorku do czyśca w Montanie.

Wychodziło na to, że przebudzonemu głosowi było mało kłopotów, jakich jej narobił, bo teraz zapragnął jeszcze pokłócić się z Jezusem.

– Żadne „wynagrodzi” i żadne „dziękuję” – powiedział jej ustami. – Wypierdajaj, facet, na koniec kolejki.

Rzeczona kolejka zamruczała, ale na tyle niewyraźnie, że trudno było orzec, po której stronie się opowiada. Na razie tylko dała znać, że ten spektakl ma widzów.

Jezus przyjrzał się Ivonne z wciąż niegasnącym uśmiechem, po czym cofnął swój wózek. Puścił uchwyt, unosząc ręce, jakby się poddawał, i zrobił dwa kroki do tyłu.

– Tu, w Montanie, nie używamy tak brzydkich słów, proszę pani – powiedział. – Tu mieszkają sami bogobojni ludzie, którzy pamiętając o paskudnej historii, pomagają sobie, są dla siebie mili i stronią od przemocy. Również tej słownej.

Gdy Ivonne usłyszała reakcję na te słowa, straciła resztki wątpliwości, po której stronie stanęła kolejka. Zaraz potem ktoś wciągnął wózek Jezusa z powrotem do kolejki, a długowłosa brunet posłał agentce zakłopotane spojrzenie, rozkładając przy tym ręce na znak, że nic nie poradzi.

Blachovich zmeła kolejne przekleństwo, postawiła trzymany koszyk na podłodze i wyszła. Ktoś za nią krzyknął. Nie było to miłe, więc ten drugi głos szybko obmyślił na te słowa piękną, piętrową ripostę zawierającą w raptem trzech słowach interesujące nawiązania do genetyki, genealogii, kobiecej anatomii i skomplikowanej historii seksworkingu. Ostatecznie jej nie wypowiedziała, bo uznała, że nie ma sensu w to brnąć. Za trzy, góra cztery godziny będzie w stolicy stanu, a po drodze znajdzie jeszcze kilkanaście miejsc, gdzie będzie mogła się zatrzymać i zrobić zakupy. Potem trafi do nowej, służbowej klitki, którą nie wiadomo jak długo będzie musiała nazywać mieszkaniem, położy się na łóżku z kubelkiem lodów, połączy z Oliverem i wspólnie, choć na odległość, obejrzą po raz nie wiadomo który Ludzi honoru albo jakiś głupi horror. Oliver był stereotypowym gejem, niemal jak z serialu z lat dziewięćdziesiątych, ale umiał stawiać granice i komedie romantyczne były jedną z nich.

Nagle poczuła się nieswojo. Zatrzymała się i rozejrzała, mając nieprzyjemne wrażenie, że czuje na sobie czyjeś świdrujące spojrzenie. Odruchowo sięgnęła do biodra, gdzie zwykle miała przypiętą kaburę, ale w połowie tego ruchu zorientowała się, że

przecież nie ma broni, a na parkingu wokoło nie ma absolutnie nikogo. Tylko mały, pluszowy miś patrzył na nią czarnymi koralikami oczu z kokpitu pobliskiego sfatygowanego pick-upa.

Wsiadła do swojej toyoty, zapięła pas i wpięła telefon w uchwyt. Odświeżyła nawigację, po czym wyjechała z parkingu na główną drogę. Już prawie zdążyła zapomnieć o Jezusie w walmartowej kolejce, gdy nagle zobaczyła tabliczkę pożegnalną:

Opuszczasz Bethlehem, Montana. Mamy nadzieję, że do nas wrócisz.



Oliver, jak zawsze niezauważony, przeszedł przez kuchnię i przekręcił kurek z gazem pod bulgoczącym garnkiem. Zrobił to w samą porę, bo kipiąca zupa dawno zgasiła płomień i w powietrzu czuć już było charakterystyczną woń niecierpliwego wyczekiwania pierwszej iskry. Właściwie niewiele było trzeba, by gaz poniósł się ze ślepej kuchni dalej, w głąb ciemnego mieszkania o pozamykanych oknach i do łazienki, gdzie w wannie spał właśnie wykończony ostatnimi dniami Wiktor Blachovich. Dziesięć minut temu Oliver wszedł tam do niego, a gdy zobaczył, że gospodarz śpi, wsadził rękę do wody i wyjął korek. Teraz ponownie przeciął mieszkanie i uchylił okna, mając w pamięci, by je zamknąć, gdy tylko usłyszysz z łazienki odgłosy przebudzenia.

Akurat uchyłał balkon, gdy zadzwoniła Ivonne. Jak zwykle łączyła się przez WhatsApp, a jemu wyświetliło się jej zdjęcie z dzieciństwa. Rozpikselowany fragment fotografii, którą zrobił dla niego kolega, gdy Oliver przeprowadzał małych Wiktora i Ivonne przez kładkę nad strumieniem jak na słynnym obrazku wiszącym w wielu domach.

Bo tak naprawdę, wbrew temu, co myślała o nim Ivonne, Oliver nie był jej przyjacielem gejem. Był Aniołem Stróżem, ostatnim wciąż jeszcze przydzielonym do rodziny Blachovichów.

Z zawodowego punktu widzenia była to rodzina z jednej strony wymarzona, a z drugiej – wyjątkowo trudna. Na plus przemawiały szczerą, choć w przypadku Ivonne mocno zmodernizowana pobożność, regularne modlitwy i prawdziwa chęć czynienia dobra. Na minus – praca zawodowa rodzeństwa Blachovichów. Wiktor służył w policji w Miami, gdzie wielokrotnie działał pod przykrywką. Skutecznie, a więc narażając się narkotykowym watażkom, a nawet baronom. Pyskata Ivonne zaliczała wzloty i upadki w FBI, również nie stroniąc od niebezpiecznych misji.

Jeszcze przed redukcją anielskich etatów Blachovichom przysługiwała dwójka aniołów – to dlatego miał kto zrobić zdjęcie na kładce. Obecny przykaz mówił o jednym na rodzinę i Stróż sam musiał dokonywać wyboru, z kim w danym momencie trzymać i na kogo bardziej uważać. Tu oczywistym wyborem był Wiktor, który tylko w ostatnich trzech latach uszedł śmierci siedemdziesiąt trzy razy. Ale pozostawianie Ivonne samej sobie bez żadnej kontroli też nie wydawało się dobrym pomysłem.

Z pomocą przyszedł Oliverowi Loki, nordycki bóg oszustów, osławiony cyngiel Michała i Gabriela, który narajony przez ich wspólnego znajomego, anioła Jeffersona, za trzy pióra zgodził się udzielić Stróżowi złotej porady.

– Nie musisz ciągle sprawdzać, co u niej – powiedział wtedy, żując rozmemlaną wykałaczkę – Jak to dobrze rozegrasz, sama ci wszystko powie.

Tak właśnie zrodził się Oliver Cumming: niespełniony zawodowo, ale mimo wszystko pogodny aktor off-broadwayowy, przyjaciel i powiernik Ivonne na każdej jej życiowej ścieżce. Co było najbardziej zaskakujące, Oliver, w swej anielskiej naturze niezdolny do mówienia nieprawdy, nie musiał ani razu kłamać,

gdy budował tę postać. Loki wytłumaczył mu to bardzo szczegółowo:

– Ludzie opowiadają sobie historię sami według utartych schematów. Ty tylko zostawiasz wskazówki. Zaczyniesz się ruszać i mówić w odpowiedni sposób, nie spróbujesz zaciągnąć do łóżka, za to zainteresujesz się kolorem sukienki? Cyk, lądujesz w odpowiedniej szufladce. Gdy zaczniesz za bardzo wpadać w schemat, rzucisz coś na przełamanie, na przykład niechęć do komedii romantycznych czy musicali. Praca? Chcesz być aktorem teatralnym? Opowiadaj nieswoje anegdoty. Wystarczy kilka opowieści zza kulis, w których ani razu nawet nie musisz napomykać, że dotyczą ciebie albo chociaż byłeś ich świadkiem. Zapytany, co u ciebie, odpowiadaj prawdę, ale ogólnikami. Pilnuj też, żeby samemu mówić to, co chcesz powiedzieć. No i słuchaj jej, bo przecież po to właśnie to wszystko robisz. Żeby dzwoniła do ciebie z każdym problemem. Dzięki temu, dzięki jej szczerości, ocenisz powagę sytuacji bez osobistej obecności i sprawdzania.

Czy Oliverowi było dobrze z tym, że musi tak kombinować? Z początku ani trochę. Potem dostrzegł jednak, że rozwiązanie się sprawdza, i uznał je za mniejsze zło. A ostatecznie naprawdę się z Ivonne zaprzyjaźnił.

Teraz spojrzał na wciąż wibrujący telefon. Napisał szybko, że zaraz oddzwoni, po czym upewniwszy się, że w mieszkaniu nie ma już żadnych dodatkowych zagrożeń, przymknął okno i wyszedł przed dom. Włożył słuchawki do uszu, odchrząknął, oddzwonił.

– No co tam, złociutka? Jak twoje nowe, piękne gniazdko? – zapytał.

Odpowiedziała mu długą pauzą dezaprobaty, którą zniósł dzielnie, świadom, że właśnie dotknął drażliwego miejsca. W ciszy przeszedł na drugą stronę ulicy i rozsiadł się na ławce w parku. Miał stąd świetny widok na okna mieszkania Wiktora.

– Pokłóciłam się dziś z Jezusem – powiedziała w końcu.

Oliver przewrócił oczami. Nie lubił takich żartów z oczywistych względów, ale nie miał specjalnie pomysłu, jak się im przeciwstawiać, pozostając w roli. Uznał więc, że potraktuje te słowa neutralnie.

– Masz na myśli kogoś, kto tylko wygląda jak Jezus, prawda? A nie, że złorzeczyłaś w stronę nieba?

Westchnęła.

– Tak, Ollie. Mam na myśli kogoś, kto wygląda jak Jezus. Gdyby tylko Jezus nosił brudny szlafrok, pił wódkę i głośował na Trumpa.

– Jezus nie głośował na nikogo, rybeńko, bo nie żył w demokracji. I zanim powiesz, że ty też nie, przypominam, że jesteś agentką federalną i nie powinnaś szkalować własnego rządu, używając do tego urzędu, o którym wiadomo, że z dużą dozą prawdopodobieństwa jest na stałym nasłuchu. O co się z nim pokłóciłaś? Swoją drogą, sądząc z twojego boleśnie krótkiego opisu, on wyglądał bardziej jak Dude Lebowski niż Jezus.

– Nieważne, jak wyglądał. Wpieprzył się w kolejkę. Z całym wielkim wózkiem, a w nim miał właśnie wódkę, a do tego spluwy i pieluchy. Myślisz, że to jakaś składkowa impreza? Ostatni grill? Magdalena przychodzi ze stadkiem nieślubnych dzieciaków, niewierny Tomasz palcem sprawdza steki i burgery, Piotr ryby, a Judasz kaptury Ku Klux Klanu?

Urwała, a Oliver westchnął ciężko. Wiedział, że Ivonne nie bluźniłaby dla samego bluźnienia. Coś się za tym kryło.

– Naprawdę aż tak cię wkurzył wepchnięciem ci się w kolejkę? – upewnił się. – To w takim razie dlaczego nic z tym nie zrobiłaś? Zwykle nie odpuszczasz takich rzeczy.

– Zrobiłam – odparła. – Przecież od tego zaczęłam, tak? Że się z nim pokłóciłam. Kazałam mu się wynosić na koniec, ale wtedy jakoś wszyscy stanęli po jego stronie. Wszyscy, rozumiesz? Rdzenni, matki z dziećmi, staruszkowie. Po stronie typu, który wcina się przed nich wszystkich z wodą i spluwami. I to nie tak, że

się go bali. Oni szczerze wyglądali, jakby byli po jego stronie! Montana to cholerny stan umysłu. A jeszcze wiesz, jak się nazywało to miasteczko? Bethlehem! No mówię ci, śmiechom nie było końca.

Oliver dostrzegł w oknie sylwetkę Wiktora. Mężczyzna otworzył okno i przez chwilę patrzył na okolicę wsparty dłońmi o parapet. Pewnie zaraz pójdzie do kuchni i jeszcze raz nastawi zupe. Za godzinę miał spotkanie i anioł musiał jeszcze rozważyć, jak sprawić, żeby policjant zdecydował się na Ubera. Nawet pomimo tej krótkiej drzemki wciąż był zbyt przemęczony, by prowadzić.

– Ale jesteś już na miejscu, tak? W swoim nowym mieszkaniu?

– Duże słowo – odpowiedziała Ivonne. – Zdecydowanie większe niż ta klitka. Ale tak, jestem na miejscu. Choć chyba odpuszczę dziś film. Zmęczyła mnie jakoś ta droga, marzę tylko o prysznicu i łóżku.

– Myślę, że Tom Cruise poczeka jeden dzień, by dowiedzieć się, czy jest w stanie znieść prawdę – odparł Oliver. – Śpij zatem dobrze i powodzenia jutro. Koniecznie zadzwoń.

– Jasne, pa.

Rozłączyli się i anioł wstał z ławki. Czuł jakiś dziwny niepokój, choć nie umiał go nazwać ani określić jego przyczyny. Rzec w tym, że przenosiny Ivonne do Montany wiązały się z drugą przysługą, o którą Oliver poprosił Lokiego.

Po sporej aferze, i to rozpętanej w dość spektakularny sposób, agentce groziło zwolnienie, więc trzeba było coś na to zaradzić, a anioł nie miał żadnego pomysłu. Kłamca zainkasował cztery pióra i wysłał do tej akcji współpracowników, z których jeden był chyba Bogiem Wina, a drugi Miłości. Pokręcili się, zrobili rzeczy, o których Oliver wolał nie wiedzieć, i nagle pojawiły się opcje czasowej zsyłki. Z trzech zaproponowanych stanów Montana wydawała się najbezpieczniejsza. Bo co może mieć do roboty agentka federalna w Montanie?

Mimo to bardzo chciał tam polecieć, sprawdzić wszystko, upewnić się, czy faktycznie nie ma się czego obawiać. I był zły na Wiktora, że angażuje go aż do tego stopnia.



Jason Tromville spryskał jedna po drugiej trzy płócienne koszule, po czym starannie rozwiesił je na sznurze. To samo zrobił z dwoma identycznymi parami spodni, które przydzielono mu w pierwszym tygodniu po przyjeździe. Dostał od razu dwie pary, nie jedną, jak część nowicjuszy, bo On powiedział, że pokłada w nim wielkie nadzieje. Jason wiedział, że to nie były czcze słowa, bo to nie był jego pierwszy guru ani pierwsza sekta. W zasadzie to poniekąd był w tej dziedzinie ekspertem.

Gdy miał zaledwie szesnaście lat, dołączył do Striptizerek Dnia Siódmego głoszących z przekonaniem, że na osobnej tablicy Mojżeszowej było kilkanaście porad, jak dzień święty święcić, i kluby go-go były tam na pierwszym miejscu. Niestety dość szybko okazało się, że sekta tak naprawdę sprowadzała się do tego, że pracowałeś przez cały tydzień w tartaku, a twoją nagrodą była niedzielna wizyta w klubie z kuponem na dwa tanie drinki i bez opcji lap dance. W dodatku wielka rodzina Striptizerek Dnia Siódmego składała się właściwie wyłącznie z pryszczatych podrostków i grubych tatuśków pod pięćdziesiątkę, bo dziewczyny, które jeździły na motocyklach, były modelkami zatrudnionymi do werbunku. Wtedy guru nazywał się Bob. Też mówił, że Jason jest wyjątkowy, ale nigdy nic za tym nie szło.

Drugą sektą była Rodzina Wiewiórki Tosi stworzona przez znudzone matki z przedmieść, które zgadzały się pewnego dnia w parku podczas pilnowania maluchów i zaczęły wspólnie działać.

Długo właściwie nikt nie myślał o nich, że to sekta – ot, koło gospodyń. Aż któregoś dnia po lokalnym festynie organizowanym przez Wiewiórki z okazji Dnia Weterana reporter regionalnej gazetki podążył za nimi do domu założycielki Rodziny, Samantha Stu.

Na fotografii, którą wtedy zrobił – i za którą sekta zabiła mu kota, a potem zostawiła truchło, by jego pies się w nim wytarzał – dwadzieścia trzy kobiety i sześciu mężczyzn oddawało się seksualnym uciechom, tarzając w jabłkowych i porzeczkowych plackach niesprzedanych podczas festynu. Wszystko to pod bacznym spojrzeniem wiewiórki Tosi zrobionej przez dzieci na zajęciach z papier mâché.

W obliczu tych dwóch trzecia sekta Jasona, zwana od swej siedziby Bractwem Willowville, wydawała się zupełnie klasyczna. Charyzmatyczny przywódca, uległe mu młode dziewczyny i faceci, którzy na to wszystko pracowali. Tak było do czasu, gdy dołączył do nich Edgar Loompy, wyszczekany, magnetyczny telekasznodzieja, który zjadł serce dotychczasowego guru przekonany, że dzięki temu urośnie mu penis. Nie urosł, ale Edgar i tak został nowym liderem, a w rocznicę przewrotu członkowie sekty kupili mu z Internetu specjalną pompkę powiększającą i kartkę w kształcie serduszka.

Potem poszło już z górki: trzy kolejne będące podstawą piramid finansowych, siedem ruchów religijnych, cztery w inny sposób ideologiczne, dwa kościoły przygotowujące do walki z kosmitami, jeden „gdyby Mad Max okazał się prawdą”, wyznawcy Neo z Matrixa i Klub, Którego Nazwy Nie Można Wymawiać, gromadzący jednocześnie psychofanów Harry’ego Pottera i Fight Clubu. Jason do dziś pamiętał zasady tego ostatniego: „Walczymy bez butów, bez koszul i bez Avada Kedavra”; „Tiara Przydziału decyduje, kto z kim walczy” i wreszcie „nieważne, z którego jesteś

domu, jaką masz bliźnię i z czego różdżkę – w swoją pierwszą noc w Klubie musisz się bić”.

Dziś Jason miał pięćdziesiąt dwa lata i wiedział, że ruchy może różnić wszystko, ale nie ich codzienny dryl. Dbaj o swoją odzież, pilnuj pracy i posiłków, mało mów, dużo słuchaj i nie kwestionuj głosów tych, co nad tobą, nieważne, czy istnieją, czy nie – w ten sposób zawsze będziesz zadowolony, a po śmierci to nawet podobno szczęśliwy.

Trzymał się tych zasad, dlatego teraz wstał jako pierwszy i korzystając ze spokoju na farmie, załatwiał spryskiwaczem prowizoryczne prasowanie wypranej odzieży. Mocno przy tym pilnował, by nie przekroczyć swojego miejsca na sznurze wyznaczonego z obu stron czerwonymi nitkami.

Kończył właśnie, gdy zorientował się, że ktoś na niego patrzy. Przymknął oczy, uspokoił oddech, pociągnął nosem. Poczłł słodki zapach zgnilizny nieudolnie maskowany old spice'em.

– Lucy, Garry, Ronald? To wy? – zapytał.

Usłyszał serię cichych westchnień i szelest dochodzący z pobliskich krzaków. Potrząsnął głową, otworzył oczy i się odwrócił.

– Wyłazić, ale już!

Krzaki przestały się trząść i na minutę albo dwie zapanowała cisza. Potem ktoś w chaszczach kichnął, a później jęknął, zapewne uderzony z płaskacza w tył głowy.

– Au, no co?!

– Jajco, zawsze musisz kichać?

– No mówiłem ci, że jestem uczulony na koty, tak? A już zwłaszcza martwe. To mi nie trzeba było pod nos podpychać.

Jason wziął się pod boki i czekał. W końcu krzaki skapitulowały i wypuściły trójkę maluchów. Idąca w środku Lucy niosła w rękach niewielkie pudełko. Dzieci stanęły w szeregu równo, jakby to

ćwiczyły, i opuściły głowy. Jason pociągnął nosem i się skrzywił. Stali z wiatrem, a to znaczyło, że trupi odór niesie się na pranie.

– Gdzie z tym szłście, co? – zapytał, głową wskazując na pudełko.

Lucy popatrzyła na kolegów.

– No zakopać. Mr. Auć nie żyje, proszę pana.

– To nie było gdzie bliżej kopać, u siebie? Tylko musicie u nas?

Dzieciaki jeszcze mocniej wbiły wzrok w ziemię, Ronald wymruczał coś cicho.

– Co tam mamroczesz? – Jason zrobił krok w jego stronę, a chłopak momentalnie się cofnął. – Głośniej mów.

– Powiedział, że tylko u was jest cmentarz dla zwierząt – rzuciła Lucy – i tylko u was jest szansa, że Mr. Auć wróci.

Jason sapnął. Spodziewał się takiej odpowiedzi i w jakimś stopniu rozumiał te dzieciaki, ale jako gospodarz musiał pozostać w roli. Podeszedł bliżej i uniósł wieko pudełka. Skrzywił się, powstrzymując odruch wymiotny.

– Naprawdę chcielibyście, żeby wrócił? W takim stanie? – zdziwił się. – Zresztą to tylko bajka.

– Mama twierdzi, że wcale nie! – odszczeknął się grubasek Garry. – Mówi, że jak była mała, to ciągle tam nosili zwierzaki i one potem wracały! Że czuwały nad nimi dobre duchy!

Jason podrapał się po karku. Znał matkę chłopaka. Wszyscy w mieście ją znali.

– Twoja mama twierdziła też, że jak się urodziłeś, to przyszli do niej Elon Musk, Mark Zuckerberg i Bill Gates. I że trafili do was za jakąś gwiazdą.

– Nie jakąś, tylko za Jessem Tylerem Fergusonem, którego mama zna z dawnych czasów ze szkoły, długo zanim zagrał we Współczesnej rodzinie – wyjaśnił chłopak z rezygnacją właściwą komuś, kto musiał już wiele razy w przeszłości powtarzać to samo. – I gdyby to wszystko nie była prawda, to skąd mama

miałaby Facebooka premium, resoraka tesłę i pamiątkową dyskietkę z pierwszym Windowsem?

Tym razem nawet towarzysze Garry'ego zorientowali się, że ta dalsza dyskusja nie ma sensu. Lucy wystąpiła przed kolegę, wznosząc pudełko.

– To co, nie pozwoli nam pan zakopać Mr. Aucia na cmentarzu dla zwierząt?

– Przykro mi, dzieciaki, ale nie. A jeśli zrobicie to bez mojej zgody, to obiecuję, że go wykopię i wrzucę w worku do rzeki. Z kamieniami.

Dziewczynka zaczęła płakać.

– Jest pan paskudny – mruknęła, odwracając się. – Chodźcie, chłopaki.

Jason przesłonił ręką oczy, pozornie przed słońcem, ale tak naprawdę, by nie było widać, że jemu też łyzy cisną się do oczu. Nie lubił mówić takich rzeczy. Nie lubił być niemiły wobec dzieci.

– Właściwie to dlaczego im nie pozwoliłeś? – rozległ się od strony domku dobrze znany Jasonowi głos guru. – Nam by nie zaszkodziło, a przecież wiesz, że święta ziemia działa i oddałaby im tego sierściucha.

Wyglądał jak Jezus, gdyby tylko Jezus spinał włosy w koński ogon, nosił awiatory i żuł wykałaczkę. No i gdyby nosił zapięty na szacie pas z nabojami i rewolwerem. Nazywał się Lokstar Val Hallen i podobno, nim stał się mesjaszem, był całkiem popularnym muzykiem rockowym. Choć równie dobrze mogło to być po prostu ciało, którego używał najchętniej. Wszyscy w sekcji wiedzieli bowiem, że może przybierać dowolny wygląd i głos.

Teraz Jason spieszył się nieco. Lata doświadczeń nauczyły go wszystkiego prócz tej jednej kwestii – jak rozmawiać z przywódcą. Za każdym razem kompletnie go zatykało. Jak chociażby wtedy w Waco, gdy zamiast od razu poprosić o zgodę na wizytę u dentysty, cierpiał przez trzy tygodnie, a potem, gdy już naprawdę

musiał, ominęła go strzelanina, masakra i obiecane niebo. A z jakiegoś powodu Val Hallen upodobał sobie właśnie Jasona, by to od niego uzyskiwać informacje o tym, co się działo podczas jego licznych nieobecności.

– Dzień... to znaczy dobry. Dzień dobry, mistrzu – płatał się teraz, czym wywołał tylko rozbawienie na twarzy guru. – Nie wiedziałem, że już wróciłeś. A co do tych dzieciaków, to ten kot, on już był w strasznym stanie. I śmierdział. Poza tym wiesz, co tamto miejsce robi ze wskrzeszonymi. Jak ich zmienia. Chciałem im tego oszczędzić.

– To, czego im oszczędziłeś, Jasonie, to cennej lekcji, by uważali, o czym marzą – odparł guru. – Swoją drogą, pranie? To my nie zlecamy prania i prasowania tym amiszom zza rzeki?

Jason machnął ręką z rezygnacją.

– Trochę się zmieniło podczas twojej nieobecności, panie. A u nich to już w ogóle. Jakies dwa tygodnie temu Frank Waterloo, jeden z ich przywódców, był w mieście. Ponieważ nagle zaczęło lać, schował się w bibliotece. A tam trwało właśnie spotkanie dyskusyjnego klubu książki, na którym omawiano taką książkę, Opowieść podręcznej. Jeżeli nie wiesz, panie, to w tej powieści chodzi o to, że...

– Grupa starotestamentalnych świrów tworzy sobie państwo, w którym żyją według Biblii i mają specjalne służące w czerwonych płaszczykach robiące za inkubatory. Widziałem kilka odcinków serialu w samolocie.

– No właśnie. I ja nie wiem, czy ten ich przywódca był na całości spotkania, ale concept bardzo mu się spodobał. Jak się z nim spotkałem w sklepie z narzędziami, to mówił, że to może być świetny biznes, bo gdzieś czytał, że przez te małżeństwa bogatych gejów dzieci to teraz chodliwy towar na rynku, a kobiety u nich płodne. Więc kazał części dziewczyn u siebie zafarbować płaszcze

na czerwono i nosić białe czepki, a potem postawił granice wokół posesji i generalnie interesy z nimi są teraz raczej dziwne.

– No tak. – Val Hallen przejechał ręką po twarzy. – I mówisz, że to wszystko przez wizytę w bibliotece? Cholera, zawsze mówiłem, że książki szkodzą.

Jason nie odpowiedział. Lubił książki i cieszył się, że u nich w sekcie nie są zakazane. Nie chciał podsuwać mistrzowi złych pomysłów.

Lokstar Val Hallen wyjął nową wykałaczkę z pudełeczka i wsunął w zęby.

– Dobra, Jason, skoro już przy tej świętej ziemi byliśmy, to jak tam stoimy z przygotowaniami? Wszystko gotowe?

– Wszystko oprócz... no wiesz, panie, przesyłki.

– A no tak. – Lokstar westchnął. – Czyli jeszcze nie wrócili? Niedobrze, bo jutro mam spotkanie w tej sprawie.

– Nie, panie. Ale Zadra z nimi rozmawiał i upewnił się, że tym razem na pewno znaleźli właściwe miejsce.

– Oby. – Lokstar przerzucił wykałaczkę z jednego kącika ust do drugiego. – Oby.



– Pomyślałbyś dawniej – zagadnął Bachus, odstawiając łopatę i ocierając brudnym rękawem pot z czoła – znaczy jeszcze za czasów Olimpu, że przyjdzie ci nocą rozkopywać groby? I to jeszcze w takim celu?

Eros siedzący na pagórku ziemi i dojadający bagietkę machnął tylko ręką.

– Daj spokój. To akurat były czasy, gdy myślało się jedynie o tym, kogo wyrucha Zeus lub któryś z jego braci i jaką poczwarą będzie

nowy brat czy kuzyn. To ja już w sumie wolę kopać groby.

Bachus podrapał się po nosie, zostawiając na nim rozmazany ślad.

– Skoro o tym mowa, to w sumie możesz już złazić. – Wziął łopatę i postukał w ziemię. Metal uderzył o drewno. – Mamy to.

Eros wziął do ust ostatni kawałek kanapki, wytarł ręce w papierową chustkę i zeskoczył do dołu.

– Naprawdę mam nadzieję, że to jest to – stwierdził, przejmując łopatę. – Czwartego grobu już mi się rozkopywać nie chce.

– Co poradzisz. – Bóg Wina westchnął. – Gość zastrzelony w kiblu galerii handlowej, pochowany bez nazwiska. W innym kraju na świecie taki opis wystarczyłby do wytypowania miejsca w dwie minuty. Ale w Ameryce...

– Tak, zwykły wtorek, nie musisz mi mówić.

Eros odgarnął ziemię i spojrzał na zwykłą, prostą trumnę. Zamachnął się i z całej siły uderzył w drewno. Pękło z chrzęstem, ukazując błądą, ale idealnie zachowaną twarz.

Bogowie wymienili zadowolone spojżenia.

– No to mamy naszego pana aniołka, Loki się ucieszy. – Bachus wyjął z tylnej kieszeni spodni grube skórzane rękawiczki. – To teraz rozwalaj te dechy do końca, a ja odwalę brudną robotę. Gdzie jest to cholerne pudełko?



Siedziba Federalnego Biura Śledczego w Helenie w stanie Montana na pierwszy rzut oka wyglądała jak hurtownia papieru gdzieś w Pensylwanii. Duży open space pełen ludzi tak fascynująco brzydkich i intrygująco przeciętnych, że wyglądali na wziętych prosto z jakiegoś brytyjskiego serialu. Wszyscy oni pochylali się

nad przedpotopowymi komputerami i pracowali z takim przejęciem, jak gdyby właśnie wypuszczali kolejną misję w kosmos.

Wyjątek stanowiła stojąca właśnie przy automacie z kawą korpulentna Rdzenna, która całą swoją uwagę poświęcała nowoprzybyłej. Była tam, gdy Ivonne weszła, i stała teraz, gdy po blisko kwadransie opuściła gabinet swojego nowego przełożonego, Michaela Lee. Kobieta spod automatu mogła mieć około czterdziestu lat. Ubrana była w damski garnitur z bolo zamiast krawata, włosy nosiła obcięte na krótko i zaczesane na mokro do tyłu, trochę na włoskiego mafioza. Z lewego ucha zwisał jej kolczyk przedstawiający wilka wyjącego do księżyca. W dłoniach trzymała wielki kubek z wizerunkiem parującej filiżanki i napisem: Once you go black, you never go back, ale kremowe wąsy nad jej górną wargą świadczyły o tym, że albo nie zgadzała się z tymi słowami, albo jeszcze nie odważyła się rozpocząć swojego romansu z czystą niezmaczoną mlekiem czernią.

Gdy zorientowała się, że Ivonne ją widzi, uniosła lewą rękę i zamachała jak do dobrej znajomej. Blachovich nieco zaskoczona odpowiedziała podobnym gestem i ruszyła w stronę automatu. Rdzenna, widząc to, odstawiała kubek i sięgnęła po drugi. Podstawiła pod kurek i wcisnęła guzik. Maszyna warknęła, biorąc się za mielenie ziaren.

– Najlepsza rzecz w tej firmie – powiedziała, gdy Ivonne znalazła się już przy niej. – Gdybyśmy mieli takie komputery jak ten ekspres...

– To świat byłby lepszym miejscem? – podsunęła Blachovich.

– Nie, ale moglibyśmy urządzić w biurze turniej w Counter Strike’a. Emma Brock, ale wołają na mnie Nutka.

– Ivonne Blachovich, ale znam zasady i wiem, że przez jakiś czas po prostu Nowa – odpowiedziała Ivonne, przyjmując kubek z kawą, chyba cappuccino. Niespecjalnie się знаła na tych

wszystkich odmianach, a swój czarny pierwszy raz miała już dawno temu. – Ta Nutka to od tego, że ładnie śpiewasz?

– Raczej od rzekomej nutki szaleństwa, jaka, zdaniem niektórych, wkrada się czasem w moje działania. A także dlatego, że właściwa ksywka, którą chcieli mi nadać, nie przeszła ze względów rasowych.

Przysunęła się nieco bliżej, rozejrzała konspiracyjnie i powiedziała szeptem:

– Nigeria. Taki mieli na mnie pomysł. Ale ktoś stwierdził, że wystarczy, jak ktoś czegoś nie dosłyszysz, i zaraz będzie afera, że FBI używa n-word.

Ivonne zmarszczyła czoło.

– Ale dlaczego Nigeria? Pochodzisz stamtąd?

Nutka parsknęła i pokręciła głową. Przez chwilę zastanawiała się nad czymś, aż w końcu podjęła decyzję.

– Masz teraz chwilę? – zapytała. – Chodź, pokażę ci. W sumie i tak prędzej czy później się dowiesz.

Przeszły razem w głąb pomieszczenia, aż dotarły do niewielkiego korytarza prowadzącego do łazienek i kilku pomieszczeń gospodarczych. Na jednych drzwiach widniał jednak napis: „Agentka specjalna Emma Brock”. Nutka otworzyła je kartą, a Ivonne natychmiast poczuła bijący ze środka intensywny zapach ziół, skóry i palonego drewna. Zupełnie jakby wchodziła właśnie do wigwamu czy tipi, a nie do biura agentki FBI.

– Siądź na tym po lewej, bo w tym drugim psuje się kółko i trzeba wiedzieć jak, żeby sobie ryja nie rozbić – powiedziała Nutka, zamykając za sobą. Zajęła krzesło z zepsutym kółkiem, wybudziła komputer i odwróciła się do Ivonne. – Od razu ci powiem, że zrobiłam to z nudów. Tu generalnie niewiele się dzieje i człowiek aż sobie szuka zajęcia. Ale wydaje mi się, że przy okazji na coś trafiłam. Słyszałaś kiedyś o nigeryjskim przekręcie?

– Masz na myśli: „Piszę do pana jako pełnomocnik człowieka o tym samym nazwisku, który gdzieś daleko zostawił panu ogromny spadek?” – upewniła się Blachovich.

– Właśnie tak. – Nutka skinęła głową, po czym uśmiechnęła się tajemniczo. – Coraz mniej ludzi się na to nabiera, ale nadal w Stanach to numer wart co najmniej pół miliona rocznie.

– Tak, czytałam o tym jakiś raport. – Ivonne upiła kawy i przypomniawszy sobie wąs Nutki, otarła usta kantem dłoni. – Niestety ludzie bywają strasznie naiwni.

– To prawda, ale nie to jest w tym wszystkim najciekawsze. Spójrz tutaj. – Agentka uruchomiła arkusz kalkulacyjny zawierający nazwiska, kwoty i daty – Zrobiłam sobie takie wyliczenia. To są wszyscy, którzy zgłosili nabranie się na nigeryjski przekręt w ciągu ostatnich trzech lat. Z trzystu dwunastu osób skłonnych wpłacić od ośmiu do nawet piętnastu tysięcy dolarów, by opłacić koszty wymyślonego spadku, aż dziewięćdziesiąt sześć przeprowadziło się później, uwaga, uwaga, do Montany!

– O! Dziwny zbieg okoliczności.

Nutka prychnęła.

– Zbieg okoliczności, agentko, to jak idziesz się wyrzygać w przypadkowym barze i natrafiasz na swojego byłego, który z tęsknoty za tobą rucha tam twoją siostrę. To tutaj – wskazała na monitor – to bardzo konkretna prawidłowość. Zwłaszcza że ci ludzie nie przyjeżdżają tu mieszkać gdziekolwiek. Wybierają jedno konkretne miasteczko.

Brodą wskazała na ścianę za plecami Ivonne. Ta odwróciła się i na mapie stanu Montana dostrzegła miejscowość z wbitym weń chorągiewką. Podpis głosił: Bethlehem.



Wiktor Blachovich podciągnął nogawkę i zamocował na kostce kaburę zapasowej dwudziestki dwójki. Widząc to, Oliver westchnął i klepnął się w czoło.

– Kabura zapasowa nie do tych spodni – szepnął. – Przerabialiśmy to. Są za wąskie, będzie widać. Weź te lniane, niebieskie. Albo nie, bo trzeba by inną koszulę, a czysta jest tylko ta w kwiaty. To może jednak bojówki? Te kremowe, a do nich te nowe, jasnobrązowe buty za kostkę. Jak się zastanowić, nawet pasuje do twojej legendy.

Oczywiście anioł zdawał sobie sprawę, że Wiktor go nie słyszy i żadnej z tych porad nie weźmie sobie do serca. Żeby mogli ze sobą rozmawiać, Oliver musiałby się objawić i podobnie jak w przypadku Ivonne wejść w jakąś relację i udawać przyjaciela. Tyle że Wiktor był nieufny i na pewno nie wykorzystałby schematów, które pozwalały aniołowi nie kłamać wprost. Powiedział to zresztą sam Kłamca podczas tamtego spotkania:

– Jako gliniarz działający pod przykrywką z pewnością zna te wszystkie sztuczki, bo sam na tym bazuje – stwierdził, międląc w ustach tę cholerną wykałaczkę. – To jak syndrom złodzieja, puchacz. Kiedy już wiesz, jakie to łatwe, zaczynasz podejrzewać, że wszyscy wokół to robią. Kiedy nie wiesz... cóż, musisz płacić, by ktoś ci powiedział.

W przypadku Wiktora nie było więc opcji bezpośredniości. Oliverowi pozostawało działanie na otoczenie i wbijanie małych klinów w podświadomość. Dlatego teraz, gdy policjant przeszedł obok stolika, jego stróż oblał go resztką kawy.

– Kurwa! – warknął Blachovich w języku przodków.

Anioł skrzywił się na ten wulgaryzm, ale uznał, że wciąż było to lepsze niż źle zamocowana, dająca się zauważyć spluwa. Z wulgaryzmu na pewno się wypowiada.

Poczuł, że wibruje mu telefon. Wyjął go z kieszeni i zobaczył rozpixselowaną, małą Ivonne.

Westchnął. Nie rozumiał, jak to działa, że mógł być niewidzialny, mógł sprawiać, że jego przedmioty też takie były, ale już nie miał opcji rozmawiania przez telefon tak, by słyszał go tylko rozmówca. Na tej linii przebiegał jakiś brak styku między anielską mocą a nauką.

Szybko obliczył w głowie czas potrzebny Wiktorowi do wyjścia. Zmiana spodni, potem pewnie z kwadrans w łazience, bo policjant zawsze pilnował, by przed wyruszeniem w drogę mieć pusty pęcherz i kiszki. Dojazd na miejsce to co najmniej godzina w wieczornym korku, a Oliver nie przypuszczał, by coś wydarzyło się po drodze. Spotkanie może się opóźnić, ale raczej nie przyspieszy. Zresztą Oliver mógł się przecież przenosić na odcinkach drogi, obserwując samochód Wiktora z wysokości przydrożnych billboardów. Spowoduje to chwilowe gubienie sieci, ale zawsze jest taka opcja.

Westchnął, po czym zmaterializował się na dole, przy wejściu do piwnicy. Tam odebrał telefon i wyszedł przed budynek.

– No co tam, złociutka? – zapytał.

Głos, który usłyszał w odpowiedzi, nie brzmiał jak złoto. Raczej jak miedziana blacha. Czerwona i rozgrzana. Ivonne była wściekła.

– Rozmawiałeś z kimś?

– Z kim, kochana? O czym ty...

– O zajściu w Bethlehem, z Jezusem.

– Masz na myśli...

– Wiesz dobrze, co mam na myśli, Ollie! Tylko tobie mówiłam. Pytam, czy z kimś o tym rozmawiałeś.

– Z nikim, skarbie. Wiesz przecież, że twoje opowieści są u mnie bezpieczne. Powiesz mi wreszcie, co się stało?

Ivonne przez chwilę się nie odzywała. Oliver usłyszał, jak wsiada do auta, uruchamia je, a telefon przełącza się na zestaw głośnomówiący.

– W pracy przygotowali mi numer powitalny – powiedziała w końcu. – Próbowali mnie wkręcić, że to całe Bethlehem to miasto, gdzie zjeżdżają się ludzie nabrani na nigeryjskiego księcia.

– Ten przekręt mailowy?

– Właśnie ten. Numer znany na całym świecie, od dekad spamujący wszystkie maile ma rzekomo prowadzić do miejsca, gdzie dostałam zsyłkowy przydział. Ale to nie wszystko! Agentka, z którą spędziłam dziś większość służby, utrzymuje, że ma to związek z jakąś sektą, która tam powstała. I że na jej czele stoi krzyżówka Jezusa i Lebowskiego. Nadal nic nie dzwoni?

– Co ma dzwonić? – Oliver nie zrozumiał.

– Daj spokój, Big Lebowski to twój ulubiony film, Ollie. W naszej rozmowie przywołałeś Dude’a. Więc jeżeli postanowiłeś pomóc moim nowym kolegom i koleżankom wyciąć mi numer, to powiedzmy to sobie wprost: to było śmieszne przez godzinę, może dwie. Ale jest w ogóle śmieszne, jak muszę tam teraz jechać.

– Do Bethlehem? Po co?

– Na rekonesans w związku z tą niby-sektą od przekrętu. Właśnie dostałam delegację, jedziemy tam razem, jutro rano! Trzy godziny autem w jedną stronę, nocleg w Super8. Serio, Ollie, jeśli to jest żart, to ja naprawdę...

– To nie jest żart, złociutka, bo ja nic o tym nie wiem. Może po prostu zbieg okoliczności.

– Zbieg okoliczności to jest jak... Dobra, nieważne. Na pewno nie jest to jakiś głupi kawał? Mój wredny brat nie zadzwonił do ciebie, żeby wyciąć młodszej siostrze numer?

– Nigdy nas sobie nie przedstawiłaś – zauważył Oliver.

W takich chwilach był trochę rozczarowany sobą, że tak gładko już operuje półprawdami. Pretensja w jego głosie sugerowała, iż naprawdę wczuł się w odgrywanie postaci, która zdaniem jego przełożonych, zbyt dosłownie interpretujących zapisy Pisma, powinna zostać ukamieniovana za samo istnienie.

– A szkoda, bo to przystojniak – dodał po dwóch sekundach pauzy.

Ivonne się roześmiała i chyba wreszcie zeszły z niej trochę nerwy, co ucieszyło Olivera, bo wolałby, żeby jednak nie prowadziła w stanie wzburzenia.

– Dostałam dziś na zadanie domowe historię regionu wokół Bethlehem, bo są tam jakieś kwestie historyczne związane z przecinaniem się rezerwatów i parków. Trochę mi to zajmie, ale koło jedenastej możemy się umówić na film.

– Wstępnie tak, ale jak nie odbiorę, to znaczy, że jestem na spotkaniu.

– Uuu, Ollie! – ucieszyła się Blachovich. – Z facetem? Przystojnym?

– Tak i tak – odparł krótko.

– Fantastycznie! Coś przelotnego czy myślisz o nim poważnie?

Oliver westchnął. Kłamca ostrzegał go, że czasami pojawiają się takie pytania, po których domysł rozmówcy nie pójdzie w pożądaną stronę. To był właśnie taki przypadek. Niezależnie od udzielonej teraz odpowiedzi wygeneruje potem mnóstwo dodatkowych pytań.

– Tak – odparł. – Myślę o nim bardzo poważnie.

Gdy się rozłączyli, Oliver wrócił do mieszkania Wiktora. Korzystając z faktu, że ten jeszcze siedzi w łazience, zajrzał do jego komputera. W wyszukiwarce wpisał „Bethlehem, Montana”, a po namyśle dodał jeszcze dwa słowa: „Jezus” i „Lebowski”.

Na właściwy link, wiodący do strony lokalnej gazety, trafił za trzecim podejściem. Gdy artykuł się załadował, Oliver wybałuszył oczy.

– Na Trony i Zwierzchności – powiedział, przykładając ręce do ust.

Znał gębę patrzącą na niego ze zdjęcia, gębę Jezusa z Montany. Wszędzie rozpoznalby ten charakterystyczny sposób trzymania

wykałaczkach w zębach.



W Browning w stanie Montana, na zakręcie drogi osiemdziesiątej dziewiątej, znajduje się niewielka kawiarnia. Budynek stylizowany na tipi jest równie tandetny jak figurki na stacjach benzynowych, ale z jakiegoś powodu to właśnie tam serwowano najlepszą włoską kawę w całym stanie. Kto wie, może i wszędzie na północy na zachód od Chicago?

Oczywiście w takim miasteczku jak Browning mało było ludzi potrafiących to docenić, więc dla nich właściciel rozwałdzał napój, dodawał mleko, śmietankę, cukier, syrop orzechowy, waniliowy, karmel, bitą śmietanę i kandyzowaną wisienkę. Na początku jeszcze wymieniał te składniki jako opcjonalne, ale gdy kilka razy, wymieniwszy je wszystkie, w odpowiedzi usłyszał tylko „tak”, przestał się trudzić. Swoją bombową mieszankę nazwał Oppencaramel Latte i gdyby ktoś kiedykolwiek policzył, ilu mieszkańców rezerwatu umarło za jej sprawą, ani chybi wyszłoby więcej ofiar niż pod Wounded Knee.

Wódz Anthony Eagleclaw był jednym z tych kilku klientów, którzy cenili sobie prawdziwą, dobrze podaną kawę. Taką, jaką pijał regularnie we włoskiej dzielnicy w Nowym Jorku czy jakiej dane mu było zakosztować podczas tej jednej wizyty do Europy, gdy odwiedził Wenecję i Neapol. Dlatego ilekroć zdarzało mu się zawitać do Browning, wpadał na americano.

Siedział teraz na tarasie hotelu Overlock Resort and SPA, sącząc napój czarny i gorzki jak jego myśli. Wokół, przy trzech z sześciu stolików siedzieli jego ludzie – jedenastu roślących mężczyzn, wszyscy Rdzenni i uzbrojeni. Elita wojowników trzech szczepów,

nad którymi Eagleclaw sprawował pieczę i władzę jako Wódz Wodzów Montany. Jak by to powiedzieli Włosi? Capo di tutti capi?

Jak zwykle na rozmowach nie było z nimi nikogo z plemienia Shorouki, ale do tego Anthony już przywykł. Tajemniczy, milczący wojownicy z gór żyli po swojemu, w ukryciu, trzymali się swoich zasad. To, że zgodzili się formalnie przystąpić do paktu, by ten przemawiał także w ich imieniu, i tak było dowodem wielkiego zaufania. Ich przedstawiciele obiecali przyjechać i wziąć udział w rytuale, co świadczyło o tym, że traktują tę sprawę poważnie. Nic dziwnego, w końcu nazywano ich wybrańcami Kojota.

Eagleclaw spojrzał na drogi zegarek, a potem na słońce, by jeszcze precyzyjniej sprawdzić godzinę. Nie było wątpliwości – ten biały palant znowu się spóźniał. I tym razem już o niemal kwadrans. Anthony'emu nigdzie się nie śpieszyło, ale to była kwestia szacunku. Ech, gdyby tylko nie chodziło o coś tak kuszącego. Gdyby stawka tego spotkania była choć trochę mniejsza...

W końcu się zjawił. Przyjechał obłuczonym bordowym pick-upem, mając za towarzystwo chudzielca o wiecznie niedogolonej twarzy i czarnych, rozwichrzonych włosach oraz tego wielkiego, barczystego i z kwadratową szczęką, wyglądającego jak John Cena na planie filmu o komandosach. Tego drobnego nazywali Zadra, tego wielkiego – Butch. Obaj przyjeżdżali z białym palantem na zmianę z innym duetem, czyli eleganckim przystojniakiem i grubasem z czerwonym nosem.

I tamci byli gorsi, pomyślał wódz. Zwłaszcza ten gruby wkurzał Eagleclawa, bo uparł się na powtarzanie wyrażenia „woda ognista” i mówienie, że rdzenni to mają fart, bo nawet jak się upiją, to po nich nie widać, bo już są czerwoni. No ale uroki biznesu – ludziom mającym coś, czego potrzebujesz, musisz wybaczać więcej.

– Siema, wodzu! – zawołał biały palant, ruszając przez piaszczysty parking. Miał na sobie luźną lnianą koszulę, także spodnie i klapki, a na oczach wielkie okulary przeciwsłoneczne o pomarańczowych szklach. Długie blond włosy spisał w kucyk. – Długo czekasz?

Eagleclaw nie skomentował tych słów. Począł, aż tamten wejdzie na taras i podejdzie do stołu. Dopiero wtedy wstał i uściśnął wyciągniętą do siebie rękę. Wciąż trzymając dłoń palanta, obrócił ją lekko i uniósł, by zwrócić uwagę na ozdobne opaski na nadgarstku przybyłego.

– Wiesz, że to zawłaszczenie kulturowe, prawda? – zapytał.

Gość wzruszył ramionami, a potem spojrział na zegarek na lewym nadgarstku wodza i unosząc głowę, lekko pociągnął nosem.

– Pięknie pachnie ta kawa. Włoska, prawda?

Nie czekając na znak, odsunął sobie krzesło, usiadł i sięgnął do kubeczka po wykałaczkę. Chwilę podłubał nią w zębach, czekając, aż wódz zajmie swoje miejsce, po czym wcisnął ją w kącik ust i rozłożył ręce.

– Wygląda na to, że jesteśmy gotowi – powiedział. – Rozumiem, że od was też są już wszystkie delegacje? Bo jeśli tak, to nie musimy czekać do końca tygodnia. Możemy zaczynać pojutrze.

Wódz nie odpowiedział. Zmrużył oczy, zirytowany, że w pomarańczowych szklach widzi niemal wyłącznie swoje odbicie. Złożył ręce w piramidkę i zerknął na towarzyszy palanta. Nie zajęli miejsc przy wolnym stoliku. Zadra usiadł na balustradzie, Butch oparł się o nią plecami i zaplótł wielkie ręce na piersi. Obserwował w skupieniu, choć bez śladów zdenerwowania.

– Wiesz, co mnie cały czas zastanawia? – zapytał w końcu Eagleclaw. – Dlaczego w sklepach można legalnie kupić broń, ale wycofano z nich Kinder Niespodzianki?

Wódz zignorował tę uwagę.

– Od pierwszego naszego spotkania męczy mnie, dlaczego przybyłeś do nas pod takim właśnie nazwiskiem. Oczywiście jest dla mnie, że nie nazywałeś się Liefather, a ty wiesz dobrze, że dla nas nazwiska mają znaczenie. Dlaczego więc, chcąc robić z nami interesy, przedstawiasz się jako ojciec kłamstwa?

Biały palant uśmiechnął się półgębkiem.

– To ciekawe, że pytasz o to teraz, a nie właśnie na początku – zauważył. – Ale dobrze, wodzu, niech ci będzie. Po pierwsze, żeby się wyróżnić. Myślę, że biali, którzy przychodzili do was z wszelkimi propozycjami, najczęściej przedstawiali się jako te kryształ moralności. A wszyscy robili to wyłącznie po to, by was wyruchać i gdzieś potem to ruchanie spieniężyć. Więc ja postanowiłem zadziałać odwrotnie.

– Gdzieś kogoś wyruchałeś i przyszedłeś tu spieniężyć? – spróbował zakpić Eagleclaw, na co jego rozmówca uniósł ręce i wolno klasnął trzy razy.

– Brawo, wodzu. Wiesz, na czym polega odwrotność – rzucił. – Nic dziwnego, że koledzy wybrali cię przewodniczącym klasy. Tak, wyruchałem kogoś i teraz mam coś, co mogę sprzedać właśnie wam.

Wódz znowu nie odpowiedział. Zachęcił tylko gestem, by biały palant mówił dalej.

– Bo nadal po to tu jesteśmy, prawda? By przywrócić do życia Kojota, Wielkiego Ducha Kłamstwa i Opowieści, Przewodnika na Skróty Świata, Tego, który...

– Tak. – Eagleclaw rozejrzał się po tarasie, po czym pochylił nad stołem. – Tak, po to się tutaj spotykamy. Ale rady szczepów mają coraz więcej wątpliwości. Coraz więcej osób uważa, że były to tylko sztuczki, w dodatku jedyne, jakie masz w zanadrzu. Po pierwsze, „ziemia, która oddaje”, miejsce wskreszeń, to nasza święta ziemia. Czyli płacimy ci za coś, co powinno należeć do nas. Pozwoliliśmy, byś ściągnął tu ludzi z innych stanów, postawił dla

nich domy z naszych drzew. Wszyscy patrzą na to z coraz większym zdziwieniem, bo nie rozumieją, dlaczego się na to godzimy, w jaki sposób ma to pomóc naszej sprawie.

– To proste, wodzu. Sami nie macie w sobie dość wiary. – Liefather wziął do ręki kubeczek z wykałaczkami, obrócił go w palcach, po czym wysypał patyczki na blat, a brudne naczynie podsunął wodzowi pod nos. – Odlejesz mi trochę swojej kawy? Pachnie obłędnie.

Eagleclaw westchnął, ale odkręcił kubek i odlał trochę czarnego płynu do podsuniętego naczynia. Biały palant wypłynął wykałaczkę, wypił zawartość jednym haustem jak kieliszek wódki, po czym odstawił kubeczek i otarł usta.

– Tak jak mówiłem na naszym pierwszym spotkaniu, wy macie swoją świętą ziemię zdolną do wskrzeszeń, swoje opowieści, tradycje i historie. O Kojocie też wiecie wszystko, by móc go odtworzyć – powiedział. – Ale lata nieszczęść, oszustw władzy i całego tego syfu pozbawiły was tego, co najważniejsze. Tego, co pozwoliłoby Kojotowi żyć.

– Nie zabił go nasz brak wiary – zauważył Eagleclaw. – Załatwił go inny duch, taki jak on.

– Czyli nie taki jak on, tylko jednak trochę lepszy, nie? – zauważył Liefather. – No ale mniejsza o detal. Wasz brak wiary faktycznie go nie zabił, choć mógł w kluczowym momencie osłabić, co ten drugi z pewnością wykorzystał. Teraz jednak ów niedostatek nie pozwala wam go wskrzeszać. I tu właśnie wkraczam ja. Mam aktualnie całą farmę łatwowiernych głuptasów, od dłuższego czasu indoktrynowanych pod konkretne zadanie. Pochodzą z różnych kręgów kulturowych, ale łączy ich przetestowana naiwność i podatność na wpływy. Mam też zgromadzone odpowiednie katalizatory wiary. Je również możesz nazwać zawłaszczeniem kulturowym, bo wędrują do nas z basenu

Morza Śródziemnego, ale wierz mi, zrobioną z nich szarlotką zdecydowanie byś nie pogardził.

Powiedział wzrokiem po pozostałych stolikach.

– No i wreszcie mam kluczowy składnik, odkopany wczoraj z pewnego cmentarza. Czynniki X, jeśli oglądałeś Atomówki. Pozostałość po Kojocie i coś, bez czego cała ta zabawa nie ma sensu.

Raz jeszcze przerwał, dał wodzowi szansę na wtrącenie zdania albo dwóch. Tamten nie skorzystał, więc Liefather kontynuował:

– Teraz potrzebuję waszych umówionych mędrców, którzy ukształtują tę nieufirmowaną wiarę moich głuptasków w stosownym rytuale. Potrzebujemy też zabezpieczenia imprezy przed przypadkowymi gapiami. To ostatnie jest ważne, bo nie chcemy akcji jak z Muchy, gdzie ktoś jakąś pierdółką, jakąś durną teorią spiskową z innej bajki przemieni wam Kojota w płaskoziemskiego debila. Ach, no i oczywiście umówiona zapłata. Rozumiem, że czcigodni Shorouki nie wycofali się ze swoich deklaracji? I że też już tutaj są?

Eagleclaw pokręcił głową.

– Nie wycofali i są już nie tutaj, tylko w Bethlehem. Zapewnimy wszystko, co obiecaliśmy. Tylko...

– Tylko wciąż myślisz, że to wszystko jakaś sztuczka, tak? – Liefather uśmiechnął się, a wykalczka przemknęła z jednego końca ust do drugiego. Wraz z tym ruchem, jak za dotknięciem przełącznika, jego twarz zaczęła się zmieniać. Włosy ściemniały, częściowo wniknęły w czaszkę i stały się pogrążoną w nieładzie czarną burzą. Starannie przystrzyżona blond broda w jednej chwili zmieniła się w kilkuniedniowy, ciemny zarost. Twarz schudła jak zassana od środka, a zaraz potem nabrała androgenicznych rysów. Okulary też gdzieś zniknęły i oto oczom zaskoczonego wodza ukazał się... Zadra. Ten sam, który jeszcze przed chwilą

siedział na poręczy. Zresztą wciąż tam był, choć teraz i on zaczął się zmieniać. W parę uderzeń serca stał się białym palantem.

Eagleclaw odsunął się na krzesło. Niemal wszyscy jego rośli ochraniarze poderwali się z miejsc, ale na tym kończyła się ich inicjatywa, bo przecież poza tą niezwykłą przemianą nic się nie działo. Stali więc i patrzyli to na siebie, to na wodza, a Butch obserwował ich uważnie, wciąż pozostając w bezruchu jak kamienny posąg albo wyjątkowo nieprzystępny bramkarz na klubowej selekcji.

– Tak, wodzu. To sztuczka – powiedział Liefather z wysokości poręczy. – Oszustwo, trick, jakkolwiek chcesz to nazywać. Ale to nie znaczy, że jest wymierzona przeciw wam. Bogowie i wielkie duchy to cwane i potężne byty, które jednak nic nie dają za darmo. I w przeciwieństwie do Kojota, niekoniecznie grają na was. Grają na siebie. I my też musimy.

Znowu zaczął się zmieniać, tym razem stając się jednym z ochroniarzy Eagleclawa. Tym, który nie wstał, gdy to się zaczęło.

Wódz obejrzał się i zobaczył, że wojownik siedzi teraz uśmiechnięty przy swoim stole, a w zębach trzyma wykałaczkę.

– Chcemy coś od nich zdobyć? Potrzebujemy kłamstwa – powiedział wojownik, który okazał się białym palantem. – Przedstawiłem się wam jako ojciec kłamstwa, a to oznacza, że biorę na siebie wyruchanie waszych wielkich duchów, tak by dały wam to, czego chcecie. Klątwa świętej ziemi i to, że przywracając martwych, oddaje ich innymi, niż byli, też jest po mojej stronie. Ale powtórzę, za odpowiednią opłatą. Więc upewnij się, że po waszej stronie wszystko jest gotowe i że Shorouki oddadzą mi w zamian to, czego chcę, czyli wszystkie poduchy z piór, które zebrali po wypatroszeniu wszystkich napotkanych aniołów. A, no i ostatnia rzecz: noście te cholerne amulety ode mnie, by nikt inny nie zrobił wam tego, co ja teraz.

Wstał od swojego stołu, przemienił się w postać, w której tu przyszedł, i podszedł do Eagleclawa. Położył mu rękę na ramieniu.

– Wasz kolega, którego użyliśmy do tej sztuczki, jest w burdelu w Piegan. Czeką tam na was – powiedział. – I chciałbym, żeby było jasne – dodał jeszcze – bo to ważne dla biznesu: nie spóźniłem się. Traktuję cię z szacunkiem, wodzu.

– Nie spóźniłeś – potwierdził Eagleclaw. – Dziękuję.

– Świetnie. Czyli wy też się nie spóźnicie. Pojutrze, o umówionej porze i w umówionym miejscu.



Spotkali się w dokach. Dwa samochody – stylowy, bordowy cadillac i czarny SUV z przyciemnionymi szybami – zatrzymały się z włączonymi silnikami w odległości sześciu metrów, rysując między sobą oświetlony reflektorami prostokąt. Z obu pojazdów wysiadło po trzech mężczyzn i ruszyło naprzeciw siebie. Kierowcy zostali na swoich miejscach.

Nad wodą unosiła się mgła, w powietrzu unosił się zapach rozgrzanej blachy, smaru i gnijących śmieci. Prognozy mówiły, że może padać, ale chyba nikt w to specjalnie nie wierzył.

Wiktor Blachovich szedł z ekipą z cadillaca jako pierwszy z lewej. Pewnym krokiem, wypracowanym i pasującym do roli, wpasowywał się od dłuższego czasu, zupełnie jak w te cholerne kowbojki z krokodylęj skóry. Na lewym ramieniu miał zawieszoną sportową torbę, ciężką, sądząc po tym, jak się pod nią ugiął.

– Dobrze wygląda. Ćwiczysz? – zapytał anioł Bobolaus zwany przez wszystkich Bobem.

– Regularnie – odparł Oliver, nie kryjąc dumy. – Ostatnio sto kilo na ławeczce i dwieście w martwym ciągu.

Bob cmoknął z uznaniem.

– Robi wrażenie.

Bob był stróżem idącego teraz w środku Manuela, drugiego pasażera z cadillaca. Manuel był niewysokim, drobnym mężczyzną z kubańskim rodowodem i śmiesznym wąsikiem przypominającym pierwszy młodzieńczy zarost. Ubrany w jasny garnitur i koszulę z szerokim kołnierzem wyglądał niepozornie, wręcz zabawnie. Jakby wraz ze swoim cadillakiem przeniósł się tu żywcem z czasów, gdy Castro dochodził do władzy.

Olivera wielokrotnie kusilo, by zapytać, jak ktoś taki mógł jednocześnie zyskać renomę w przestępczym półświatku i zachować swojego Stróża, ale jakoś nigdy się na to nie zdobył. Był w Bobie jakiś pocziwy, wujaszkowy protekcyjnalizm, który sprawiał, że Ollie wołał trzymać się na dystans.

Aniołowie siedzieli aktualnie na pobliskich kontenerach ustawionych jeden na drugim i obserwowali rozwój sytuacji z wysokości kilkunastu metrów. Naprzeciwko, na portowym dźwigu siedziało trzech innych skrzydlatych. Jednego z nich Oliver rozpoznał, bo spotkali się kiedyś na specjalnym szkoleniu „Jak być dobrym stróżem policjanta pod przykrywką” organizowanym przez Wydział Interwencyjny Nadzoru Anielskiego. Teraz skinęli sobie głowami z odległości, ale z jakiegoś powodu żaden nie rwał się, by chociaż się przywitać.

Na dole sześciu mężczyzn zatrzymało się naprzeciwko siebie. Manuel i środkowy z przeciwka, wyglądający jak owoc grzesznej miłości Snoop Doga i The Rocka, podali sobie ręce. Snoop Rock coś zażartował, Wiktor rzucił torbę sportową na ziemię przed swoje stopy, a jego ręka niebezpiecznie zbliżyła się do biodra, gdzie znajdował się pistolet.

Oliver opuścił ręce i złapał za krawędź kontenera. Wyteżony wzrok, pełne skupienie, gotowość do interwencji.

Pewnie poszło o jakąś uwagę na temat wzrostu Manuela, pomyślał, bo niscy faceci zawsze mają coś do udowodnienia całemu światu. Jak ten cholerny Tom Cruise. Zwierzchnościom niech będą dzięki, że gwiazdor został mesjaszem u konkurencji, bo bycie jego stróżem byłoby na pewno gorsze niż służba w karnej kompanii u archanioła Michała.

Daj spokój, Wiktor, powiedział bezdźwięcznie Oliver. Bez sensu ginać za głupi komentarz. Nie wyrywaj się, bo nie po to tu jesteś. Masz robotę!

Blachovich nie mógł tego usłyszeć, ale cofnął rękę i atmosfera na dole nieco zelżała. Oliver zerknął w stronę skrzydlatych na dźwigu, a jeden z nich pokazał mu uniesiony kciuk.

Za bardzo się cieszyacie, przemknęło Oliverowi przez głowę. Za dużo jeszcze się może wydarzyć.

– Dziś rano Manu miał biegunkę – powiedział nagle Bob. – Myślałem, że z kibla nie wyjdzie.

– Ale co, zjadł coś niewłaściwego? Czy z nerwów?

Bob wzruszył ramionami.

– Pewnie to i to. Strasznie spięty ostatnio chodzi. Z Trixy myślą o dziecku.

– Trixy to ta nierządnica z Kuby? – upewnił się Oliver. – Ta, co podobno spała z Kłamcą?

Bob spojrzał na kolegę ze znużeniem.

– Nierządnica? Co ty, w Babilonie jesteś? I nie z Kłamcą, tylko z Erosem. Loki to się akurat teraz umawia z Jenny, tą od Michała. I podobno prowadzi się lepiej niż twój. Znaczy w tej sferze, bo nadal kłamie, oszukuje i robi te wszystkie rzeczy, których nam nie wolno, ale... a czekaj, właśnie, słyszałeś, że podobno założył sektę?

Oliver odwrócił się tak gwałtownie, że mało nie spadł z kontenera.

– Jednak!

Bob pokiwał głową.

– Czyli do ciebie też dotarło? Podobno gdzieś na północy. Chłopaki mówią, że Eros i Bachus werbowali do niej ludzi. Samych naiwniaków, i do tego bez stróży. Raz się chyba pomylili, bo przyszli do podopiecznego kumpla. Orizeusz, znasz może, taki chudziutki z garbatym nosem. Ale jak się zorientowali, że ma anioła, to sobie poszli. Potem pojawili się Butch i Zadra. Powiedzieli, że sprawa wewnętrzna i żeby nigdzie tego nie zgłaszać.

– Żartujesz!

– Nie no, powaga. To znaczy... – zaczął, ale urwał, bo z dołu dobiegły ich jakieś krzyki.

Spojrzeni jednocześnie i zobaczyli, że kompan Snoop Rocka o prezencji lalkowego Kena z nieograniczonym karnetem na siłownię szarpie kompana ich podopiecznych. Aniołowie z dźwigu już tam byli, więc Bob i Ollie szybko zmaterializowali się na dole. Ollie położył rękę na czole Wiktora i zaczął szeptać mu frazy uspokajające.

Nie szło mu to najlepiej. Nie umiał się skupić, bo nie dawała mu spokoju myśl o sekcje Lokiego i o tym, że cholerny Kłamca kombinuje coś akurat pod nosem Ivonne. To przeniesienie miało być odsunięciem jej od kłopotów. Cholerna Montana miała być bezpieczna! Powinna istnieć zasada, że jak coś się nazywa jak bohaterka filmów dla dzieci, nie może być złe!

– Ollie, możesz się już cofnąć – szepnął Bob. – Wyciszyliśmy ich.

Oliver potrząsnął głową, jakby właśnie się ocknął, i zdjął rękę z głowy podopiecznego. Cofnął się o krok, spojrzał na przyglądających mu się trzech skrzydlatych z dźwigu. Mógł się założyć, że go zaraportują do WINA za opóźnioną reakcję i rozkojarzenie, ale miał to gdzieś. Bo czy nie usłyszał przed chwilą, że agenci Wydziału Interwencyjnego tuszują właśnie działania Kłamcy?

– Może robią to na polecenie archaniołów – zauważył Bob i zaraz uśmiechnął się z zakłopotaniem. – Wybacz, myślałeś tak głośno. Uznałem, że to do mnie.

– Nie, w porządku. – Oliver machnął ręką, po czym pstryknął i wrócił na swoje miejsce na kontenerze.

Bob po chwili znalazł się obok. Zamachał nogami.

– Słyszałem, że Loki w ogóle mocno się zmienił od jakiegoś czasu. Mówi się, że ma to związek z jakimś jego dużym odkryciem.

– Odkryciem?

– No tak. Podobno, ale to może być plotka, w jakiś sposób poznał szczegółowy przebieg apokalipsy. Znaczy wiesz, detale. Takie, których nie ma w piśmie.

Oliver spojrział na kolegę z niepokojem.

– Chyba nie byłoby dobrze, nie? Miałem okazję go poznać i to raczej jest ostatni gość, który powinien wiedzieć tak ważne rzeczy.

Bob wzruszył ramionami.

– To zależy – rzucił wymijająco.

– Zależy? Od czego niby?

– Od tego, czy cokolwiek może z tą wiedzą zrobić. To apokalipsa, Ollie. Jest zapisana. Tam chyba nie ma za dużego pola do manewru, nie?

Oliver skinął głową, choć nie wydawał się do końca przekonany. Wszak czyż nie od tego Kłamacza miał dla nich być? Od myślenia outside the box? Żeby działać tam, gdzie zapisy Pisma krępują archaniołom ręce?

– Dobra, chyba kończą – rzucił Bob.

Rzeczywiście, mężczyźni na dole najwyraźniej się dogadali, bo teraz to Ken miał na ramieniu torbę Wiktora, a podopieczny Olivera trzymał skórzany neseser. Manuel uściśnął rękę Snoopa Rocka na pożegnanie.

– To co, widzimy się na świętowaniu w Copacabana? – zapytał Bob.

– Tak – westchnął Oliver.

Wiedział, że w klubie też musi być, bo mogą się tam wydarzyć różne rzeczy, zwłaszcza że Wiktor będzie musiał pić, a to zawsze podnosi ryzyko wypadki. Ale sekta Lokiego, zaangażowanie agentów WINA i wieść o apokalipsie sprawiły, że zapragnął już teraz, natychmiast zadzwonić do Ivonne i powiedzieć jej, żeby nie jechała jutro do tego cholernego Bethlehem, bo coś się tam najwyraźniej poważnie nieświęci.

Jednocześnie niby skąd on, oficjalnie przyjaciel gej, miałby cokolwiek wiedzieć o apokaliptycznym zagrożeniu narastającym w stanie cholernych gór, sekt i rezerwatów? Nie miał więc jej jak od tego odwieść. Pozostawało pytanie: czy powinien do niej lecieć?



Zadra siedział na dachu domu zgromadzeń. Był to najwyższy punkt w okolicy, nie licząc niektórych drzew, na których anioł nie zwykł siadać, bo raz, że niewygodnie, a dwa, że czuł się wtedy jak choinkowa ozdoba. Zresztą z domu zgromadzeń miał wystarczająco dobry widok na wszystko i wszystkich.

Odkąd trafili do Montany, Zadra niejednokrotnie myślał o tym, że pewnym sensie Kłamca stworzył tu społeczność idealną dla stróży. Składali się na nią ludzie o podobnym sposobie myślenia mieszkający w prostych, ale wygodnych i funkcjonalnych barakach w ładnej okolicy z dobrym powietrzem. Złapani w sieć tego samego kłamstwa i marzenia o bogactwie, jednakowo naiwni, ale i pełni wiary w lepsze życie, gdy tylko sprawy tutaj się dopełnią, byli niczym hodowlane karpie wpuszczone do stawu.

Czy zdarzały się awantury? Pewnie, zwłaszcza na początku, a potem znowu, gdy naraz zjawiało się zbyt wielu nowych

osadników. Ale wtedy wystarczały zasady spisane przez Lokiego, Butch jako straszak i niezwykle skuteczna siatka wewnętrznego donosicielstwa. Bo choć wszystkim im tutaj obiecano takie same nagrody w postaci spadków po bogatych krewnych skądś tam i nikt nie sugerował, że fortuna jest jedna i trzeba o nią walczyć, to jednak wpojony przez dekady telewizyjny model reality show robił swoje. Przez pierwsze tygodnie nie było dnia, by ktoś nie zapytał Zadry o pokój wielkiego brata albo możliwość porozmawiania czy to z samym Guru, czy z którymś z oświeconych.

Wystarczyłby jeden albo dwóch stróży, myślał czasem Zadra. Na tyłu ludzi. Gdyby wszędzie zastosować ten sam model, takich właśnie zamkniętych społeczności to...

A potem docierał do niego absurd tego pomysłu, jego przerażające konsekwencje. I za każdym razem robiło mu się wstyd.

Obok zmateriałizował się Butch. Nie witał się, nie zapowiadał, po prostu w jednej chwili go nie było, a w następnej już siedział obok wyprostowany, z wielkimi dłońmi na potężnych udach i dumnie uniesioną głową. Niczym pan na włościach.

– Rozumiem, że wszystko pod kontrolą? – rzucił Zadra tylko po to, by przerwać ciszę.

Bo ta jak zwykle błyskawicznie zrobiła się niezręczna. Nic dziwnego, bo sytuacja była z gatunku trudnych spraw, o których tak lubił rozprawiać ze swoimi gośćmi Jerry Springer. Butch ginął i odradzał się na oczach Zadry kilkaset razy, a za każdym razem był kimś nieco innym. I choć ten, który siedział teraz obok, lubił Zadkę ze swojego świata i to pozwoliło im się mimo wszystko jakoś dogadać i udawać, że wszystko jest w porządku, to jednak te wszystkie śmierci siedziały między nimi niczym zdewociała ciotka robiąca za przyzwoitkę. Był to stan, który Loki nazwał kiedyś „mechanizmem adaptacyjnym Hioba”. Czyli, jak rozumiał to Zadra, próbą przekonania się, że jeśli coś dzieje się w imię wyższej

sprawy – na przykład zakład boga z diabłem o fistaszki – to akceptujesz, że nagle umiera ci cała rodzina, wszyscy, których kochałeś. A potem, gdy Wszechmogący w swojej łasce daje ci nową żonę i pozwala wygrzmocić z niej nowe stadko dzieci, uznajesz, że nic się nie stało i wszystko jest tip-top.

– Jeżeli pytasz, czy wierni zebrani tutaj przez Bachusa i Erosa są gotowi, by po raz kolejny oszukać rdzennych mieszkańców tych ziem poprzez zawłaszczenie sobie ich boga za pomocą swojej naiwnej amerykańskiej wiary w samych siebie i wytycznych otrzymanych przez Boga Kłamstwa, to tak, wszystko pod kontrolą – odparł Butch takim tonem, że Zadra nie miał pojęcia, czy żołnierz mówi poważnie, czy to tylko sarkazm.

– Pytałem, czy u ciebie wszystko w porządku... To znaczy wiem, zapytałem o coś innego, ale to chciałem wiedzieć.

Butch zerknął na niego i chyba nawet się uśmiechnął.

– Jestem tylko jedną kulą w rewolwerze Pana – odparł. – Mam na spleńce wyryte imię i po prostu czekam. To nie jest wymagająca praca.

Zadra westchnął, po czym splótł i wyłamał palce.

– Przynajmniej tyle. Ja nadal nie wiem, po co tu jestem – powiedział. – Wciąż nie wiem, czy to, co robimy, jest w porządku, wiesz? Świadomość, że Lucyfer dostał ten list od Lokiego i że przez to Gwiazda Zaranna wie, że pokrzyżowaliśmy jego plany...

– Nie chcę o tym rozmawiać – mruknął Butch.

Zadra otworzył usta, by to skomentować, ale je zamknął i tylko wolno pokiwał głową. Po chwili jednak znowu się odezwał:

– W sumie to cię nawet rozumiem. Ale mimo wszystko się waham, wiesz? Jest taka ludzka opowieść, nie wiem, czy znasz, o Frankensteinie i jego potworze. O człowieku, który sam chce zostać stwórcą i dawcą życia. O tym, jakie to ma konsekwencje. Spoiler, raczej niefajne. Bo potwór zrywa się ze smyczy...

Butch uniósł brew.

– Zmierzasz z tym do czegoś?

– No, mam wrażenie, że ten cały plan... To całe wskrzeszanie innego, dawnego boga, ale za pomocą sterowalnych wiernych, którzy będą mogli mu narzucić zmieniony sposób myślenia i uczynić go marionetką w rękach Kłamcy... Że w ten sposób Loki popełnia grzech pychy Frankensteina i tworzy właśnie takiego potwora.

Tym razem wielki anioł nie odpowiedział od razu. Przez dobrą minutę wpatrywał się w przestrzeń przed sobą, po czym uniósł rękę i wskazał w stronę bramy, gdzie właśnie zatrzymał się samochód.

– Bachus z Erosem – powiedział. – Wygląda na to, że wykonali swoje zadanie. A co do potwora Lokiego...

Przerwał, powoli podniósł się i otrząpał spodnie. Wciąż trzymając zdanie w zawieszeniu, uśmiechnął do Zadry zadzierającego ku niemu głowę.

– ...to nie Kojot nim jest, tylko ja, pamiętasz? Narzędzie w jego planie. Wskrzeszony podług woli.

Zadra nie miał pojęcia, co na to odpowiedzieć, więc tylko kilka razy mrugnął. Jakby chciał się upewnić, że nie śpi i że naprawdę usłyszał te słowa. Do tej pory temat tego, co zrobił mu Kłamca, jakoś wisiał między nimi, niewypowiedziany.

Butch, widząc konsternację na jego twarzy, uśmiechnął się, tym razem szeroko.

– Dobry plan to taki, którego składowe ujawniają się we właściwych momentach, Zadra – powiedział. – I ja już wiem, że plan Lokiego jest dobry. Ty dopiero się przekonasz.

To powiedziawszy, zniknął.



Bachus niósł pudełko w wyprostowanych rękach, jak najdalej od ciała. W ten sposób, skrzywiony z obrzydzenia, pokonał całą drogę od samochodu do kwatery Kłamcy, a potem jeszcze przedpokój i schody. Spotykali się jak zawsze na piętrze, by uniknąć ciekawych spojrzeń wiernych gromadzących się przy oknach.

Loki siedział na wielkim pufie i stroił gitarę, korzystając z aplikacji w telefonie trzymanym przez Kłamczucha. Na widok gości uśmiechnął się półgębkiem i puścił wykałaczkę z jednego kącika ust do drugiego.

– No nareszcie! – rzucił, odkładając gitarę.

Wstał, przeszedł przez pokój do stolika, nalał sobie z karafki soku pomarańczowego. Upił łyk i skrzywił się, a grymas ten płynnie przeszedł w zmianę twarzy. Na krótki moment nie był sobą, tylko Bradem Pittem z filmu Siedem.

– Co jest w pudełku? – zapytał płaczliwym głosem. – Co jest w pudełku?!

– To, o co... – zaczął Bachus, ale Loki, znowu z własną twarzą, pokręcił głową.

– To był cytat – mruknął. – A co do zawartości pudełka, cieszę się, że się udało. Były kłopoty? Poza znalezieniem właściwego ciała?

– Niespecjalnie. – Eros sięgnął po stołek, ustawił na środku pokoju i opadł na niego ciężko – Jeśli nie liczyć narzekania Bachusa, że się na coś takiego nie pisał, to nawet w porządku.

Bóg Wina wydał wargi, po czym odstawił pudełko na stolik tuż obok karafki i z obrzydzeniem wytarł ręce o spódnie.

– No przepraszam, że nie czuję się komfortowo, wożąc w pudełku kutangę i jajca starego, indiańskiego boga. Raz, że to po prostu obrzydliwe, a dwa, że empatyzuję.

– Niepotrzebnie – odparł Loki. – Wiem, że ze względu na to brzuszysko mogłeś dawno nie widzieć, ale patrząc po nogawkach w twoich spodniach, to zdecydowanie nie twój rozmiar.

Bachus prychnął, po czym opadł na poduchy tuż obok gitary. Loki chciał to skomentować, ale po namyśle odpuścił. Przeniósł wzrok na Erosa.

– Chcesz coś powiedzieć – bardziej stwierdził, niż zapytał.

Bóg Miłości skubnął się w czubek nosa.

– Tak – potwierdził. – Właściwie to chcę. Ja nie wątpię, że wiesz, co robisz. Szliśmy za tobą przez wszystkie te lata i choć czasem roboty do wykonania są durne, to jednak nie wychodzimy na tym źle. Tak per saldo. Nie wnikam też w twoje ustalenia z... no, sam wiesz kim.

– Ale?

– Cały czas się zastanawiam, czy to wszystko nie jest, no wiesz, szyte zbyt grubymi nićmi. Pamiętam tę historię, jak urządziłeś obławę na Kojota, jak zdobyłeś to jego przyrodzenie, które sam kiedyś ukradł, a które stanowiło atrybut jego siły i istotę jestestwa. Pamiętam też tego anioła, któremu je potem dałeś, by mógł stworzyć związek ze śmiertelniczką. Teraz wykopujemy te jajca znowu, żebyś mógł wskrzesić Kojota. Ale jednocześnie chcesz go mentalnie przeprogramować...

– Zmierzasz do czegoś tymi przegadanymi już oczywistościami? – zapytał nieco zniecierpliwiony Loki. – Bo jeśli nie, mam jeszcze jeden klocek tej układanki do wpasowania przed la grande finale i zanim to zrobię, powinienem się wyspać. Jutro rano widzę się z wodzem wodzów i jego ludźmi, mamy zrobić próbę generalną. Pokażą mi figurę Kojota, do której będziemy mocować nasz... atrybut. Słowem, od chuja roboty. Więc pytam...

– Owszem, Loki, zmierzam – odparł Eros. – Do tego, że igramy tu z ogromnymi siłami i bardzo wiele zależy od tego, czy każdy zachowa się tak, jak chcesz. Czy tam chcesz.

Loki zachęcił go gestem, by mówił dalej.

– Chodzi mi o to, czy na pewno to, co robimy, jest lepsze niż ten scenariusz, od którego uciekamy.

Kłamca nalał kolejną szklanę soku. Zajrzał do pudełka, podszedł do okna i skupił wzrok na górach.

– Pytasz, czy to jest lepsze niż koniec świata, jaki zafundował wszystkim Metatron? Cóż, widziałem rzeczy, którym nie dalibyście wiary. Ucieczkę po dachach Paryża w zakłęty obraz, lot przez piekło i niezręczne spotkanie dwóch moich byłych w teatrze. Nade wszystko jednak widziałem, że na końcu...

Odwrócił się i spojrzał Erosowi prosto w oczy.

– Na końcu nas nie ma, Erosie – powiedział całkiem poważnie. – A ludzie, którzy przetrwają, zostają bez wiary i religii. Jak w piosence cholernego Lennona.

Upił soku, po czym skrzywił się i uśmiechnął.

– I kto wie, może dla nich byłoby to lepsze, ale... no sam rozumiesz. Jeśli mam zniknąć tylko po to, by ludzie na Ziemi byli szczęśliwi, to pieprzyć ich.

Rozległ się cichy huk, gdy posadzony na krześle Kłamczuch upuścił telefon trzymany w łapkach. Teraz miał je złączone. Wyglądało, jakby w nie klasnął.



Na pozór Nutka prowadziła pewnie i spokojnie, cierpliwie znosząc wszystkich wymuszaczy pierwszeństwa, wszystkie zawalidrogi czy czerwone fale światła. Dopiero po dłuższym czasie do Ivonne dotarło, że nowa koleżanka przy każdym takim drogowym zajściu krzywi się i bezgłośnie porusza ustami.

– Przeklinasz w języku swojego ludu? – zapytała w końcu rozbawiona.

Nutka posłała jej zaskoczone spojrzenie.

– Skąd wiedziałaś?

– Też tak czasem mam, że zwykle fuck nie wystarcza – odparła Ivonne. – Bardzo mi w takich sytuacjach pomagają przekleństwa moich dziadków, są takie wdzięcznie wibrujące.

Nutka wyraźnie rozczarowana tą odpowiedzią machnęła ręką, jakby odpędzała komara, i znowu skupiła się na drodze.

– Ty mówisz o wulgaryzmach, tak? – zapytała. – W takim razie nie, nie używam wulgaryzmów. W języku mojego ludu ich nie ma.

Ivonne zmarszczyła czoło, starając się zrozumieć, co właśnie usłyszała. W końcu do niej dotarło.

– Naprawdę ich przeklinasz? – zapytała. – W sensie rzucasz na nich klątwy?!

Nutka uniosła dłoń i pokazała małą przestrzeń między palcem wskazującym a kciukiem.

– Nieduże takie – doprecyzowała. – Biegunka, zapalenie ucha, chwilowa męska słabość...

Ivonne się roześmiała.

– I naprawdę uważasz, że to działa?

Nutka zerknęła na nią z ukosa.

– Chcesz się przekonać? – zapytała. – Ale wtedy bierzemy w motelu dwa pokoje z osobnymi łazienkami i dopłacasz nadwyżkę.

Blachovich potarła twarz obiema dłońmi. Ewidentnie potrzebowała kolejnej kawy.

– To jaki jest plan na dziś? – zmieniła temat.

Nutka postukała palcami w telefon z włączoną nawigacją.

– Na razie mam ustawione na Ketchum's Diner. Zjemy coś, a przy okazji pogadamy z miejscowymi. Dotąd nie robiłaś w małych miasteczkach, co? No więc taka knajpka to jedno z trzech miejsc, gdzie w małym mieście najłatwiej zebrać informacje.

– Jedno z trzech?

– Tak, drugie to bar, ale to raczej wieczorem, a trzecie to barber. Ale tam musisz mieć co golić.

Mówiąc to, złapała się za podbródek, jakby chciała się upewnić, czy nic tam nie wyrosło, a następnie mocniej, oburącz chwyciła za kierownicę.

W samą porę, bo samochód, który właśnie wyprzedzała, zatoczył się nagle na lewo, mało nie wbijając się na jej pas. Nutka odbiła na bok, na krótki moment łapiąc poboczne, po czym zrównawszy się z tamtym pojazdem, wyszeptała kilka słów, patrząc na jego kierowcę.

Ivonne, która w tym momencie znalazła się na linii tego spojrzenia, odruchowo wcisnęła głowę w zagłówek. Coś było w spojrzeniu Rdzennej Amerykanki. Jakaś obca siła, moc, która pozwalała jej wierzyć, ba, mieć pewność, że jej klątwy nie będą tylko czczym gadaniem. Takiej pewności, takim szeptom i spojrzeniom lepiej było schodzić z drogi.

Nutka wróciła na prawy pas, przechyliła głowę w lewo i w prawo, chrupiąc karkiem.

– Podobno w tym dinerze mają najlepszy sernik na świecie – rzuciła. – Myślę, że się skuszę. Co sądzisz?



Anioł Oliver czekał w kukli na szczycie znaku „Witamy w Bethlehem”. Właściwie nie wiedział dlaczego, bo równie dobrze mógł po prostu usiąść na ziemi, poczekać w dowolnym barze albo wręcz od razu przenieść się do auta Ivonne. Coś jednak było w tym siedzeniu na znakach, drzewach, gzymsach. Coś, co kojarzyło mu się z dawną anielską służbą, ze wzorcem, którego uczył się na początku dziejów. Symbol, ale wymowny, nawet jeśli tylko dla niego samego. Gargulec strzegący katedry.

Jeszcze rano miał trochę obaw, gdy zostawiał Wiktora samego. Zdawało się, że policjant był bezpieczny, po akcji i z opcją kilku dni odpoczynku, ale z nim to nigdy nie było wiadomo. Mógł dostać nagle jakiś telefon, postanowić coś sprawdzić, wmieszać się w coś. Taki był, a Oliver nie miał w jego przypadku tego samego mechanizmu zabezpieczającego co przy Ivonne. Nie mógł do niego po prostu zadzwonić jako kumpel.

Jednocześnie poczucie, że agentka właśnie łąduje się w jakiś plan Kłamcy, budziło niepokój Stróża. Polecę i sprawdzę, zapewniał się. Może to nic takiego. Ale z jakiegoś powodu siedział teraz na tym znaku i starał się przed samym sobą ukryć zdenerwowanie.

Wreszcie dostrzegł jadące auto, a w nim dwie kobiety. Ivonne była pasażerką. Oliver przyjrzał się tej za kółkiem. Już od pierwszego wejrzenia biła od niej jakaś pradawna, szamańska siła, moc pachnąca ziemią, dymem z ognisk i garbowaną skórą. Oliver dotąd nie miał za wiele wspólnego z mitycznymi, ale tutaj czuł, że coś jest na rzeczy.

Może to mityczna, pomyślał z niepokojem tym większym, że miał wrażenie, jakby pod tą widoczną na pierwszy rzut oka mocą kryło się coś jeszcze. Jakaś czerní niczym ropa na ziemiach szczepu Osagów, o których kiedyś czytał książkę.

Uniósł wzrok ku niebu.

– Trony i Zwierzchności, dodajcie mi sił – poprosił.

Jak zwykle nie odpowiedziały, ale się tym nie przejął. Jak każdy anioł wiedział, co zrobić, gdyby naprawdę potrzebował interwencji. Może nie od razu najwyższych chórów, ale przynajmniej archanielskiej. System był zabezpieczony na wypadek dużych zagrożeń i wpajano to im mocno i dobitnie. Choć oczywiście Oliver był też świadom konsekwencji nieuprawnionego wezwania sił wyższych.

Odwrócił się i zobaczył, że samochód skręca do przydrożnego zajazdu. „Ketchum’s” kojarzyło się aniołowi z jakąś dawną legendą o krwawym rewolwerowcu, jedną z tych historii, w których zaczytywał się młody Wiktor.

– Nie najlepsza nazwa dla dinera – mruknął.

Zdematerializował się i przeniósł na parking pod lokalem. Tam, upewniwszy się, że agentki zamierzają wejść do środka, przeniknął przez drzwi.

Wnętrze świeciło pustkami. Za barem kobieta i mężczyzna, oboje w koszulkach z logo na piersiach, rozmawiali, robiąc porządki w ladzie chłodniczej. Przy barze siedział jakiś chudy facet, a dwa boksy w kącie zajmowali Rdzenni o ponurych twarzach. Oliver przyjrzał się im. Byli ubrani jak farmerzy, ostrzyżeni na krótko, a spod podwiniętych rękawów wystawały tatuaże pokrywające całe ręce, łącznie z dłońmi i palcami. Wszyscy mieli przy pasie takie same noże.

Jedli pogrążeni w milczeniu, skupieni jak na pracy. Gdy nad drzwiami wejściowymi zadzwonił dzwonek, oznajmiając pojawienie się nowych gości, głowy uniosło tylko dwóch z nich, po jednym z każdego z boksów. Otaksowali agentki spojrzeniami i jeden z nich od razu wrócił do jedzenia. Drugi przeniósł spojrzenie na ludzi za barem i – choć to było przecież niemożliwe – na krótką chwilę zatrzymał spojrzenie na niewidzialnym Oliverze. Pociągnął przy tym nosem, jakby węszył.

Masz paranoję, pomyślał anioł. Udzieliło ci się od Wiktora.

Rzeczywiście, Rdzenny opuścił wzrok i wrócił do jedzenia, tracąc zainteresowanie czymkolwiek oprócz własnego talerza.

Ivonne i jej towarzyszka zajęły miejsce w boksie w kącie po przeciwnej stronie sali, tak aby mieć ogłąd na całe pomieszczenie. Kelnerka poczekała, aż się rozsiądą, po czym wzięła dwie karty, dwa kubki i dzbanek kawy spod ekspresu przelewowego. Powiedziała coś do kolegi i wyszła zza kontuaru.

Oliver zszedł jej z drogi, wciąż uważnie się rozglądając. Coś tu było nie tak, czuł to. Coś wisiało w powietrzu.

– Co dla was, złociutkie? – zapytała kelnerka.

Miała z pięćdziesiąt lat i pogodną, choć jednocześnie zmęczoną życiem twarz, która uprawniała ją do zagadywania w ten sposób każdego gościa.

– Podajecie jeszcze śniadania? – zapytała Nutka.

– Cały dzień, kochanie. To Bethlehem, raz już nie byliśmy gotowi na spełnienie potrzeb utrudzonych wędrowców. Więcej się nie powtórzy.

– To chyba nie było to Bethlehem – rzuciła z rozbawieniem Ivonne, ale pod wpływem spojrzenia, jakim dostała od kelnerki, machnęła ręką. – Dla mnie jajecznicza i kawa.

Kelnerka postawiła kubki na stole. Napełniła oba.

– Dla ciebie, słonko? – zwróciła się do Nutki.

– Zestaw szefa. I dwa razy wasz słynny sernik.

– Ja nie chcę – powiedziała Ivonne, ewidentnie narażając się tymi słowami po raz wtóry.

– A kto powiedział, że dla ciebie? – zdziwiła się Nutka.

Oliver przyglądał się tej wymianie zdań. Wciąż czuł ten narastający niepokój. To wrażenie, że zaraz...

Nagle coś złapało go za rękę. Zaskakująco, bo przecież wciąż był niewidzialny dla śmiertelników. Niemal w tym samym momencie jakaś dłoń wcisnęła na jego przegub pętlę z linki i mocno szarpnęła. Oliver odruchowo spróbował się zdematerializować, teleportować gdzie indziej, ale uzmysłowił sobie, że nie jest w stanie. Szarpnął się mimo to, odwrócił i zobaczył przy sobie wściekłą twarz Rdzennego, który wcześniej wyglądał, jakby go zauważył. Mężczyzna patrzył przez niego niczym niewidomy kierujący twarz w stronę dźwięku czy zapachu. Uniesiona górna warga obnażała kły.

– Spróbuj to zerwać, a się skończysz – warknął czerwonoskóry, drugą ręką klepiąc rękojeść noża. – A teraz pójdziesz ze mną do łazienki.

– Coś mówiłeś? – zdziwił się barman.

Rdzenny przytaknął i pozwolił, by grymas wściekłości przeszedł w uśmiech.

– Tak, że jeszcze jeden kawałek placka z jabłkami poproszę. Jest świetny.

Puścił nadgarstek wciąż niewidzialnego anioła i pchnął go lekko w stronę toalet. Oliver niechętnie ruszył w tamtą stronę.

Rdzenni, wcześniej jedzący w milczeniu, teraz zrobili się bardzo rozmowni. Mówili jednak w swoim języku bądź narzeczu, którego Oliver nie był w stanie zrozumieć. Dziwne, bo zdawać się mogło, że zna wszystkie języki świata. Dwóch z nich wstało od stolika i ruszyło w stronę szafy grającej.

Kelnerka wróciła z zamówieniem i przekazała je koledze. Ten szybko nałożył placek dla Rdzennego i zniknął na zapleczu.

Oliver w rosnącej panice zerknął w stronę boksu Ivonne. Tamci dwaj, zmierzający do szafy, musieli przejść tuż obok. Niby nic, ale to, jak zerkali w stronę kobiet, jak rozmawiali po swojemu i jak ta cała sytuacja zgrywała się przerażająco, zapaliło stróżowi wszystkie lampki ostrzegawcze.

Gdy dotarli do toalet, Rdzenny znowu złapał go za rękę tuż nad opaską.

– Jeśli chcesz, by ta kobieta przeżyła, przeklęty Newegwasu’u – powiedział cicho – to zaraz zrobisz się widzialny. I usiądziesz z nami, rozumiesz?

Oliver pokiwał głową, a gdy uzmysłowił sobie, że tamten tego nie widzi, przybrał widzialną postać. Zastanawiało go tylko, dlaczego tamten w swoich słowach użył liczby pojedynczej. Czyżby wiedział też, że jedna z nich jest jego podopieczną? Że jest Stróżem? Czy to znaczyło słowo, którego użył? To Newegwasu’u?

Już widzialny Oliver dał się pokierować w stronę boksu Rdzennych. Dostrzegł, że jeden z nich rozmawia właśnie przez telefon. Mówił w tym samym niezrozumiałym narzeczu, ale to jedno słowo na „n” znowu się powtórzyło. Gdy siadał, dostrzegł, że tamci dwaj zatrzymali się nagle przy boksie agentek i w jednej chwili coś zmieniło się w ich postawach.

Oliver jako Stróż nauczony czytania mowy ludzkich ciał mógłby się założyć, że właśnie obserwował następujące po sobie ogromne zaskoczenie, strach i walczący z nimi o swoje gniew. Na razie ewidentnie strach wygrywał.

– Możemy wam w czymś pomóc? – zapytała koleżanka Ivonne.

Jeden z rdzennych odpowiedział coś w swoim języku. Oliver tego nie zrozumiał, ale kobieta najwyraźniej tak, bo wstała. Ostentacyjnie otaksowała obu mężczyzn spojrzeniem, po czym zerknęła w stronę boksów. Uśmiechnęła się, biorąc pod boki.

– Też się cieszę na powtórne spotkanie, Shorouki. Ale myślę, że powinieneś mimo wszystko zmienić ton. Bo jest was stanowczo za mało, by mówić mi, co mam robić.



Loki, nie bacząc na całe zgromadzone wokół towarzystwo, głośno dopijał przez rurkę sok z kartonika i gapił się na człekokształtną figurę leżącą na pace pick-upa.

– A więc chcecie, żeby tak wyglądał wasz bóg – powiedział w końcu.

Wódz Eagleclaw zmrużył oczy.

– Coś nie tak?

– E, nie. Znam określenie coyote ugły używane wobec straszliwych brzydali. Nawet wykorzystałem je, by nazwać siebie tę

operację. Ale nie spodziewałem się, że potraktujecie to tak dosłownie. Czego użyliście? Słomy, kamieni, błota... Cholera, powiedz mi, że to jest błoto!

– Błoto – warknął któryś za plecami Eagleclawa. – Z ziemi każdego ze szczepów i plemion.

Loki otaksował Rdzennego wzrokiem. Było ich w sumie siedmiu, jeśli mówić o ubranych w garnitury członkach Zjednoczonej Rady Plemion. Za nimi w półkolu ustawili się uzbrojeni wojownicy w luźnych strojach trochę przypominających dresy, a trochę polowe mundury. Kłamca zauważył, że choć reprezentowali różne plemiona, to stroje i miny mieli aktualnie ujednolicone. Byli zjednoczeni w nieufności względem obcych.

Tylko Shorouki stali w pewnym oddaleniu. Trzymali się razem, ale nie zabierali głosu, coś tam tylko szeptali między sobą. Było ich kilkunastu, wszyscy z nożami przy pasach, wszyscy umięśnieni i wytatuowani, przez co wyglądali jak członkowie yakuzy na castingu do westernu.

Loki miał ze sobą tylko Butcha i Bachusa. Potężny anioł ubrany w prochowiec stał z rękami skrzyżowanymi na piersi i taksował przenikliwym spojrzeniem wszystko i wszystkich, a Bóg Wina... cóż, był. Wcześniej pomógł oznaczyć teren pod rytuał, a teraz tylko uśmiechał się głupkowato.

Gdyby Kłamca mógł wybierać, wziąłby ze sobą po prostu Butcha i Zadrę. Ale drugi agent WINA odpadał, bo jego natychmiast wyczuliby Shorouki. W przeciwieństwie do Butcha, istoty z innego wymiaru niewykrywalnej nawet dla swoich, Zadra był zwykłym Stróżem, który awansował. A Shorouki, pogromcy skrzydlatych wychowani na opowieściach o pogromie, jaki zafundowali kiedyś upadłym aniołom Lucyfera, wciąż uczeni byli od maleńkości, jak takich tropić i neutralizować.

Eagleclaw odsunął się od samochodu i rozejrzał po odgrodzonym terenie.

– Ile przewidujecie ludzi podczas rytuału? – zapytał.

Loki odłożył pusty kartonik na pakę i sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki. Wyjął z niej foliową torebkę pełną drobnych przedmiotów.

– Około trzystu – powiedział – Wybraliśmy tych z najmocniejszą, najbardziej naiwną wiarą, żebyście mogli nią pokierować.

Wódz wolno skinął głową, choć jednocześnie jego mina zdawała się sugerować, że nie dowierza w to, że teraz to oni, Rdzenni będą sterować białymi. Chciałby, a i owszem, ta chęć kryła się w kącikach jego oczu, ale był jednak myślącym, doświadczonym przywódcą swojego ludu.

– Do wewnętrznego kręgu wstęp mają tylko nasi? – upewnił się.

– Tak. Wasze tańce, wasze rytuały wokół... pana brzydala. Robicie to, co nakazuje wam tradycja.

– A ten drugi krąg? – Eagleclaw wskazał palcem na czerwony pasek szerokości stopy okalający oznaczony teren.

Loki wzruszył ramionami.

– To nasza gwarancja, że nie zostawicie nas bez zapłaty. Dopóki nie przerwę tego kręgu, Kojot stąd nie wyjdzie.

– Czyli chcesz go uwięzić? Jak w rezerwacie?

Kłamca potrząsnął głową.

– Nie, nie zamierzam dawać mu wódki i pozwolenia na budowę kasyna. Po prostu gdy już będzie wśród nas, dopełnimy naszego dealu.

To powiedziawszy, pochylił się nad paskudną figurą. Przyjrzał się upiornej twarzy wyglądającej, jakby ktoś próbował ulepić wilkołaka z kulki mułu i powpychanych w nią źdźbeł słomy. Posąg miał nos i oczy z kamienia, przy czym te ostatnie pomalowano na białą z czarnym kleksem źrenic. Za brwi robił mech, za uszy robiły dwie skorupy ślimaków. Tylko zęby ów Kojot miał prawdziwe – część ludzkich, część zwierzęcych – ułożone tak, by imitowały prawdziwe uzębienie.

– Naprawdę mam nadzieję, że z czasem wyładnieje – stwierdził Loki, wpinając w błotną pierś znaczek „Tak, twoją matkę też”. Na patykowaty palec wepchnął nadgnieciony naparstek, a w drugą dłoń wcisnął magnes lodówkowy z pozdrowieniami z Troll’s Face.

Eagleclaw przyglądał się temu ze zdziwieniem.

– Co to?

– Atrybuty mocy – odparł Loki. – Pomogą.

– Takie pierdółki? – skrzywił się inny z wodzów.

Loki posłał mu przelotne spojrzenie.

– Odtwarzamy waszego boga ze starych jajec, więc może nie oceniał, co? Poza tym...

Nie dokończył zdania, bo nagle dostrzegł poruszenie wśród Shorouki. Jeden z nich trzymał przy uchu telefon, rozmawiał z kimś. Pozostali zgromadzeni wokół niego dopytywali o coś intensywnie.

Loki wymienił spojrzenia z Butchem. Wielki anioł skinął nieznacznie głową, a po krótkiej chwili odszedł na bok i zniknął.

Od strony Shorouki kilkakrotnie padło to słowo na „n” i widocznie mocno ich nakręciło, bo zaraz wskoczyli w samochody i odjechali.

Eagleclaw rozmasował twarz, kryjąc w dłoniach rozczarowanie i wstyd.

– Przepraszam za nich. Czasem...

– Czasem natura jest silniejsza – odparł zupełnie poważnie Loki. – I czasem po prostu jesteśmy tym, czym jesteśmy.



Butch zmaterializował się pod Ketchum’s Diner. Ustawił się w miejscu, z którego sam miał ogląd na cały parking, ale

jednocześnie nie był widziany z okien.

Z wnętrza lokalu dochodziły go słowa i czuł narastające z każdą chwilą napięcie. Wiedział, że jeszcze tylko chwila i się zacznie.



– Też się cieszę na powtórne spotkanie, Shorouki – powiedziała krępa towarzyszka Ivonne, wstając i kładąc ręce na biodrach. – Ale myślę, że powinienes mimo wszystko zmienić ton. Bo jest was stanowczo za mało, by mówić mi, co mam robić.

Z jej słów biła niepokojąca pewność i w jakiś sposób przerażające rozbawienie. I jeszcze to wyzwanie, które rzucała swoimi słowami bandzie uzbrojonych mężczyzn zdolnych pochwycić anioła!

Oliver patrzył na nią z uwagą, zastanawiając się jednocześnie nad swoimi opcjami. Cienka pętla opaski nałożonej mu na rękę przez Rdzennego paliła go żywym ogniem i pozbawiała podstawowych anielskich umiejętności. Czuł, że nie tylko nie byłby w stanie teraz w ułamek sekundy przenieść się pod tamten boks, lecz także zniknięcie komuś z oczu po tym, jak już się ujawnił, przekraczałoby jego możliwości. Był w tej chwili niczym najzwyklejszy w świecie śmiertelnik.

Ale tacy przecież także dokonują heroicznych aktów dla swoich bliskich, przemknęło mu przez głowę. Więcej nawet. Dopiero teraz był to prawdziwy heroizm. Bo przecież bohaterstwo jest właśnie wtedy, gdy faktycznie rzucasz coś na szalę.

Wtedy zdał sobie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze, że zrobi absolutnie wszystko, by w tym momencie chronić Ivonne. A po drugie... że jego podopieczna wcale nie wygląda na zagrożoną, a przynajmniej nie bezpośrednio. Uwaga Shorouki, tych przy

tamtym boksie, ale i tych blisko niego, była bowiem skupiona na tej drugiej. Tej, z którą – wedle jej słów – już się znali. Gdyby więc tylko udało mu się pozbyć opaski i jakoś dyskretnie, korzystając z nieuwagi tamtych, dotrzeć do Ivonne, mógłby spróbować jakoś ją wyprowadzić. Może nawet złamać zasady i wyteleportować? Jakoś się z tego wytłumaczy, coś wymyśli...

Dyskretnie sięgnął do leżącego na stole noża do steków. Upewniając się, że cała uwaga otaczających go Rdzennych skierowana jest teraz na boks po drugiej stronie Sali, wykonywał bardzo powolne ruchy palcami, aż w końcu wsunął ostrze pod dłoń i skrył pod przedramieniem.

Jednocześnie nie przestawał intensywnie myśleć. Kim była ta kobieta? Rdzenną mityczną? Bardzo możliwe, emanowała jakąś skołtunioną, zmieszaną mocą, której Oliver nie potrafił do końca zidentyfikować. Miała w sobie coś z tych pierwotnych sił, z którymi dotąd spotykał się dość przelotnie, ale jednocześnie coś z kłamcy. Było w niej też coś... anielskiego? Jakby naturalny zapach mieszający się z perfumami. Jakby...

Jeden z Shorouki krzyknął coś, wskazując za okno. I niemal w tym samym momencie krępa agentka poderwała się w górę i wzniosła ponad linię siedzisk. Jej oczy błysnęły czernią, a twarz nabrała ostrzejszych rysów. Z jej łopatek wystrzeliły dwie pary potężnych, kruczo-czarnych skrzydeł.

Upadły, pomyślał Oliver. To jeden z zakamuflowanych upadłych aniołów Lucyfera!

Shorouki poderwali się z siedzeń, dobyli noży. Kilku zawyło przeraźliwie. Upadły unoszący się nad siedziskami roześmiał się w odpowiedzi, pokazując rozczapierzone dłonie. Każdy z palców przechodził w ostry, zrogowaciały szpon.

Oliver spojrzał na Ivonne, która w tym właśnie momencie popatrzyła w jego stronę. I widok nowojorskiego przyjaciela geja

sprawił, że bezkresne, podszyte strachem zdumienie na jej twarzy przeszło w uśmiech.

Ona znowu myśli, że to wkręt, przemknęło przez głowę anioła. Że to wszystko jest jeden wielki, ustawiony numer. Zaraz umrze i to będzie jej ostatnia myśl.

Drzwi do zajazdu otworzyły się nagle i do środka wpadło z wrzaskiem kilkunastu kolejnych Shorouki. Część z nich miała broń palną, inni ostrza długie i krótkie. Wszyscy natomiast mieli w rękach farby w sprayu. Błyskawicznie rozstawili się po całym lokalu, pewnie i szybko kreśląc symbole na ścianach i podłodze. Wreszcie dwóch sięgnęło do przewieszonych przez pierś skórzanych toreb i wysypało w stronę wentylatorów białą, drobną proszek. Pomieszczenie wypełniło się mgłą, a namalowane symbole rozjarzyły się na zielono.

Upadły ryknął i załopotał skrzydłami, częściowo rozganiając mgłę. Shorouki przybrali pozycje bojowe. Ewidentnie wiedzieli, co robią, i w tak licznej grupie czuli się pewnie. Zaskoczenie wywołane tym, że zamiast zwykłego Stróża natrafili też na dużo potężniejszą, zakamuflowaną istotę, mógł ich zaskoczyć na chwilę, ale nie na długo. Teraz czuli się gotowi.

Oliver wykorzystał ten moment, by mocniej złapać za ukryty nóż. Gdy przecinał opaskę, poczuł jednocześnie przeszywający, elektryzujący ból i ulgę. Zdematerializował się i przeniósł tuż obok Ivonne. Dopiero gdy się przy niej objawił, gdy poczuł, że się dławi i brakuje mu tchu, uzmysłowił sobie, po co był ten cholerny proszek sypnięty w wentylator!



Gdy na parking wjechały dwa pickupy, Butch zdjął płaszcz. Powiesił go na żywopłocie, podwinął rękawy koszuli. Gdy z samochodów wysiadło kilkunastu Rdzennych, ruszył przez parking, zaciskając pięści. Jeszcze zanim doszedł do drzwi, rozbite z trzaskiem okno wypuściło pierwszego z czerwonoskórych. Nic sobie z tego nie zrobił. Podobnie jak z wystrzału, głośnego, demonicznego ryku i krzyków w nieznanym narzeczu. Zmaterializował się i z marszu, kopnięciem wbił drzwi do środka.



Oliver się dusił. Mglisty, wilgotny pył, który rozciągał się w powietrzu niczym babie lato albo drobinki cukru rozciągnięte w watę cukrową, oblepiał go teraz w środku i na zewnątrz, odbierając zdolność ruchu, działania. Musiał to być szamański wynalazek właśnie do blokowania teleportacji, pułapka reaktywna na anielską próbę dematerializacji. Ci Rdzenni wiedzieli, co robią. Wiedzieli, jak obezwładnić, a pewnie też jak zabić anioła.

Na potężniejszego Upadłego też ewidentnie mieli strategię zbliżoną do pierwotnych ludzi polujących na mamuta. Osaczali, wypuszczali ataki pozorowane, próbowali dźgać. Do czasu, aż upadły wyprowadził pierwszy atak, wzbijając się wyżej, odpędzając pył i rzucając się do przodu.

Oliver, coraz słabiej walcząc z bezdechem, zebrał w sobie resztkę sił. Energicznie objął podopieczną, przytrzymał, a gdy ta spróbowała się szarpnąć, wypuścił skrzydła i rzucił się z nią pod stół. W samą porę, bo w tym momencie Upadły wyrwał do przodu, porywając jednego z napastników i rozrywając go na pół, jakby darł kartkę papieru. Zaraz potem odwinęła się i rozbiła głowę

kolejnego o ścianę jak dojrzały arbuz. Pozostali Shorouki cofnęli się gwałtownie.

Ivonne chciała walczyć. Ale anioł wiedział, że w tym starciu ma jeszcze mniejsze szanse niż on, nawet tak strasznie osłabiony. Gasnąc, walcząc o przytomność, szeptał jej więc do ucha uspokajające, wyciszające mantry, jakby wprowadzał ją w spokojne, ciche oko cyklonu. Dookoła w kotle starcia rozlegały się ryki tryumfu i bólu, krzyki w rdzennym narzeczu i śmiech Upadłego. W środku byli tylko on i ona. Kobieta na kładce i prowadzący ją anioł.

Wtedy właśnie rozległ się głośny huk oznajmujący, że kolejna postać dołączyła do starcia, rozrzucając Rdzennych na boki.

Kolejny Upadły, pomyślał Oliver, nie widząc twarzy napastnika i nie mogąc go wyczuć. Wiedział, że to najprawdopodobniej anioł, bo spod stołu widział kawałki jego skrzydeł, czuł wibrację mocy, gdy tamten się ruszał. Ale jego brutalność i jednoczesna obcość mówiły wyraźnie – to nie jeden z naszych.

To Kłamca, przemknęło Stróżowi przez głowę. To jest powód, dla którego Loki był tutaj i działał. Budował oddział Upadłych. Chciał dopuścić się zdrady!

Skupił się ostatkiem sił, by zrobić to, co przysługiwało każdemu z aniołów jako ostatnie odwołanie. Zakrzyknął we własnym wnętrzu do archaniola Rafaela. Zaweźwał go, by ten przywołał jednego ze swoich braci. Oczywiście Gabriela, bo jak każdy Stróż Oliver bał się Michała.

Rafaelu, proszę!

Gdy był już na skraju przytomności, rozległ się głos Gabriela. Trzy słowa wypowiedziane tonem, jakiego mógłby użyć tylko herod samego Boga:

– Jestem. Przybywam. Wytrzymaj.



– Wystarczy – przerwał archanioł Michał.

Loki posłusznie umilkł, ale zaraz z kpiarskim uśmiechem przeniósł wzrok na Gabriela.

– Sorry, Gabi. Ja chciałem pokazać scenę z tobą, ale to pan producent zabronił. – Wskazał ręką na Wodza Zastępów, a następnie zwrócił się już bezpośrednio do niego. – Jeżeli mówiłem coś za szybko albo trzeba ci coś wyjaśnić...

Michał dał wzrokiem znak Gabrielowi i bez słowa wyszedł. Drugi z archaniołów obejrzał się na Kłamcę, po czym podążył za bratem.

– Spokojnie, możemy z miśkiem potrzymać dla was ten urwany wątek! – zawołał za nimi Loki. – Nie ma sprawy!

Michał szedł szybko korytarzem, raz po raz uderzając się w czoło nasadami obu dłoni. Myślał intensywnie, bo ewidentnie coś mu w tym wszystkim nie grało. Skręcił za róg i nagle przystanął. Tak gwałtownie, że goniący go Gabriel zderzył się z nim.

– Ej, nie rób tak!

Michał odwrócił się do niego, mrużąc oczy.

– Dlaczego Loki kupował broń? – zapytał.

– Co? – Gabriel nie zrozumiał.

– Dlaczego Loki w tamtym sklepie, w którym spotkał się z agentką, kupował broń? Przecież nie była mu do niczego potrzebna w jego planie.

Gabriel podrapał się po głowie.

– Nie wiem... Może...

– I dlaczego Butch po całej tej akcji zniknął? Dlaczego się chowa? – kontynuował Michał. – Skoro w tej akcji zaraz potem

pojawiłeś się ty i inni aniołowie, krzyżując plany Lokiego, to dlaczego Butch uciekł?

Gabriel się uśmiechnął.

– No widzisz, bracie. Gdybyś posłuchał opowieści do końca, usłyszałbyś, że pognał w ślad za tamtym Upadłym.

Michał wolno pokiwał głową, choć raczej już nie słuchał. Jego mina świadczyła, że myślami jest już zupełnie gdzie indziej, a tryby w jego głowie składają to wszystko do kupy.

– To był bardzo poważny błąd, że ściągnęliśmy tu moich dowódców. Idę rozesłać ich z powrotem! Plan Lokiego jeszcze się toczy, Gabrielu, a to wszystko, co się stało, jest najwyraźniej rodzajem dywersji. Sprowadź mi Zadrę. I tych dwóch głupków. Chcę ich wszystkich w jednym pomieszczeniu.

– Ale... – zaczął Gabriel, po czym machnął ręką. – Jak chcesz. Tylko daj mi chwilę.



Butch wstał. Przeciągnął się wolno, rozłożył szeroko ramiona, pokręcił głową w jedną, potem w drugą stronę. Wykonał kilka wymachów rękami, kilka ruchów na otworenie klatki piersiowej, pokręcił biodrami. Potem jeszcze kilka przysiadów.

Ukryta w mroku postać o czarnych oczach przyglądała się tym ruchom z leniwym zaciekawieniem.

– Naprawdę myślisz, Butch, że to ci wystarczy? – zapytała. – Naprawdę myślisz, że wystarczy sił, by się z nim skonfrontować? By wygrać?

Anioł nie odpowiedział od razu. Odszedł kilka kroków na bok, wykonując okrężne ruchy nadgarstkami, po czym wrócił z długim

mieczem w dłoni. Wymierzył nim w stronę ognia, tak że zboczne wydawało się teraz wypełnione lawą.

– Ktoś powiedział kiedyś – rzucił, wpatrując się w napisy na ścianie, zwłaszcza ten z deklaracją obecności niejakiego Czechowa – że czasem nie trzeba wygrywać. Czasem wystarczy, że inni przegrają.

Postać z mroku pokręciła głową.

– Jak zwał, tak zwał, Butch. Jesteś w stanie sprawić, że Michał przegra?

Anioł machnął mieczem na ukos, tnąc płomienie. Wykonał młynek i wymierzył sztychem prosto w postać.

– Jestem tylko kulą w rewolwerze Pana. Ostrzem w jego dłoni. Tak jak ty jesteś tylko posłańcem, który we właściwym momencie ma dostarczyć odpowiednią wiadomość. A co wydarzy się dalej... to już ponad nami, czyż nie?



Michał zdecydował, że usiądą w sali konferencyjnej z wielkim, okrągłym stołem. Tam właśnie czekał, zajmwszy miejsce na wprost wejścia. Rozłożone skrzydła sterczały za nim niczym oparcie wielkiego tronu, obnażony miecz skierowany ostrzem w stronę drzwi wolno wypalał brązowy ślad na blacie.

Po jego lewej stronie, dwa krzesła dalej, miejsce zajął Loki. Bóg Kłamstwa siedział odchylony z rękami zaplecionymi na piersi i z wykałaczką w zębach. Przed nim siedział pluszowy miś odchylony do tyłu i oparty na łapkach, przez co wyglądał trochę jak plażowicz, który podniósł się na chwilę z koca, by popatrzeć na fale. Po prawicy archanioła znalazł się Zadra. Obejmował się rękami, jakby było mu zimno, i starał się nie patrzeć na nikogo.

Ostatni znajdujący się w pomieszczeniu, Gabriel, stał przy drzwiach. Gdy rozległo się pukanie, dał sygnał, by wejść. Do sali weszło dwóch aniołów, a za nimi Bachus i Eros.

– No nareszcie! – zawołał Loki. – Słyszałem tekst o tym, że w domu Pana jest mieszkań wiele, ale aż tyle, żeby was zgubili?

Bóg Wina spojrzał na niego z wyrzutem.

– Nie mówiłeś, że nie będą tu mieli jedze... – rzucił i zaraz przyłożył rękę do ust, jakby chciał powstrzymać wychodzące z nich słowa.

Za późno. Michał skupił na nim wzrok i uśmiechnął się paskudnie.

– Czyli mam rozumieć – zapytał – że spodziewałeś się, że tu trafisz?

Bachus zerknął na Lokiego, a potem na Erosa. Żaden nie dał mu nawet niewerbalnej odpowiedzi, więc po prostu wzruszył ramionami i zajął wolne miejsce. Gdy usiadł również Bóg Miłości, Michał pochylił się do przodu.

– Słuchałem tych waszych wszystkich opowieści, które ściągnęły mnie aż tutaj i rzekomo wywołały taki kryzys – powiedział, gładząc palcem skórzaną owijkę na rękojeści miecza. – Choć były one bardzo obszerne i pełne detali, to jednak wciąż mam kilka pytań. Chciałbym uzyskać na nie odpowiedzi tu i teraz.

Obrócił miecz tak, że sztych wskazywał teraz na Kłamcę.

– Co miało ci dać wskreszenie Kojota? – zapytał.

Loki wzruszył ramionami, a wykalaczka w jego ustach przewędrowała z jednego kącika ust do drugiego.

– Kolegę, który mnie wreszcie zrozumie? – odpowiedział. – Kogoś, z kim będę mógł wyjść po pracy i...

Michał błyskawicznie złapał za miecz, machnął nim i chlasnął Lokiego przez twarz. Na stół upadła kępka włosów, a zaraz po niej kilka ciężkich, bordowych kropel z rozciętego policzka.

Kłamca sięgnął palcami do rany, przyłożył krew do ust, posmakował.

– To być może najostrzejsza krytyka moich żartów, z jaką się spotkałem – stwierdził i uśmiechnął się krzywo. – Ale w takim razie nic ci już nie powiem. Nie dałeś mi dokończyć tamtej opowieści, to teraz cierp.

Płomień na twarzy Michała rozgorzał, ale zaraz przygasł, jakby archanioł wciągnął go w siebie siłą woli.

– Nie będziesz teraz żartował, Kłamco – odparł. – Jesteś oskarżony o działanie przeciwko woli Pana.

Odłożył miecz na poprzednie miejsce i obrócił go tak, by tym razem sztych wskazywał na Bachusa.

– Popracujmy chwilę nad chronologią. Z opowieści Zadry wynika, że gdy Loki dowiedział się o działaniach trickstera Samediego, wy już realizowaliście jego plan związany z Kojotem i Montaną, tak? Werbowaliście łatwowiernych? Nie patrz na kolegów, opoju! Ciebie pytam.

Bachus przełknął ślinę.

– Tak. Tak było. Zaczęliśmy wcześniej.

Michał trącił miecz. Ostrze wycelowało w Erosa.

– I mam rozumieć, że byliście w trakcie realizacji tego planu, gdy zbiegiem okoliczności zupełnie inny bóg kłamstwa pokazał wam swoją terakotową armię golemów?

Eros nie musiał się na nikogo oglądać. Po prostu przytaknął.

Michał, dotknął opuszkami palców płomienia na twarzy. Zaskwierczało.

– Bardzo dziwnie się to splata – mruknął. – I uznałbym to wszystko za kłamstwo, gdyby nie to, że potwierdzasz to ty, Zadra. Nadal nie wiem, dlaczego poszedłeś na współpracę z Kłamcą, ale niezależnie od tego wciąż pozostajesz...

– ...aniołem nie mogącym skłamać – dokończył za niego Gabriel. – Ale miałeś zapytać Kłamcę, dlaczego kupował broń,

pamiętasz? Loki, powiesz nam?

Kłamca już otwierał usta, ale Michał uniósł zaciśniętą pięść.

– Nie, jeszcze nie – powiedział. – Zadra, wspomniałeś o liście Lokiego do Lucyfera. Tego, w którym daje mu znać, że zniweczył jego plany. Czy Lucyfer jakoś na to zareagował?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł anioł.

– A jak długo po tym liście rozpoczęła się akcja Montana?

– Operacja Straszliwy brzydał – poprawił Loki. – To od amerykańskiego idiomu, bo możesz nie znać. Coyote ugły znaczy...

Urwał, gdy ostrze miecza znowu znalazło się tuż przy jego twarzy. Leniwy płomyk zatańczył na sztychu.

– Dwa albo trzy tygodnie później. Loki wcześniej zajmował się jakimiś sprawami osobistymi. Musiał zerwać z... Jenny. I coś tam jeszcze dokończyć.

Michał zazgrzytał zębami. Popatrzył na Gabriela.

– Czy w tym czasie realizował wszystkie zadania, które dla niego miałeś?

– Wszystkie – odparł archanioł. – Nawet gorliwiej niż wcześniej. Do czasu, gdy...

– To wiem. – Michał znowu wszedł mu w słowo, po czym zwrócił się do Lokiego. – Jeżeli czegoś się przy tobie nauczyłem, to tego, że kluczowe w twoich historiach nie jest to, co mówisz, tylko co ukrywasz. Dlatego zapytam, choć wiem, że nie mam co liczyć na prawdę. Rozmawiałeś z Lucyferem po swoim liście?

Kłamca sapnęła. Trochę się odsunęła, po czym wyjął z ust wykałaczkę.

– Odłóż miecz – powiedział. – Wtedy ci odpowiem.

Przez dobre kilkanaście sekund mierzyli się wzrokiem. W końcu jednak Michał odłożył miecz. Odsunął go też od siebie tak, by nie móc go chwycić w ułamku sekundy.

Kłamca wyszczerzył się w uśmiechu.

– Oczywiście, że się z nim widziałem. Rozmawialiśmy o końcu świata, wolnej woli i o tym, jak wy, skrzydlaci, potraficie tylko pierdolić, że ludzie mogą robić, co chcą. Że sami są za siebie odpowiedzialni. Co to za wolna wola, gdy straszycie piekłem, gdy narażacie na potępienia i demony, gdy Stróże pilnują, byś żył zgodnie z zasadami. Jaki jest sens tego wszystkiego?

Michał nie odpowiedział.

Gabriel odczekał chwilę, po czym podszedł do stołu i oparł się o niego pięściami.

– Dlaczego kupowałaś broń, Loki? Broń, której nie potrzebowałaś w swoim planie?

Kłamca z powrotem wepchnął do ust wykałaczkę.

– Och, przecież to proste – odparł. – Po coś skierowałem Ivonne Blachovich do tej zapyziałej dziury. Wiedziałem, w jakiej sytuacji jest jej anioł, wiedziałem, że mogę to rozegrać, jak trzeba. Musiałem tylko zaniepokoić agentkę tak, żeby z kolei ona wzbudziła niepokój swojego Stróża. Chciałem, żeby to był ktoś, kto mnie zna, komu już raz czy drugi pomogłem. I kto w końcu pokojarzy, że coś kombinuję, ale nie od razu. On musiał do tego dojść stopniowo, odkryć zagrożenie i szczerze, w prawdziwie kryzysowym momencie wezwać Gabriela. Anioł dostępny dla podopiecznej tylko na telefon i mający w związku z tym szereg wyrzutów to chyba w tym przypadku układ idealny, czyż nie? Idealny, żeby wywołać kryzys, pokazać wielkie zagrożenie i... no, Michale. Na pewno się domyślisz.

Michał wpatrywał się w Lokiego, walcząc z gorejącym w nim płomieniem. W jego głowie klocki układały się jak w Tetrisie.

– Zawsze byłeś jednym z tych wodzów, którzy byli chętni do stawania w pierwszym szeregu, co, Michale? – rzucił z rozbawieniem Loki – Do walczenia ramię w ramię ze swoimi żołnierzami. Ale przecież tylko wódz stojący na wzgórzu widzi kompletny obraz pola bitwy i może podejmować prawdziwie

słuszne decyzje. Gdybyś spojrział na te opowieści z dystansem, wiedziałbyś już wcześniej, że kogoś w nich brakuje. Kogoś, kto nie pozwoliłby sobie na bycie statystą w nie swojej historii.

Michał odetchnął głęboko. Przymknął oczy, tłumiąc ogień. Gdy je otworzył, płomień na jego twarzy był tylko tatuażem przypominającym skaryfikację.

– Gdzie on jest? – zapytał cicho.

– O kogo pytasz?

– Gdzie jest Gabriel?

Loki wycelował w niego palcem.

– O! I to jest wreszcie jedyne, słuszne pytanie. Mogę cię do niego zabrać, jeśli chcesz. I tak, możesz zabrać swój miecz.

Michał uniósł wzrok, spojrział na postać stojącą w progu. Na istotę, która wciąż wyglądała jak jego brat i która teraz uśmiechała się paskudnie.

– Nie powinienesz czuć się winny, bracie – powiedział Lucyfer. – Zrobiłeś wszystko, co należało, nawet jeśli po czasie. Upewniłeś się, że jestem archaniołem, sięgnąłeś do mojej głowy, by to potwierdzić. Nie sprawdziłeś, co prawda, którym, ale niby czemu miałbyś to robić, skoro akurat mnie się tutaj nie spodziewałeś? Nikt już nie pamięta, że było nas czterech. Jestem jak ten wykluczony członek zespołu, który wypadł z kapeli na chwilę przed tym, nim ta zrobiła karierę.

Loki wstał. Michał dostrzegł to kątem oka i natychmiast poderwał się z miejsca, łapiąc za miecz. Grecy bogowie niemal równocześnie odsunęli się na krzesłach, przywierając oparciami do ściany. Tylko Zadra trwał w bezruchu, jakby nieobecny.

– Cokolwiek planowaliście... – zaczął Michał, ale Loki tylko machnął ręką.

– Cokolwiek planowaliśmy poza tobą, już się wypełniło, głuptasie – rzucił. – Nie myślałeś chyba, że jesteśmy złoczyńcami z filmów, którzy mówią, co zaraz zrobią, by bohater mógł ich

powstrzymać. To, czego chcieliśmy, już się stało, prawda, Po-prostu Teddy?

Gabriel skinął głową i na oczach wszystkich zaczął się zmieniać. W krótką chwilę czarnowłosy archanioł stał się wyluzowanym nastolatkiem ubranym w nieco za dużą bluzę z kapturem. Gdy przemiana się dopełniła, Po-prostu Teddy usiadł na krześle, oparł ręce o blat i złożył dłonie w piramidkę.

– Zadałeś bardzo dobre pytania, Michale – powiedział. – Świadczy o twojej wielkiej przenikliwości. Problem w tym, że, jak zauważył Loki, zadałeś je stanowczo za późno. Faktycznie po tym, jak otrzymałem list od Lokiego, trochę się wkurzyłem. Szykowałem się do realizacji swojego planu, miałem przygotowanych szereg ruchów wyprzedzających. Ale potem uświadomiłem sobie, że siedłem tam z niektórymi rzeczami jak po sznurku, jakby ktoś wymyślał je za mnie. Nie spodobało mi się to. Zacząłem więc szukać innych opcji. A przede wszystkim chciałem się dowiedzieć, co myśli Loki. Bo choć młody jak na trickstera, to jednak całkiem nieźle kombinuje. Gdy przeczytałem o tej próbie pozyskania sojusznika z martwego trickstera, zaciekawilem się wyprzedzająco, co dzieje się u innych, wielkich. A kiedy się dowiedziałem, pomyślałem: ej, może ich skonfrontuję? Zobaczę, co Loki robi z tymi ich planami. I tak od słowa do słowa, od akcji do akcji zbudowałem intrygę.

– Bardzo sprytną – przyznał Loki. – Trochę mi zajęło, zanim ją przejrzałem. A gdy się udało, gdy domyśliłem się, kto za tym stoi...

– Spotkaliśmy się – przejął pałeczkę Po-prostu Teddy – i doszliśmy do wniosku, że da się to wszystko połączyć.

Michał zazgrzytał zębami, stłumił płomień.

– Chcecie zniszczyć ten świat? O to wam chodzi?

Loki parsknął śmiechem.

– Przeciwnie, Misiu – odparł. – Chcemy uczynić go zgodnym z wolą twojego Boga. Teddy jako Gabriel wytłumaczył ci działanie

brudnopisu, czyż nie? I to, że to Metatron zdecydował o końcu świata? Bóg nie miał takiego pomysłu. Chciał to naprawdę oddać ludziom do samodzielnego rozkminienia.

– Zaraz – wtrącił się nagle ośmielony Bachus. – Czyli to nasze łązenie od domu do domu i gromadzenie naiwniaków to była blaga?

– Ech, wam to coś tłumaczyć – zachnął się Loki. – Oczywiście, że nie blaga. Na początku faktycznie chodziło o przejęcie kontroli nad Kojotem i zjednanie sobie plemienia Shorouki, zabójców aniołów. Tak na wszelki wypadek. Ale gdy zjawił się w równaniu Po-prostu Teddy, gdy sobie pogadaliśmy, to nam wyszło, że nie tędy droga i że najlepiej wyjdzie, jeśli każdy kłamca będzie szedł swoim torem, swoją ścieżką. Zjednoczenie potrzebne nam było tylko na chwilę. A wtedy... Ej, Michał, nie machaj mi tym mieczem, mówiłem ci już. Zrobisz krzywdę Gabrielowi!

– Gdzie on jest? – warknął Wódz Zastępów.

– Zaraz się dowiesz – zapewnił Po-prostu Teddy. – Ale chcę, byś dobrze rozumiał, w jakiej sytuacji jesteś, żebyśmy uniknęli głupot. Gdy Gabriel i aniołowie zjawili się z interwencją, ja byłem tam jako Upadły w ciele pewnej agentki i za pomocą Butcha dokonałem zamiany ról. On przejął słodkiego Gabrysia, a ja... no cóż, przejąłem dowodzenie, wezwałem ciebie i pozwoliłem ci wezwać twoich oficerów. Przede wszystkim jednak ściągnąłem tu Zadrę, Bachusa i Erosa.

Michał milczał, więc po wymianie spojrzeń z Lucyferem teraz to Loki przejął pałeczkę wyjaśnieniowej sztafety.

– Ciekawiło cię, dlaczego Zadra został ze mną – przypomniał. – To bardzo dobre pytanie, więc odpowiem. Najpierw z troski. Zastanawiał się, czy może uratować Butcha, na przykład poprzez zabicie go jeszcze raz i wskreszenie w wersji, która nie będzie mi przychylna i posłuszna. Ale w pewnym momencie, gdy już spotkaliśmy się z kolegą Lucyferem, a ten otrzymał ode mnie

oprogramowanie AI do wyśpiewywania aniołów, to nam wyszło, że możemy nie tylko tworzyć nowe anioły, lecz także zmieniać pieśń bazową aniołów już istniejących. To tak, jakby nadpisywać im w ten sposób kod. Możesz zmienić ich myślenie przez dośpiewanie im zwrotek zmieniających kontekst. To się właśnie działo z twoimi dowódcami, gdy najpierw daliśmy się im naradzić, a potem rozesłaliśmy do osobnych pokoi. Na twoją prośbę zresztą. Z tego samego powodu Zadra wierzył w to, co ci mówi, nawet gdy mówił nieprawdę. Takie obejście anielskiej niezdolności do kłamstwa. To samo spotkało teraz większość Stróży, którym Bachus z Erosem pracownicy nadpisywali programy w stróżowym archiwum. Siedzieli tam w zasadzie od aresztowania. Dlatego nie mogli się z tobą spotkać.

Michał potrzebował chwili, by to do niego dotarło. Gdy tak się stało, ryknął wściekle, wybuchając ogniem. Wzniósł miecz nad głowę, chcąc uderzyć w Lokiego. Kłamca pstryknął palcami.

Gdy płonący miecz opadł... ze zgrzytem uderzył o drugi. Nad Lokim stał teraz Butch, trzymając miecz w bloku. Jego potężne ręce drżały z wysiłku, twarz przepełniała determinacja.

Loki wysunął się zza swojego obrońcy i stanął obok.

– Dwie rzeczy, Michale, zanim zaczniesz rąbankę. Po pierwsze, zdajesz sobie pewnie sprawę z tego, że w tym momencie twoje zastępy są poważnie zagrożone, prawda? Terakotowa armia Wukonga zajmie ich tylko przez chwilę, ale każdy z twoich, który padnie, zostanie wskrzeszony nową pieśnią wyśpiewaną przez AI. Jeśli będzie trzeba, zrobimy z nich zombie. A jak wielu ich padnie, skoro teraz to my odpowiadamy za decyzje ich dowództwa?

– Nie chcemy tego robić – dodał Po-prostu Teddy. – To nie jest zgodne z naszym planem oddania wszystkiego w ręce ludzi. Ale wiedz, że możemy.

– No i druga rzecz, chyba pilniejsza. – Kłamca wziął do ust wykalczkę. – Pamiętasz, jak Zadra powiedział ci, że zabijałem

Butcha tak długo, aż trafi się taki, który jest ze mną zgodny? Cóż, gdybym potrzebował tylko tego, nie musiałbym go ubijać tyle razy. Prawdziwym wyzwaniem było znalezienie takiej jego wersji, która będzie w walce dużo lepsza od ciebie. Takiej, której nie dasz rady.

Wziął do ręki misia, skinął na Bachusa oraz Erosa i ruszył w stronę drzwi.

– Chodźcie, chłopaki. Zostawimy ich samych – powiedział. – A wam, panowie, miłej napierdalanki.

Nie zdążyli zamknąć drzwi, gdy dobiegł ich szczęk mieczy. Loki nawet się nie obejrzał. Ruszył korytarzem przed siebie. Tuż za zakrętem dogonił go Eros.

– I tak to się miało skończyć, Loki? – zapytał. – Oddaniem całej władzy Lucyferowi i zabiciem Michała?

Kłamca przystanął.

– Po pierwsze, jakiej władzy? Lucyfer to dziś trickster, potężny, ale jeden z wielu. Samedi, Sun Wukong, do tego wskrzeszony Kojot potężniejszy niż zwykle i dziesiątki innych. To mnóstwo pretendentów. Tacy jak my lubią gry i chaos, a nikt nie da nam go więcej niż ludzie z wolną wolą. On to rozumie. Po drugie, kto tu mówi o jakimkolwiek zabijaniu? Z uwięzionym Gabrielem jakoś się dogadamy, on i jego aniołowie, zwłaszcza Butch i Zadra, dostaną swoje miejsce w nowym porządku. Nigdy nie był radykałem. Staną się dla mitycznych nie okupantem, a policją strzegącą ludzi przed tymi, którzy chcą ich wykorzystać. Czyli w pewnym sensie zajmą się robieniem tego, co ja kiedyś. Zdjęliśmy z nich ograniczenia przykazań, więc mogą.

– No a Michał? – zapytał Bachus. – On nie pójdzie na żaden układ. Nie zmieni swojego podejścia.

– Nie pójdzie, owszem – zgodził się Kłamca. – Ale zabijać go nie zamierzam. W końcu to jemu zawdzięczam wolność, prawda?

Zza rogu wyłonił się Po-prostu Teddy. Żuł gumę i akurat robił z niej wielki balon. Na widok rozmawiających bogów połknął go

i się uśmiechnął.

– Wykonało się – powiedział. – Możesz działać.



Archanioł Michał ocknął się w ogromnej jaskini rozświetlonej dziesiątkami kryształów. Był poraniony, ale żadne z cięć nie wyglądało na poważne. Ot, ślady walki, jakich odbył w życiu wiele. Choć z tak silnym przeciwnikiem jak odmieniony Butch starł się chyba pierwszy raz. Bolała go ta klęska. Bolała, bo wiedział, jaka była stawka.

Teraz leżał na czymś twardym, co okazało się kamiennym ołtarzem. Szybko zorientował się też, że jest spętany łańcuchami i czymś, co przypominało skrzyżowanie roślinnych pnączy z jelitami. Szarpał się, ale nie puściły. Spróbował jeszcze raz.

– Szarpałem się przez setki lat – rozległ się głos wzmocniony echem jaskini. – Próbowałem wszystkich sztuczek i raczej nie wymyślisz nic nowego.

Michał poderwał głowę i dostrzegł Lokiego siedzącego nieopodal. Kłamca jadł kanapkę, przy nodze miał termos i pluszowego misia.

– Ciesz się, że nie masz tego cholernego węża nad głową. On naprawdę czynił to wszystko nieznośnym.

Michał zacisnął zęby, zamknął oczy i uwolnił ogień, całą moc Pana, jaką miał w sobie. Wrzasnął, gdy rozgrzany kamień zapieknął go w plecy. Więzy nie puściły.

– Wiem, że nie ma sensu mówić ci, żebyś odpuścił – powiedział Kłamca. – Ale naprawdę nie ma sensu. Sam stąd nie wyjdziesz, przemyśleliśmy to.

– Ty i Lucyfer? – parsknął Michał. – To zdrajca, wykiwa cię.

– A ty chciałeś być wobec mnie w porządku? – zapytał poważnie Loki. – Choć w jednej chwili?

Wepchnął końcówkę kanapki do ust, wstał i zmiął papierek, a następnie wcisnął go do kieszeni. Wolał tu niczego nie zostawiać.

– Nie jesteśmy przyjaciółmi, Michale. Nigdy nie byliśmy i nie będziemy. Ale uznałem, że jestem ci winien życie, i taka była moja cena za ten układ: żebyś trafił tutaj. Gabriel też postawił twoje przeżycie jako warunek dla naszej dalszej współpracy. To tak, żebyś wiedział.

Słowa o współpracy brata zaboląły Michała mocniej niż którakolwiek z zadanych mu przez Butcha ran.

– Kiedyś się uwolnię – wycedził.

Kłamca wzruszył ramionami.

– Pewnie tak. A wtedy zbierzesz swoją armię i ruszysz zafundować nam wszystkim koniec świata. Wiem, że ci, którzy tu leżą, tak myślą. Ale potem dociera do ciebie, że nie ma powodu, by ten świat się kończył. To fajne miejsce, jeśli nikt go z góry nie planuje.

Podniósł z ziemi miszka i podsunął jego pyszczek do ucha.

– Co mówisz, stary? Że chcesz tu z nim zostać i dotrzymać mu towarzystwa? Serio? Przecież to gbur.

– Nie chcę go – warknął archanioł.

– Też mu się dziwię – odparł Loki, ale posadził Kłamczucha na kamieniu, a sam wepchnął do ust wykałaczkę. – Ale wierz mi, docenisz go, bo to równy kompan. Choć czasem straszliwie gadatliwy.

To powiedziawszy, odwrócił się i poszedł do wyjścia z jaskini. Wstąpił na schody, ruszył ku powierzchni. Szedł wolno, słuchając ryków i krzyków wściekłego archanioła. Nie obejrzał się za siebie, bo uczył się na cudzych błędach i znał zasady wychodzenia z zaświatów.

Po raz pierwszy nie ciążyła nad nim żadna przepowiednia,
legenda, żaden zaplanowany przez kogoś koniec.

I było to kurewsko odświeżające.

POSŁOWIE

W listopadzie 2023 minęło osiemnaście lat od wydania pierwszej książki o Kłamcy, dziewiętnaście od podpisania umowy wydawniczej, a dwadzieścia od skompletowania przeze mnie luźnych opowiadań o anielskim cynglu i nazwaniu ich książką. Zrobiłem to po namowie Ani Kańtoch, która powiedziała: „Chyba masz tu książkę”. Faktycznie miałem. Niedoskonałą, momentami koślawą, ale miałem. Tak się zaczęło.

Piszę te słowa praktycznie po redakcji, po ogłoszeniu okładki, tytułu, a nawet po pierwszym live Q&A na jej temat. W trakcie tego ostatniego opowiadałem o tym, jak czuję się z tym, że ten cykl utrzymał się w sprzedaży przez tyle lat i po tę książkę sięgają kolejne pokolenia. Rodzice, którzy czytali Kłamcę dwie dekady temu, dziś podsuwają go swoim dzieciom, starsze rodzeństwo młodszemu. To Loki sfinansował mi większość marzeń, w tym te największego kalibru, jak bycie zawodowym pisarzem czy pierwsza podróż na Comic-Con w San Diego. W ogóle większość podróży... Dlaczego o tym piszę? Nie po to, by popadać w sentymenty, tylko żeby troszkę wytłumaczyć, skąd ta książka.

Dwanaście lat temu, gdy ukazał się *Kłamca 4*, dużej grupie czytelników nie spodobało się zakończenie. Niekoniecznie dlatego, że było złe – choć były i takie głosy – tylko dlatego, że nie tego oczekiwali po takiej opowieści, liczyli na coś zupełnie innego. A ja, oczywiście, nie mogłem im tego upragnionego czegoś dać, bo wierzę, że trzeba być w takim przypadku wiernym historii, a nie –

różnym przecież – oczekiwaniom odbiorców. Poza tym równie duża, jeśli nie większa grupa była finałem usatysfakcjonowana. Czyli, rozumiecie, sytuacja patowa.

Po latach jednak zacząłem się zastanawiać: no dobra, ale to ten rodzaj opowieści, który pozwala na złożone zabawy fabularne. No bo skoro mogę się tu bawić wszystkim, to dlaczego nie liniami czasowymi i wymiarami? Przecież to pasuje do tej historii!

Tak powstał koncept Stróży, który wywrócił uniwersum, stworzył odnogę i pozwolił na kontynuowanie opowieści. Nade wszystko jednak dał tym, którzy byli ze mną przez lata, ale nie mogą pogodzić się z finałem historii, szansę na przeczytanie innego. Teraz mogą zadecydować, czy podążyc ścieżką A czy B. Czy Metatronowi udał się jego plan narzucenia konkretnej apokalipsy, czy może jednak Loki i Lucyfer wykorzystali swoją szansę, przedstawiając zwrotnicę. Słowem, teraz to Wasz wybór, którą ścieżką wolicie pójść: czy na poziomie *Machinomachii* i *Papieża sztuk* skręćcie w *Stróży* czy w *Kłamcę* 3.

Część uzna to pewnie za asekuranctwo, część za odcinanie kuponów. Ja powiem Wam, że to moje DZIĘKUJĘ dla wszystkich, którzy byli ze mną przez te wszystkie lata.

Dziękuję za tych wspaniałych ludzi, jak: Marcin Wroński, Tomek Hoga, Tesska, Piotrek Sokołowski, Iwo Strzelecki, Przemek Romański, Agnieszka Mucha, Agnieszka Włoka, Ania Kańtoch, Paulina Wierzińska, Mateusz „Młody” Zatywny, Piotr Cieśliński, Dawid Pochopień czy Paweł Deptuch, którzy wykonali przy *Kłamcy* na różnych etapach jego żywota kawał świetnej roboty.

Ale nade wszystko dziękuję Wam, moim czytelnikom. Tym od dnia pierwszego i tym, którzy pojawili się całkiem niedawno.

Niedługo będę miał dla Was inne opowieści. W niektórych wróć do mitów, więc pojawi się także Loki, ale będzie inny. Tę opowieść kończymy już na dobre.

Dzięki Wam za tę wspólną drogę.

Przytulcie swoje misie i nie zadławcie się wykałaczkami.

Wasz Kuba

Kłamca. Zbiorowa tricksteria

Copyright © Jakub Ćwiek 2024

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2024

Redakcja – Tomasz Hoga

Korekta – Kornelia Dąbrowska, Julia Młodzińska

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc, Kasia Kotynia

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Rysunek na okładce – Piotr Sokołowski

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści.

Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2024

ISBN mobi: 9788383304267

ISBN epub: 9788383304274



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska, Katarzyna Kotynia

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Julia Siuda, Zuzanna Pieczyńska

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Barbara Chęcińska, Małgorzata Folwarska,

Marta Ziębińska, Natalia Nowak, Kamila Piotrowska, Paweł Truskołaski

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski, Jan Maślanka, Anna Rasiewicz

Administracja: Klaudia Sater, Monika Czekaj, Małgorzata Pokrywka

Finanse: Karolina Żak

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziaś

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

CAŁA SERIA W NOWYM WYDANIU!

Przeczytaj o tym, co robił Kłamca, gdy byłeś przekonany, że odpoczywał na plaży z drinkiem. Nareszcie ma okazję rozwinąć skrzydła...



PRAWDZIWA GRATKA DLA FANÓW KŁAMCY!

Szukaj w dobrych księgarniach



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

TE KSIĄŻKI TO PO PROSTU JAZDA PO BANDZIE

Chcecie polskiego superbohatera? Nie ma sprawy. Weźcie na przykład takiego mieszkańca Katowic, Ryśka Zwierzchowskiego. Podstarzały rockman o niewyparzonej gębie, którego dieta to piwo, fajki i kebaby, największa pasja to muzyka, a jedyny przyjaciel to emerytowany górnik. Może być? Świetnie. To teraz walnijcie w niego piorunem. Obdarzony nadprzyrodzonymi mocami Rysiek musi poradzić sobie z nowymi wyzwaniami: opinią publiczną, policją, kibicami, serią dziwnych przestępstw, krakowskimi mimami i tradycjami pewnej brytyjskiej rodziny.



**DŁUGIE, PORYPANE GITAROWE SOLO GRANE
DO PUBLIKI TYŁEM**

Szukaj w dobrych księgarniach

SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl

BRAWUROWA HISTORIA, KTÓRA NIE PRZEJDZIE BEZ ECHA

Jakim cudem detektyw, uparcie zwący się tropicielem, odnosi takie sukcesy? Gdy władze miasta Tin-Leve zlecają Kavlowi wyjątkowo trudne zadanie, ten radzi sobie znakomicie. Detektyw nie wie jednak, że to wyłącznie test, wstęp do ważniejszej misji. Tym razem będzie musiał wykorzystać swoje niespotykane umiejętności przeciwko Kościołowi Żywych, organizacji nie tak świętej, za jaką chciałaby uchodzić.



**ZANURZ SIĘ W TAJEMNICZEJ HISTORII
NASZPIKOWANEJ AKCJĄ I HUMOREM
ORAZ MROCZNYMI ZAGADKAMI**

Szukaj w dobrych księgarniach





WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

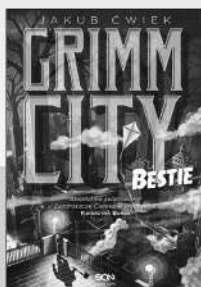
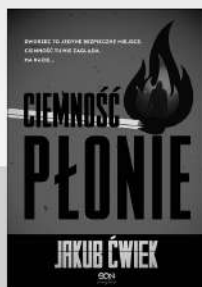
www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.

Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN





WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL

la**botiga**.pl